MOTO REWOLUCJA **BEZ ZAPACHU BENZYNY**

LUTY 2026

T3

OBIEKTY POŻĄDANIA

SENS PO SEANSIE

Jak telewizja stała się kinem

DALI SONIK

Płonąca żyrafa w twoim salonie

+

YAKUZA 0 DIRECTOR'S CUT

Karaoke, krew i kasety magnetofonowe

SAMSUNG MICRO RGB R95H

Micro LED, makro wrażenia

13,90 zł w tym 8% VAT
INDEKS: 256714 NR 2/2026
ISSN 2080-7198

BMW X3 M50 XDRIVE

Bawarska szkoła przetrwania

W ZBLIŻENIU

ONEPLUS 15R
RØDE PHONE CAGE
XBLITZ X-RUNNER
SONY LINKBUDS CLIP
LOFTIE LAMP

eprasa.pl 0a51c839d1

Seria **SONIK**

DALI



SONIK – ewolucja, którą słychać

DANISH AUDIOPHILE
LOUDSPEAKER INDUSTRIES

Dystrybucja w Polsce: Horn Distribution S.A. | www.horn.eu

DALI-SPEAKERS.COM

eprasa.pl 0a51c839d1



OD REDAKCJI

Luty to stan przejściowy – jeszcze nie wiosna, już nie do końca zima. Światło wraca nieśmiało, dni powoli się wydłużają, wciąż mamy w sobie zmęczenie końcówką roku, ale z nadzieją czekamy na to, co wydarzy się dalej. Technologia też znalazła się w stanie pomiędzy tym, co już znamy, a tym, co nieuchronnie nadchodzi.

Samochody, którymi dziś jeździmy, za chwilę będą inne – zmienia się logika świata: energii, miast, hałasu i ciszy. Elektryfikacja nie jest już futurystyczną obietnicą – to proces, który toczy się obok nas, czasem szybciej, czasem wbrew naszym przyzwyczajeniom. Podobnie jak ekrany, które przestały być telewizorami, a stały się ścianami przyszłości. Jak audio, które nie musi już udawać elitarnego rytuału, by oferować prawdziwe emocje. Jak ruch, który można wcisnąć między codzienne zadania.

Ten numer „T3" jest właśnie o takich momentach zmiany. O technologii, która zaczyna wpływać na rytm dnia, samopoczucie i sposób myślenia. O rozrywce, która zamiast ucieczki oferuje refleksję – czy to w serialach definiujących ostatnie dekady, czy w grze, która bardziej męczy umysł niż dłonie. O świetle, które realnie poprawia nastrój, gdy słońca wciąż za mało.

Luty nie obiecuje cudów. Ale daje przestrzeń na uważność. A to, wbrew pozorom, dziś jedna z najcenniejszych technologii.

Marcin Kubicki
redaktor naczelny
@kubicki.w.odbiciu marcin.kubicki@magazynt3.pl

Z ŻYCIA REDAKCJI



Michał Lis
sekretarz redakcji / grafik

Drugi po naczelnym, dobry duch i woda na młyn naszej redakcji. Pilnuje terminów, buduje treść magazynu i tworzy jego layout. Czasami też znajduje czas na filiżankę kawy, bez której nie wyobraża sobie życia.



Czego słuchaliśmy podczas tworzenia tego numeru?

Magdalena Bay
Nice Day: A Collection of Singles
Koniecznie posłuchaj:
Second Sleep,
This Is the World (I Made It for You)

eprasa.pl 0a51c839d1

SPIS TREŚCI

HORYZONT



009
PULS
Najciekawsze zdobycze świata technologii

016
DALI SONIK
Wysoka wierność bez elitarnego dystansu

019
WZMACNIACZE STEREO
Jak wybrać serce systemu audio



020
ŻYCIE PO ODKURZACZU
Jak robot sprzątający odbiera poczucie obowiązku – i oddaje spokój

022
JAK SZYBKO STWORZYĆ STRONĘ WWW W 2026 ROKU?
Must-have dla każdej firmy i działalności

024
SŁOŃCE ŚWIECI, KAMERA PATRZY
TP-Link Tapo C610 KIT

025
FITNESS
Aktywny tryb życia pod okiem specjalisty

026
STYL
Różne oblicza mody

ANTRAKT

008
HEDD AUDIO HEDDPHONE D1

028
IROBOT ROOMBA MAX 705 COMBO Z MALOWANIEM DLA WOŚP

097
PANASONIC TH-65PX500

098
NATIVE UNION (RE)CLASSIC CASE FOR AIRPODS PRO 3



eprasa.pl 0a51c839d1

JBL

pl.jbl.com



BOOMBOX 4

NAJMOCNIEJSZY PRZENOŚNY GŁOŚNIK WODOODPORNY

eprasa.pl 0a51c839d1

AUTOPSJA



061
SENS PO SEANSIE
25 seriali, które zdefiniowały 25 lat XXI wieku

087
LAMPY ANTYDEPRESYJNE
Rozjaśnij nastrój w miesiącach, w których brakuje naturalnego światła

092
KOMPLETNY PRZEWODNIK: SAMOCHODY ELEKTRYCZNE
Samochód, którym dziś jeździsz, prędzej czy później będzie musiał się zmienić

029
RECENZJA
OnePlus 15R, OnePlus Watch Lite, RØDE Phone Cage, HORL 3, Xblitz X-Runner, Sony LinkBuds Clip, Lovense Gush 2 oraz Loftie Lamp

040
MOTORYZACJA
Najciekawsze modele samochodów w salonach

052
ROZRYWKA
Multimedialna dawka rozrywki dla każdego



CRÈME DE LA CRÈME



099
LISTA ZAKUPÓW
Jeśli szukasz najlepszych, najbardziej wydajnych i atrakcyjnych gadżetów na rynku – dobrze trafiłeś







PRENUMERATA
Zaprenumeruj i oszczędzaj!

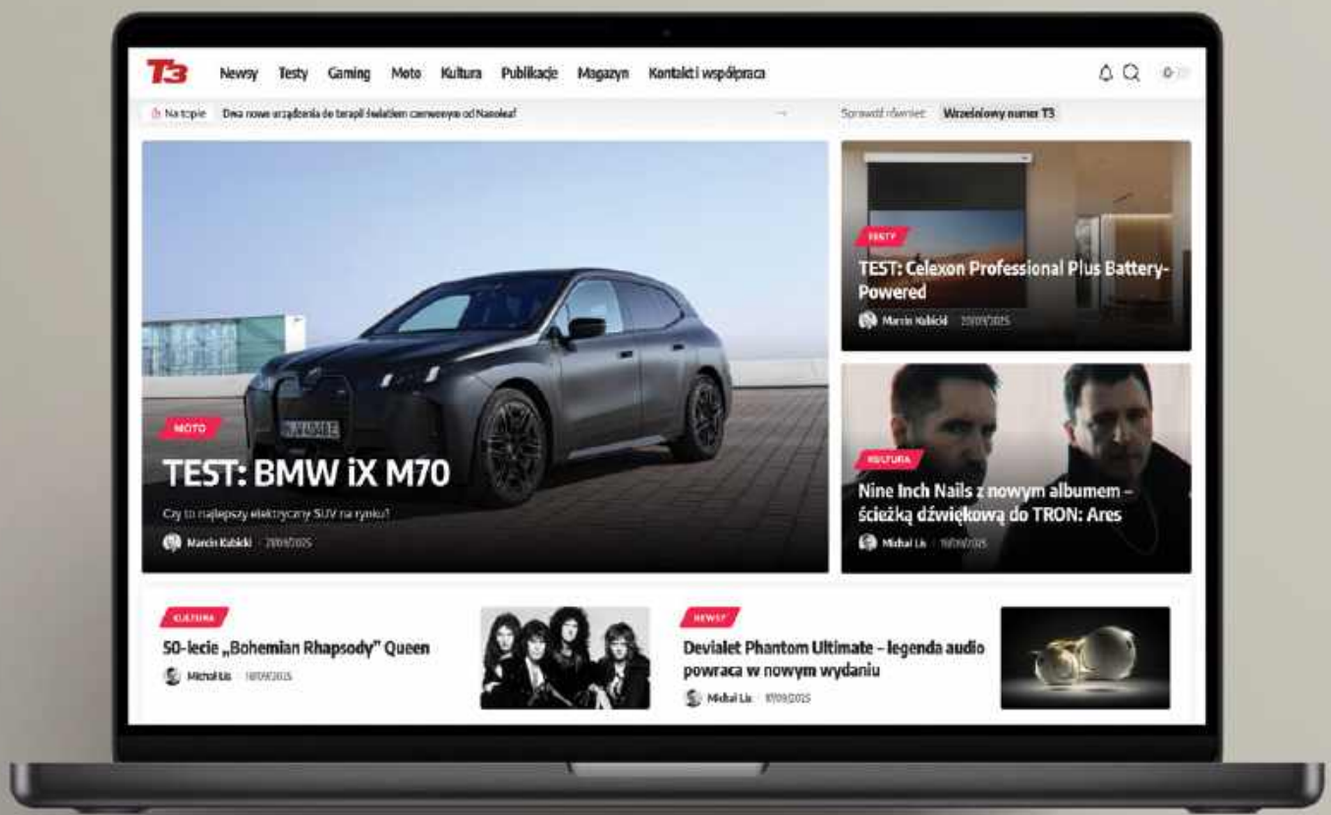
Więcej szczegółów dotyczących prenumeraty „T3” znajdziesz na 115 stronie magazynu lub bezpośrednio na stronie www.ulubionykiosk.pl/prenumerata.

eprasa.pl 0a51c839d1

T3

/ GADŻETY
/ GAMING
/ MOTORYZACJA
/ LIFESTYLE
/ KULTURA
/ RECENZJE

16 LAT
2 500+ TESTÓW
15 000+ PUBLIKACJI



WWW.**MAGAZYNT3**.PL

eprasa.pl 0a51c839d1

T3

ANTRAKT

TECHNOLOGIA WARTA UWAGI



ŹRÓDŁO DŹWIĘKU
Sercem D1 jest cienkowarstwowa membrana z włókna węglowego, materiał znany raczej z Formuły 1 i projektów NASA niż z audio.

HEDD AUDIO HEDDPHONE D1

Słuchawki referencyjne często próbują imponować skalą, masą albo technologicznym żargonem. HEDD Audio HEDDphone D1 idą inną drogą: po prostu robią swoje. To otwarta, wokółuszna konstrukcja dynamiczna zaprojektowana z myślą o tych, którzy chcą słyszeć nagranie takim, jakie jest – bez makijażu, ale też bez studyjnej surowości, która męczy po godzinie. Dźwięk jest natychmiastowy, dobrze poukładany i zaskakująco naturalny, a otwarta konstrukcja buduje szeroką, swobodną scenę, która bardziej przypomina odsłuch na monitorach niż klasyczne „granie do głowy". D1 są przy tym zaskakująco uniwersalne. Dzięki rozsądnej impedancji i wysokiej czułości dobrze dogadują się z przenośnymi źródłami, ale wyraźnie pokazują pazur dopiero z solidnym wzmacniaczem. Do tego dochodzi komfort – lekka konstrukcja, sensowne rozłożenie masy i brak presji, która po kilku godzinach przypominałaby o sobie bólem skroni. HEDDphone D1 to słuchawki dla tych, którzy traktują dźwięk poważnie, ale nie potrzebują audiofilskiego teatru. Berlin w czystej, technicznej, bardzo uczciwej formie.

2 699 PLN, www.mp3store.pl

HORYZONT

NAJCIEKAWSZE ZDOBYCZE ŚWIATA TECHNOLOGII ZMIERZAJĄCE W TWOIM KIERUNKU

Prowadzący | **Michał Lis**

NA TAPECIE



SANDISK OPTIMUS

FIIO M27





Gdy gaming przestaje brzmieć jak kompromis.

HARMAN KARDON SOUNDSTICKS 5



eprasa.pl 0a51c839d1





Marcin Kubicki
NACZELNY

To technologiczny manifest, który pokazuje, jak będzie wyglądać ultrapremium, gdy przestaniemy myśleć w kategoriach cali, a zaczniemy w kategoriach przestrzeni i jakości



eprasa.pl 0a51c839d1

■ www.samsung.pl

SAMSUNG MICRO RGB R95H

130 cali przyszłości

To była premiera, a może manifest? Podczas CES 2026 Samsung Electronics skierował się w stronę tego drugiego wariantu. Micro RGB R95H to pierwszy na świecie 130-calowy telewizor Micro RGB i jednocześnie obiekt, wobec którego słowo „telewizor" brzmi niemal zbyt skromnie. To ekran w skali architektonicznej, zaprojektowany nie tyle do oglądania, co do redefiniowania przestrzeni, w której się znajduje.

Samsung od początku komunikuje, że R95H nie jest kolejnym dużym panelem do powieszenia na ścianie. To raczej monumentalne „okno", które wizualnie rozpycha wnętrze, przejmuje rolę dominanty i ustawia cały salon wokół siebie. Nowe obramowanie Timeless Frame, rozwijające ideę Timeless Gallery obecną w projektach marki od ponad dekady, bliższe jest ramie galerii sztuki niż ramce elektroniki użytkowej. Efekt unoszącej się tafli sprawia, że ekran zdaje się istnieć trochę obok ściany, trochę przed nią, a trochę poza kategorią sprzętu RTV. Nawet system audio zaprojektowano tu w skali obiektu – głośniki rozmieszczono tak, by dźwięk nie „wydobywał się" z telewizora, lecz naturalnie otaczał widza i był integralną częścią doświadczenia.

Sercem całej konstrukcji jest jednak technologia Micro RGB w najbardziej zaawansowanej odsłonie, jaką Samsung kiedykolwiek pokazał. Zestaw autorskich rozwiązań – Micro RGB AI Engine Pro, Color Booster Pro i HDR Pro – pracuje nad tym, by gigantyczny rozmiar nie oznaczał kompromisów w precyzji. Sztuczna inteligencja analizuje sceny w czasie rzeczywistym, poprawiając kontrast, głębię i subtelność przejść tonalnych tam, gdzie klasyczne algorytmy zaczynają się gubić. Matryca Micro RGB Precision Color 100 oferuje pełne, 100-procentowe pokrycie przestrzeni BT.2020, co w praktyce przekłada się na kolory, które nie tyle „wyskakują" z ekranu, co po prostu wyglądają jak rzeczywiste. Certyfikacja VDE i technologia Glare Free dopełniają obrazu telewizora zaprojektowanego nie pod demo w ciemnej sali, ale do realnych, jasnych przestrzeni.

R95H to także pokaz, jak Samsung wyobraża sobie inteligentny ekran przyszłości. Obsługa HDR10+ ADVANCED i Eclipsa Audio to tylko punkt wyjścia. Platforma Vision AI Companion wprowadza konwersacyjne wyszukiwanie, proaktywne rekomendacje i zestaw narzędzi AI – od AI Football Mode Pro, przez AI Sound Controller Pro, po Live Translate i generatywne tapety. Integracja z Microsoft Copilot i Perplexity sugeruje, że telewizor ma być czymś więcej niż pasywnym wyświetlaczem treści – raczej centralnym interfejsem domowej technologii.

130-calowy Micro RGB R95H, prezentowany na CES 2026 w Las Vegas, to dziś bardziej deklaracja ambicji niż propozycja do masowej sprzedaży. Ale właśnie takie produkty przesuwają granice i wyznaczają kierunek, w którym za kilka lat będą podążać mniejsze, bardziej „ludzkie" modele. Granica między elektroniką użytkową a sztuką użytkową została tu wyraźnie zatarta – i to w skali, której nie da się zignorować.



MONUMENT
130-calowa tafla obrazu bardziej przypomina element nowoczesnej architektury niż klasyczny telewizor.

eprasa.pl 0a51c839d1

■ 1 399 PLN, www.jbl.com.pl

HARMAN KARDON SOUNDSTICKS 5



Design, który gra i... świeci

Są produkty, które nie muszą nikomu nic udowadniać, bo od lat mają status ikony. Harman Kardon Soundsticks 5 to kolejna odsłona głośników, które bardziej przypominają instalację artystyczną niż klasyczny zestaw audio. Przezroczysta kopuła subwoofera i smukłe satelity nadal wyglądają jak obiekt z muzeum designu, ale tym razem dochodzi do tego światło, które reaguje na muzykę i potrafi zmienić zwykłe słuchanie w mały spektakl.

Pod efektowną formą kryje się konkret. System 2.1 oferuje dynamiczny, nisko schodzący bas, czytelne średnie tony i czyste wysokie, dzięki czemu Soundsticks 5 równie dobrze odnajdują się przy spokojnym jazzie, jak i podczas głośnej domówki. Bluetooth 5.4 pozwala szybko podłączyć smartfon, a HDMI ARC sprawia, że zestaw zaskakująco dobrze odnajduje się także przy telewizorze, grach i streamingu, zastępując soundbar bez zajmowania połowy szafki RTV.

Nowością jest większy nacisk na doświadczenie – świetlne animacje, sterowanie dotykowe i aplikacja *Harman Kardon One*, która pozwala dopasować zarówno brzmienie, jak i atmosferę bez wstawania z kanapy. To głośniki, które nie tylko grają w tle, ale realnie uczestniczą w życiu domowników.

■ Od 8 999 PLN, www.mp3store.pl

FIIO M27

Gdy przenośne audio mówi głosem stacjonarnego hi-endu

Na papierze to wciąż odtwarzacz przenośny, ale FiiO M27 bardzo szybko daje do zrozumienia, że nie interesują go konwencje. To sprzęt, który kontynuuje ideę „mobilnej jednostki stacjonarnej" znanej z M17. Wydajny układ QCS6490, 8 GB RAM-u i solidny zapas pamięci sprawiają, że system działa płynnie i bez zadyszki, nawet gdy biblioteka muzyczna zaczyna przypominać archiwum wytwórni.

Podwójne przetworniki ESS ES9039SPRO, architektura klasy desktop i zasilanie zaprojektowane jak w sprzęcie stacjonarnym powodują, że M27 brzmi gęsto, czysto i z rozmachem, którego próżno szukać w typowych DAP-ach. A gdy podłączysz zewnętrzne zasilanie i uruchomisz tryb Ultra High Gain, pojawia się moc rzędu 5 000 mW na kanał – wartość, która bardziej pasuje do pełnowymiarowego wzmacniacza niż urządzenia „do plecaka".

Do tego femtosekundowe zegary, nowy układ FPGA, 31-pasmowy PEQ i tryb stacjonarny omijający baterię, by zadbać o jej żywotność. Całość zamknięta w aluminiowej obudowie z rozbudowanym chłodzeniem, bo takie ambicje wymagają dyscypliny termicznej.



eprasa.pl 0a51c839d1

■ www.sandisk.com/pl-pl

SANDISK OPTIMUS

Nowe porządki w świecie SSD



Marcin Kubicki
NACZELNY

SANDISK Optimus nie obiecuje rewolucji w transferach, ale oferuje coś równie cennego – klarowny wybór i poczucie, że wreszcie wiadomo, po co sięga się na półkę z SSD

Porządkowanie portfolio to jedna z tych decyzji, które rzadko elektryzują rynek, ale niemal zawsze wychodzą mu na dobre. Podczas CES 2026 Sandisk wykonał właśnie taki ruch – pożegnał się z nazwami WD_BLACK i WD Blue w segmencie wewnętrznych dysków NVMe, zbierając je pod jednym, wyraźnym szyldem – SANDISK Optimus. I choć na pierwszy rzut oka to tylko rebranding, w praktyce chodzi o coś znacznie ważniejszego: czytelność.

Dotąd trzeba było wiedzieć, co oznacza kolor, dopisek i numer modelu. Teraz logika jest prosta i przypomina dobrze zaprojektowane menu – bez domyślania się, co kucharz miał na myśli. SANDISK Optimus to solidna, codzienna wydajność dla tych, którzy chcą, by komputer po prostu działał szybciej i płynniej. Wariant GX kierowany jest do graczy, dla których liczą się krótkie czasy ładowania i wysoka sprawność energetyczna. Na szczycie stoi GX PRO – linia bez kompromisów, skrojona pod stacje robocze, AI PC i konfiguracje, w których słowo „wąskie gardło" nie powinno w ogóle paść.

Nowej strukturze towarzyszy świeży język wizualny – bardziej spójny, bardziej „sandiskowy", mniej krzykliwy, a jednocześnie wyraźnie sygnalizujący poziom wydajności. To branding, który nie próbuje udawać gamingowej agresji ani korporacyjnej sterylności – raczej spokojną pewność producenta, który wie, co robi i dla kogo to robi. Produkty z nowym oznaczeniem trafią do sprzedaży w pierwszej połowie 2026 roku, stopniowo zastępując dotychczasowe modele.



eprasa.pl 0a51c839d1

■ 6 399 PLN, www.jbl.com.pl

JBL BAR 1300 MK2

Kino domowe, które nie zna kabli ani kompromisów

JBL Bar 1300 MK2 to system 11.1.4, który już samą specyfikacją brzmi jak wyzwanie rzucone klasycznym zestawom amplituner + kolumny, a w praktyce robi coś znacznie sprytniejszego – upraszcza cały proces do granic absurdu.

Na obu końcach soundbara znajdują się odłączane głośniki – wystarczy je unieść i postawić za kanapą, by w kilka sekund zanurzyć się w pełnoprawnym Dolby Atmos i DTS:X. Bez kabli, bez kombinowania z zasilaniem, bez poczucia, że salon właśnie zamienił się w zaplecze techniczne kina. Górne kanały dźwięku, wspierane przez technologię MultiBeam 3.0, budują szeroką i wysoką scenę, a dialogi – dzięki PureVoice 2.0 – w końcu brzmią jak dialogi, a nie jak szepty ginące w tle wybuchów.

Swoje robi też subwoofer z podwójnymi, 8-calowymi przetwornikami i AI Sound Boost, który potrafi zejść nisko i mocno, nie zamieniając basu w bezkształtny pomruk. Całość można dodatkowo dopasować w aplikacji *JBL One*, a gdy film się skończy, odłączane głośniki mogą po prostu zostać przenośnymi głośnikami Bluetooth – do kuchni, drugiego pokoju albo na taras.



■ 739 PLN, www.tp-link.com

TP-LINK TAPO C660 KIT

Strażnik bez kabli



Nowa solarna kamera od TP-Link łączy ambicje systemu monitoringu klasy premium z wygodą, której oczekuje się dziś od nowoczesnego smart home. Montujesz, konfigurujesz w aplikacji i… zapominasz, że w ogóle istnieje. Do momentu, gdy faktycznie będzie potrzebna.

Sercem zestawu jest obrotowa kamera 4K (8 Mp) z 18-krotnym zoomem cyfrowym i pełnym pokryciem 360°. Obraz jest ostry, szczegółowy i – co kluczowe – użyteczny. Tablice rejestracyjne, twarze, ruch na podjeździe – wszystko da się rozpoznać bez mrużenia oczu. Po zmroku do akcji wkracza tryb Starlight z kolorową nocną wizją, wspieraną przez jasną optykę i wbudowane reflektory.

Sztuczna inteligencja rozpoznająca ludzi, zwierzęta i pojazdy działa lokalnie i bez subskrypcji, a śledzenie obiektów odbywa się płynnie, w pełnym zakresie obrotu. Zasilanie solarne z dużą baterią sprawia, że kamera może rejestrować materiał praktycznie bezobsługowo – nawet 24/7 – bez ciągnięcia kabli i szukania gniazdka. Dwupasmowe Wi-Fi pozwala wybrać między zasięgiem a prędkością, a lokalny zapis na karcie microSD daje pełną kontrolę nad danymi.

eprasa.pl 0a51c839d1

■ 1 899 PLN, www.tophifi.pl

AUDEZE MAXWELL 2

Gdy gaming przestaje brzmieć jak kompromis

Są takie momenty w świecie sprzętu dla graczy, kiedy producent nie tyle goni trendy, co spokojnie przestawia poprzeczkę. Audeze zrobiło to już raz z pierwszym Maxwellem, a teraz wraca z modelem Maxwell 2 – konstrukcją, która wyraźnie mówi: dźwięk w grach powinien być traktowany równie serio jak w studiu nagraniowym. To nie jest kosmetyczny lifting ani dopisek „Pro" na pudełku, tylko konsekwentne dopracowanie wszystkiego, co w oryginale było dobre, i poprawienie tego, co dało się zrobić jeszcze lepiej.

Sercem Maxwell 2 jest technologia SLAM, wcześniej zarezerwowana dla znacznie droższych, audiofilskich konstrukcji Audeze. Planarne przetworniki o średnicy 90 mm, wspierane przez magnesy Fluxor i falowody Fazor, oferują pasmo sięgające od 10 Hz do 50 kHz. W praktyce oznacza to dźwięk, który nie musi udowadniać swojej „gamingowości" podbitym basem – jest szybki, precyzyjny i zaskakująco naturalny. Kroki w FPS-ach mają konkretne miejsce w przestrzeni, a muzyka w grach narracyjnych w końcu brzmi jak muzyka, a nie tło.

Równie dużo uwagi poświęcono komfortowi. Nowy pałąk z systemem wentylacji i przeprojektowane nauszniki pozwalają spędzić w Maxwell 2 długie godziny bez uczucia zmęczenia, a magnetyczne mocowanie poduszek zdradza studyjne DNA marki. Komunikacja też została potraktowana poważnie: mikrofon z ulepszoną redukcją szumów FILTER AI skutecznie oddziela głos od chaosu otoczenia, co doceni każdy, kto choć raz próbował dowodzić drużyną w hałaśliwym salonie.

Na koniec zostaje łączność i czas pracy – bezprzewodowy dongle o niskim opóźnieniu, Bluetooth 5.3 z LE Audio i LDAC oraz nawet 80 godzin działania na jednym ładowaniu sprawiają, że Maxwell 2 są równie wygodne przy konsoli, PC, jak i w codziennym użytkowaniu. Całość spina nowa aplikacja *Audeze*, która wreszcie porządkuje kwestie personalizacji brzmienia na wszystkich platformach.







Michał Lis
REDAKTOR

Audeze Maxwell 2 to headset, który nie próbuje udawać sprzętu audio – on nim po prostu jest, tylko że zaprojektowany z myślą o graczach

eprasa.pl 0a51c839d1

DALI SONIK

Wysoka wierność bez elitarnego dystansu

Są takie momenty w audio, kiedy technologia z najwyższej półki zaczyna powoli spływać w dół, trafiając do systemów, które nie wymagają ani osobnego pokoju odsłuchowego, ani kredytu hipotecznego. Nowa seria Sonik od DALI dokładnie w ten sposób ustawia poprzeczkę: ambitnie, bez kompleksów i z wyraźnym sygnałem, że hi-end nie musi już oznaczać hermetycznego świata dla wtajemniczonych.

Sonik to najobszerniejsza linia głośników, jaką Duńczycy przygotowali w ostatnich latach. Seria obejmuje siedem modeli – klasyczne monitory, smukłe podłogówki, konstrukcje naścienne i pełnoprawne rozwiązania kina domowego. To duchowy następca niezwykle popularnej serii Oberon, która od 2018 roku zdążyła zgarnąć więcej nagród, niż niejeden producent ma w całym katalogu. Tym razem jednak ambicje są jeszcze wyższe – bo Sonik nie tylko zastępuje Oberona, ale też wyraźnie zbliża się technologicznie do flagowych rodzin Kore, Epikore i Epicon.

To słychać i czuć już na poziomie samej koncepcji. DALI sięga po rozwiązania dotąd zarezerwowane dla znacznie droższych konstrukcji: nowo zaprojektowane przetworniki, dopracowane układy magnetyczne i obudowy, które nie są tylko ładnym pudełkiem, ale realnym elementem strojenia dźwięku. Kluczową rolę odgrywa tu 29-milimetrowa, miękka kopułka wysokotonowa o szerokiej



dyspersji, wspierana w wyższych modelach przez hybrydowy system tweetera z dodatkowym przetwornikiem planarnym. Efekt? Góra pasma, która nie atakuje, tylko otwiera przestrzeń – spójna, detaliczna i pozbawiona nerwowości.

Środek i dół pasma oparto na przetwornikach niskotonowych i średniotonowych w rozmiarach 5¼ oraz 7 cali, wykorzystujących membrany Clarity Cone. To rozwiązanie, które poprawia dynamikę i naturalność barwy, jednocześnie ograniczając podbarwienia. Całość dopełnia system magnetyczny SMC Essential, redukujący zniekształcenia harmoniczne – technologia, którą do niedawna kojarzyliśmy wyłącznie z dużo droższymi seriami DALI. A kiedy do gry wchodzą jeszcze podwójne porty bas-refleks Dual Flare, zoptymalizowane pod kątem płynności przepływu powietrza i precyzji timingowej, robi się jasne, że nie jest to kosmetyczny lifting, tylko pełnoprawny skok jakościowy.

Brzmieniowo Sonik celuje w to, z czego DALI jest znane od lat: klarowność, szeroką scenę i naturalną, niemęczącą prezentację. To dźwięk, który potrafi być detaliczny, ale nie laboratoryjny; dynamiczny, ale nie efekciarski. Taki, który równie dobrze odnajdzie się w wieczornym odsłuchu jazzu, jak i w kinowym seansie, gdy pokój wypełnia ścieżka dźwiękowa z blockbusterów. Jeśli Oberon był solidnym, muzykalnym all-rounderem, Sonik jest jego bardziej dojrzałym, świadomym następcą.

Wzorniczo seria pozostaje wierna skandynawskiej prostocie. Czyste linie, magnetyczne maskownice, aluminiowe fronty tweeterów i solidne terminale opracowane wewnętrznie. W podłogówkach pojawiają się aluminiowe belki z kolcami, które nie tylko stabilizują konstrukcję, ale też wizualnie dodają jej lekkości. Obudowy wykonano z MDF-u, z solidnym usztywnieniem wewnętrznym i osobnymi komorami dla przetworników niskotonowych. Do wyboru są cztery wykończenia: Black Ash, Walnut, Natural Oak i White – wszystkie na wysokiej jakości okleinach winylowych, które w salonie nie udają luksusu, tylko go dyskretnie komunikują.

Gama jest na tyle szeroka, że bez trudu da się zbudować zarówno kompaktowy system stereo, jak i rozbudowane kino domowe. Od najmniejszego Sonik 1, przez większego Sonik 3, trzy podłogówki – Sonik 5, 7 i flagowy 9 – aż po modele On-Wall i Cinema, zaprojektowane z myślą o nowoczesnych instalacjach AV. Co ważne, ceny startują z poziomu, który jeszcze kilka lat temu byłby nie do pomyślenia przy takim zestawie technologii.

Wszystko wskazuje na to, że lutowa premiera serii DALI Sonik jest jednym z tych momentów, kiedy granica między „prawdziwym hi-endem" a rozsądnym systemem domowym wyraźnie się przesuwa na korzyść konsumenta. To propozycja dla tych, którzy chcą słuchać lepiej, ale bez audiofilskiego patosu – i bez poczucia, że muszą dopiero dorosnąć do własnych głośników.

CZYSTE LINIE, MAGNETYCZNE MASKOWNICE, ALUMINIOWE FRONTY TWEETERÓW I SOLIDNE TERMINALE OPRACOWANE WEWNĘTRZNIE



eprasa.pl 0a51c839d1



DALI SONIK 9

Flagowe kolumny podłogowe hi-fi stworzone do dużych przestrzeni i ambitnych systemów audio. Trzy 7-calowe przetworniki średnio-niskotonowe Clarity Cone, wspierane przez system magnetyczny SMC, oferują potężny, kontrolowany bas i bogatą średnicę. Hybrydowy układ wysokotonowy zapewnia rozdzielczość i swobodę wysokich częstotliwości, budując immersyjne, pełne skali brzmienie do muzyki i kina.

10 398 PLN (para), www.salonydenon.pl



DALI SONIK 7

Kolumny podłogowe hi-fi zaprojektowane do średnich i większych pomieszczeń. Dwa 7-calowe przetworniki Clarity Cone dostarczają głęboki, sprężysty bas i naturalne średnie tony, a hybrydowy układ wysokotonowy odpowiada za detal i szeroką scenę dźwiękową. Stabilna, smukła konstrukcja pozwala Sonik 7 odnaleźć się zarówno w systemach stereo, jak i rozbudowanych konfiguracjach kina domowego.

6 598 PLN (para), www.salonydenon.pl



DALI SONIK 5

Smukłe kolumny podłogowe hi-fi, które udowadniają, że duży dźwięk nie wymaga masywnej obudowy. Dwa przetworniki średnio-niskotonowe 5¼ cala z membranami Clarity Cone oraz 29-milimetrowa kopułka wysokotonowa zapewniają dynamiczne, zrównoważone brzmienie. Porty Dual Flare bas-refleks dbają o precyzję niskich częstotliwości, czyniąc Sonik 5 naturalnym wyborem do muzyki i kina domowego.

4 398 PLN (para), www.salonydenon.pl



DALI SONIK 3

Kolumny podstawkowe hi-fi, które łączą kompaktową formę z dojrzałym, pełnym brzmieniem. Ultralekka, 29-milimetrowa kopułka wysokotonowa oraz 7-calowy woofer Clarity Cone budują szeroką scenę, czytelną średnicę i dobrze zbalansowany bas. Sonik 3 świetnie odnajdują się w systemach stereo w średnich pomieszczeniach, oferując elastyczność ustawienia i spójność brzmienia niezależnie od źródła.

3 198 PLN (para), www.salonydenon.pl



DALI SONIK 1

Kompaktowe kolumny podstawkowe hi-fi stworzone do mniejszych przestrzeni. 29-milimetrowa kopułka wysokotonowa i 5¼-calowy przetwornik z membraną Clarity Cone oferują czyste wysokie tony, naturalną średnicę i zaskakująco dobrze kontrolowany bas. Niewielka obudowa z bas-refleksem oraz elastyczne opcje ustawienia czynią Sonik 1 uniwersalnym wyborem do stereo i większych systemów audio.

2 198 PLN (para), www.salonydenon.pl



DALI SONIK CINEMA

Wszechstronny głośnik centralny zaprojektowany z myślą o kinie domowym i systemach wielokanałowych. Połączenie 29-milimetrowej kopułki wysokotonowej z dwoma przetwornikami średnio-niskotonowymi Clarity Cone zapewnia klarowne dialogi, precyzyjne efekty i spójność brzmienia z pozostałymi kolumnami. Sprawdza się zarówno jako klasyczny kanał centralny, jak i element konfiguracji LCR.

2 199 PLN, www.salonydenon.pl

eprasa.pl 0a51c839d1



WZMACNIACZE STEREO

Jak wybrać serce systemu audio

Jeszcze kilka lat temu wybór wzmacniacza stereo był w gruncie rzeczy decyzją dość prostą: moc, liczba wejść, marka, estetyka. Dziś, w 2026 roku, ta kategoria sprzętu jest znacznie ciekawsza – ale też bardziej zróżnicowana. Wzmacniacz stereo coraz rzadziej bywa wyłącznie „końcówką mocy do kolumn", choć nadal dla wielu użytkowników właśnie na tym polega jego sens.

Nie mamy tu do czynienia z rewolucją, raczej z dojrzałą ewolucją. Fundamenty dobrego brzmienia pozostały niezmienne: stabilne zasilanie, wydajność prądowa, kontrola głośników i charakter dźwięku, który pozwala słuchać muzyki godzinami bez zmęczenia. Zmienił się jednak kontekst użytkowania. Streaming w jakości hi-res stał się codziennością, coraz częściej wzmacniacz trafia do salonu współdzielonego z telewizorem, a komfort obsługi bywa dziś równie istotny jak parametry techniczne.

Warto jednak zaznaczyć jedno: nowoczesność we wzmacniaczach stereo nie ma jednej definicji. Część konstrukcji faktycznie pełni rolę centrum domowego audio – z funkcjami sieciowymi, integracją z TV czy aplikacjami mobilnymi. Inne, często bardziej audiofilskie, konsekwentnie pozostają wierne idei czystego toru analogowego i świadomie rezygnują z dodatków. I obie te drogi są dziś równie aktualne.

W 2026 roku dobry wzmacniacz stereo powinien być przede wszystkim elastyczny. Niekoniecznie wyposażony we wszystko, ale gotowy na różne scenariusze. Powinien bez problemu współpracować z gramofonem – czy to przez wbudowane wejście phono, czy przez możliwość łatwej integracji z zewnętrznym przedwzmacniaczem. Tak samo z cyfrowymi źródłami: dla jednych kluczowy będzie streaming, dla innych klasyczny DAC i fizyczne nośniki.

Podobnie jest z HDMI eARC. To wyraźny trend, szczególnie w urządzeniach projektowanych z myślą o nowoczesnym salonie, ale nie obowiązek. Część użytkowników doceni wygodę jednego kabla do telewizora, inni – zwłaszcza purystycznie nastawieni melomani – wolą, by obraz nie miał żadnego wpływu na tor audio. Producenci coraz częściej zostawiają tu wybór odbiorcy.

Kluczowa pozostaje synergia. Nawet najlepszy wzmacniacz nie pokaże pełni możliwości, jeśli trafi na źle dobrane kolumny. Skuteczność, impedancja, charakter brzmienia – to nadal tematy ważniejsze niż marketingowe waty na papierze. I właśnie dlatego odsłuch, najlepiej w warunkach zbliżonych do domowych, pozostaje złotym standardem.

Wzmacniacz stereo to dziś inwestycja nie tylko w dźwięk, ale w komfort słuchania i sposób obcowania z muzyką. Wybierając go, warto myśleć szerzej niż przez pryzmat specyfikacji: o przestrzeni, stylu życia i emocjach, które ma wywoływać. Bo dobry wzmacniacz nie musi imponować od pierwszej minuty – wystarczy, że sprawia, iż nie chce się wyłączać systemu.

TRZY PROPOZYCJE



Bluesound POWERNODE
Nowoczesny wzmacniacz sieciowy „wszystko w jednym", łączący streaming hi-res, HDMI eARC i technologię GaN. Oferuje dynamiczne, czyste brzmienie, wygodę multiroom BluOS i pełną funkcjonalność w kompaktowej obudowie.
4 499 PLN, www.tophifi.pl



Rotel DX-5
Kompaktowy wzmacniacz zintegrowany klasy AB, łączący dopracowane, dynamiczne brzmienie z nowoczesną funkcjonalnością. Oferuje wysokiej klasy DAC ESS Sabre, HDMI ARC i Bluetooth aptX HD. Uwagę zwraca elegancka, smukła obudowa.
6 499 PLN, www.tophifi.pl



Hegel H190v
Potężny wzmacniacz zintegrowany, łączący 150 W mocy na kanał z audiofilską kontrolą i nowoczesną funkcjonalnością. Oferuje streaming, DAC, wyjście słuchawkowe i przedwzmacniacz gramofonowy MM w minimalistycznej, solidnej obudowie.
12 999 PLN, www.tophifi.pl

eprasa.pl 0a51c839d1



ŻYCIE PO ODKURZACZU

Jak robot sprzątający odbiera poczucie obowiązku – i oddaje spokój

Jest taki moment, mniej więcej po trzech-czterech tygodniach życia z Roombą, kiedy orientujesz się, że przestałeś o niej myśleć. I to wcale nie dlatego, że się zepsuła albo znudziła. Wręcz przeciwnie – dlatego, że zrobiła dokładnie to, co najlepsza technologia potrafi zrobić człowiekowi: zniknęła z pola świadomości. Stała się tłem. Jak zmywarka, która pracuje w nocy, jak streaming muzyki, który „po prostu gra", jak światło uliczne, które zapala się samo, zanim zdążysz pomyśleć, że robi się ciemno.

Po trzydziestu dniach z Roombą nie pamiętasz już, jak to było „przed". Kurz nie jest tematem. Okruchy po kolacji nie są wyrzutem sumienia. Podłoga przestaje być polem negocjacji pomiędzy zmęczeniem a poczuciem obowiązku. I to jest chyba najciekawsza zmiana – nie technologiczna, tylko psychologiczna. Technologia nie tyle coś za ciebie robi, co odbiera ci jeden z tych drobnych, codziennych ciężarów, które sumują się w zmęczenie dorosłym, rodzinnym życiem.

Na początku oczywiście wszyscy robimy to samo. Patrzymy. Śledzimy trasę robota jak mecz Ligi Mistrzów w fazie pucharowej. Zerkamy w aplikację częściej, niż przyznalibyśmy się przed znajomymi. Przesuwamy krzesła „żeby miał łatwiej", podnosimy kabel z podłogi, poprawiamy dywan. Jest w tym coś z pierwszych dni z nowym samochodem – parkowanie z aptekarską precyzją, nasłuchiwanie każdego dźwięku, delikatność niemal przesadna. Ale ten etap mija szybciej, niż myślisz.

Bo portfolio iRobotów Roomba, od kompaktowych modeli z serii 105 i 205, przez złoty środek w postaci 405 i 505, aż po najbardziej zaawansowane warianty 705, zostało zaprojektowane nie po to, żeby imponować specyfikacją na papierze, tylko żeby wytrzymać realne życie. Takie z kanapą, pod którą zawsze gromadzi się kurz. Z kuchnią, w której „tylko na chwilę" oznacza „zostawione do jutra". Z włosami na podłodze, które pojawiają się szybciej, niż zdążysz je zauważyć. Różnice pomiędzy modelami oczywiście są – inne systemy mopowania, różne poziomy autonomii, stacje dokujące, które przejmują coraz więcej obowiązków – ale wspólny mianownik jest jeden: poczucie, że sprzątanie przestaje być wydarzeniem.

I to właśnie wtedy zaczynają się te drobne, nieoczywiste zmiany w zachowaniu. Odkładasz odkurzacz do szafy na odpowiednie okazje. Przestajesz planować „sprzątanie w weekend". Zauważasz, że możesz wyjść z domu, zostawiając po sobie ślady dnia

eprasa.pl 0a51c839d1

ROOMBA WPISUJE SIĘ W SZERSZĄ ZMIANĘ KULTUROWĄ – OD TECHNOLOGII, KTÓRA KRZYCZY „ZOBACZ, CO POTRAFIĘ", DO TEJ, KTÓRA DZIAŁA CICHO I KONSEKWENTNIE





codziennego, bo ktoś – a raczej coś – zajmie się tym później. Jakbyś miał niewidzialnego współlokatora, który nie marudzi, nie ocenia i nie oczekuje pochwał. Włącza się sam, robi swoje i wraca do bazy.

Jest w tym coś uwalniającego, ale też trochę przewrotnego. Bo nagle okazuje się, że technologia nie tylko oszczędza czas, ale też zmienia relację z przestrzenią. Mieszkanie przestaje być projektem do ciągłego ogarniania, a zaczyna być miejscem, w którym po prostu jesteś. I jeśli brzmi to jak banał, to tylko do momentu, gdy przypomnisz sobie, ile energii mentalnej potrafiło zjadać „muszę jeszcze odkurzyć". To trochę jak różnica między ręcznym przewijaniem kasety a playlistą, która sama się nie kończy – drobiazg, który w praktyce zmienia cały rytm dnia.

Ciekawie robi się też wtedy, gdy wchodzisz poziom wyżej. Modele z bardziej rozbudowanych serii, szczególnie te z linii 705, potrafią przejąć nie tylko samo sprzątanie, ale i całą logistykę wokół niego. Opróżnianie, mycie, planowanie – wszystko dzieje się poza tobą. I tu pojawia się pytanie, które coraz częściej wraca w rozmowach o nowoczesnych technologiach: co robimy z odzyskanym czasem i energią? Odpowiedź bywa prosta i zupełnie nieheroiczna. Siedzisz chwilę dłużej z kawą. Włączasz album od początku, zamiast w tle. Idziesz spać bez poczucia, że „coś jeszcze zostało do zrobienia".

W tym sensie Roomba wpisuje się w szerszą zmianę kulturową – od technologii, która krzyczy „zobacz, co potrafię", do tej, która działa cicho i konsekwentnie. I może dlatego nie dziwi, że marka taka jak iRobot od lat próbuje wyjść poza czysto użytkowe ramy i łączyć swoje produkty z czymś więcej niż domową rutyną. W tym roku znów robi to poprzez wsparcie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy – inicjatywy, która sama w sobie jest dowodem na to, że technologia, design i emocje mogą spotkać się w jednym punkcie. Artystycznie zaprojektowany robot Roomba Max 705 Combo trafiający na licytację to nie jest gadżet. To symbol bardzo konkretnej idei – przedmioty codziennego użytku też mogą mieć drugie życie i wyjątkowy sens.

Po miesiącu z robotem sprzątającym nie myślisz już o algorytmach, czujnikach ani trybach pracy. Wiesz, że w domu jest czysto, a domowe obowiązki nie są tak uciążliwe. I właśnie na tym polega dziś najlepsza technologia – nie na tym, że robi wrażenie, tylko na tym, że oddaje ci kawałek codziennego spokoju, zanim zdążysz zauważyć, że go brakowało.

eprasa.pl 0a51c839d1

Jak szybko stworzyć STRONĘ WWW W 2026 ROKU?

Tekst **Aleksy Leśniak**

Dziś praktycznie każdy potrzebuje własnej strony internetowej – od lokalnej kwiaciarni, przez agencje marketingowe, aż po kluby hobby horsingu. Profile w mediach społecznościowych, które według niektórych miały zastąpić klasyczne witryny, okazują się niewystarczające. Są podatne na blokady, usunięcia bez wyraźnego powodu, zmiany algorytmów i ograniczenia zasięgów. Dla małych biznesów to ryzyko, na które coraz trudniej sobie pozwolić.

Własna strona WWW to niezależność. To miejsce, które możesz urządzić dokładnie tak, jak chcesz – bez pośredników, narzuconych formatów i cudzych zasad. Przede wszystkim jednak daje swobodę i elastyczność, jakiej twój biznes potrzebuje w 2026 roku.

JAK MOŻESZ STWORZYĆ WŁASNĄ STRONĘ?

Dróg jest kilka – i, co oczywiste, znacząco różnią się one między sobą.

1/ ZAMÓWIENIE STRONY U WEB DEVELOPERA

To najprostsza, ale jednocześnie najdroższa ścieżka. Mówimy tu o rozwiązaniu „szytym na miarę". Profesjonalista przygotowuje stronę dokładnie według twoich potrzeb, często z rozbudowanymi funkcjonalnościami, dzięki czemu całość wygląda efektownie i działa płynnie.

Minusem jest koszt. Ceny u freelancerów lub małych agencji interaktywnych zaczynają się zazwyczaj od paru tysięcy złotych, ale mogą sięgać dziesiątek tysięcy – w zależności od skali projektu, liczby podstron i zastosowanych rozwiązań.

Szukanie wykonawcy = wyzwanie

Samo znalezienie odpowiedniego specjalisty bywa problematyczne. Z badania przeprowadzonego w LH.pl w 2024 roku wynika, że większość klientów trafia do wykonawców z polecenia. Jeśli masz sprawdzone źródło – świetnie. W innym przypadku, polegając wyłącznie na wynikach wyszukiwania czy reklamach w social mediach, ryzykujesz nietrafiony wybór. Niekompetentny wykonawca może sprawić, że koszty czasowe i finansowe znacząco przekroczą pierwotne założenia.

Utrzymanie strony w czasie

Budowa strony to dopiero początek. Każda witryna wymaga bieżącej opieki: aktualizacji treści, zmian w ofercie, poprawy błędów czy dostosowania do nowych standardów technicznych. Ktoś te prace musi wykonywać.

Oczywiście może to być developer, ale czy chcesz angażować go do każdej zmiany grafiki lub poprawki literówki? Aby zarządzanie stroną było komfortowe, powinna ona opierać się na intuicyjnym systemie CMS, albo posiadać przyjazny edytor treści.

Dochodzi do tego aspekt techniczny: aktualizacje silnika strony, wtyczek, motywów, środowiska serwera, bazy danych czy wersji PHP. Ma to kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa, stabilności i szybkości działania witryny. Problem pojawia się wtedy, gdy developer zastosował autorskie, zamknięte rozwiązania – wówczas samodzielna edycja bywa praktycznie niemożliwa.

W takiej sytuacji naturalnie pojawia się myśl o alternatywie.

2/ NAUKA I BUDOWA STRONY OD ZERA

Internet oferuje dziś dziesiątki kursów – od zupełnie podstawowych po zaawansowane. Wiele z nich jest dostępnych za darmo, a od pierwszej lekcji do postawienia szkieletu strony dzieli nas często zaledwie kilkanaście godzin.

To rozwiązanie daje pełną kontrolę nad efektem końcowym przy stosunkowo niskich kosztach finansowych. Korzystając z darmowych materiałów, płacisz jedynie za hosting



eprasa.pl 0a51c839d1

i domenę. Trzeba jednak doliczyć swój czas. Dla przykładu: darmowy kurs WordPressa w LH.pl trwa około 10 godzin, co oznacza intensywny weekend pracy.

Samodzielna nauka ma swoje wady

Tempo nauki zależy od twoich kompetencji technicznych. Konfiguracja motywu, dobór wtyczek czy dopasowanie wyglądu strony potrafią być frustrujące, gdy coś pójdzie nie tak. Weekendowy kurs nie uczyni z nikogo zawodowego projektanta ani developera. Strona będzie poprawna i funkcjonalna, ale niekoniecznie dopracowana wizualnie czy technicznie na poziomie profesjonalnych realizacji.

W razie problemów technicznych jesteś zdany na siebie – i na wyszukiwarkę Google.

3/ GENERATORY STRON TYPU „DRAG & DROP”

Rozwiązanie pośrednie między zatrudnieniem specjalisty a nauką od zera. Platformy takie jak Wix czy WebWave pozwalają tworzyć strony metodą „przeciągnij i upuść”, bez potrzeby kodowania czy znajomości CMS-a. Widzisz efekt pracy w czasie rzeczywistym, a interfejs jest intuicyjny nawet dla laików.

To ogromna zaleta – próg wejścia jest bardzo niski. W ramach jednej opłaty zazwyczaj otrzymujesz kreator, hosting, domenę oraz wsparcie techniczne. Gotowe szablony pozwalają szybko uzyskać nowoczesny efekt wizualny.

Jak uzyskać solidną stronę WWW w 2026 roku?

Wybór metody zależy od twojego budżetu, czasu i gotowości do pracy z technicznymi detalami. Jedno jest pewne – strona internetowa to żywy organizm. Jej skuteczność zależy nie tylko od startu, ale od późniejszej opieki i rozwoju.

Jeśli nie dysponujesz dużym budżetem ani czasem, a jednocześnie myślisz o przyszłej rozbudowie – kreator stron WWW oparty na WordPressie jest dziś jednym z najbardziej rozsądnych wyborów.



Model finansowy – uwaga na pułapki

Haczyk tkwi w subskrypcji. Płacisz stały, często dość wysoki abonament, a po jego zakończeniu strona po prostu znika. Nie jesteś jej pełnym właścicielem – nie przeniesiesz jej do innego dostawcy, ani nie rozbudujesz dowolnie pod SEO czy niestandardowe funkcje. Kreatory oferują dużą swobodę wizualną, ale szybko ujawniają ograniczenia, gdy biznes zaczyna rosnąć.

4/ KREATOR STRON WWW WORDPRESS Z AI

To rozwiązanie łączące prostotę kreatorów z elastycznością WordPressa. Strona nie powstaje w zamkniętym systemie – jest instalowana bezpośrednio na twoim hostingu i wspierana przez asystenta AI, który generuje jej szkielet.

Proces jest maksymalnie uproszczony. Instalujesz WordPressa automatycznie w LH.pl (trwa to kilkanaście sekund), odpowiadasz na kilka pytań dotyczących twojej działalności, a sztuczna inteligencja w ciągu chwili przygotowuje układ strony, dobiera treści i zdjęcia. Po minucie masz gotową witrynę opartą na najnowszej wersji WordPressa, z nowoczesnym wyglądem i rekomendowanymi wtyczkami.

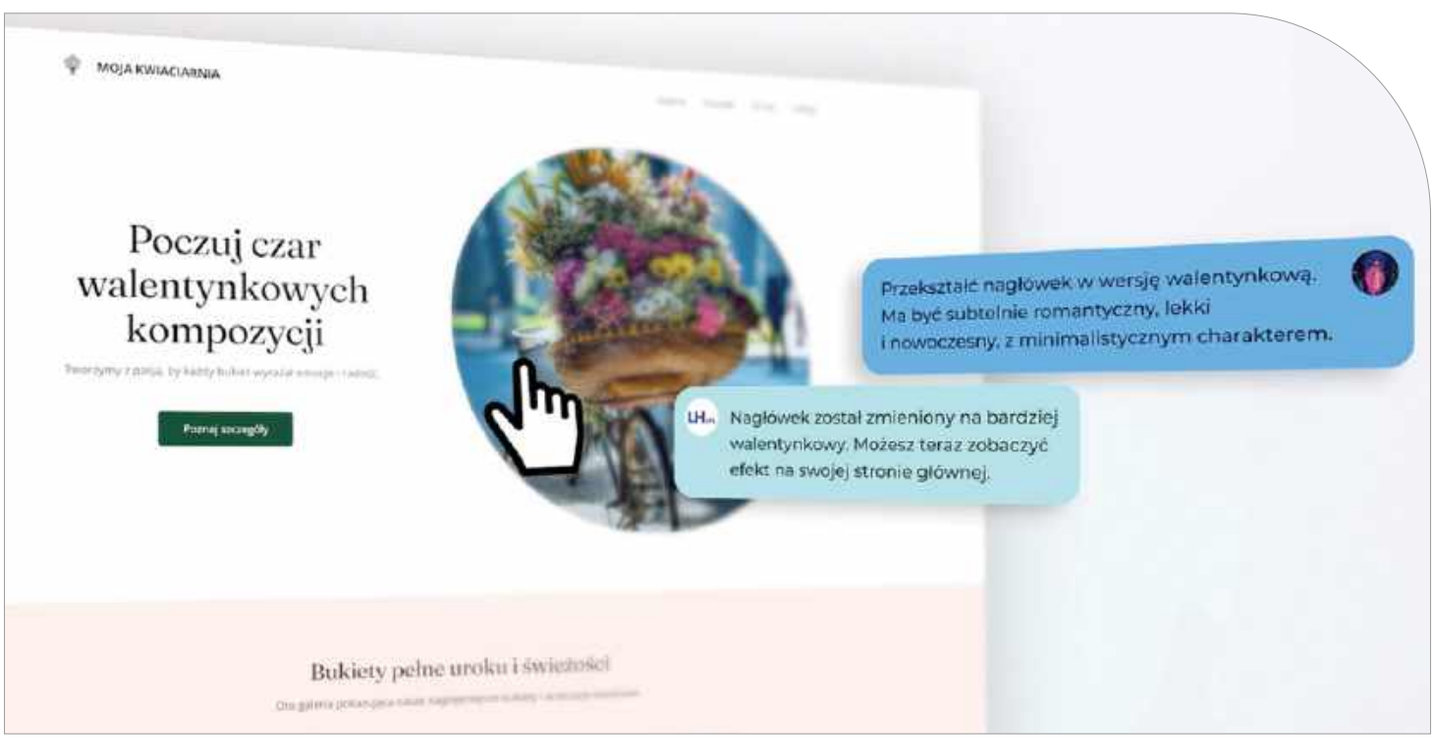
Asystent AI – osobisty doradca

Do dyspozycji otrzymujesz czat AI, który pozwala w prosty sposób edytować elementy strony: zmienić kolory, układ, treści czy dodać nowe sekcje – bez grzebania w kodzie.

Zalety rozwiązania

Kluczowe są koszty i własność. Kreator stron WWW w LH.pl jest bezpłatnym dodatkiem do hostingu (do końca okresu rozliczeniowego), a efekt końcowy to pełnoprawna strona WordPress. Masz dostęp do plików, baz danych i możesz w dowolnym momencie zrezygnować z AI, zachowując stronę i rozwijając ją dalej bez ograniczeń.

Wady? Końcowe szlify nadal wymagają poświęcenia czasu. To również nie jest rozwiązanie dla bardzo nietypowych, customowych projektów biznesowych. Ale dla stron wizytówek, blogów, ofert, portfolio czy prostych sklepów – to dziś jedno z najbardziej elastycznych rozwiązań przy ograniczonym budżecie.



eprasa.pl 0a51c839d1

SŁOŃCE ŚWIECI, KAMERA PATRZY



Jeśli jest coś, co łączy polską zimę, kuriera „będę za 5 minut” i sąsiada od wiertarki, to fakt, że człowiek chciałby czasem mieć oczy dookoła głowy. TP-Link w serii Tapo dorzuca do tej fantazji trzy nowe zestawy kamer z panelem solarnym – takie, które mają pilnować posesji bez kabli, bez gimnastyki z gniazdkiem i bez rytuału „a teraz zdejmę kamerę, żeby ją naładować”. Brzmi trochę jak obietnica z reklamy abonamentu na siłownię w styczniu, ale tu akurat liczby i funkcje robią dobrą robotę.

Najbardziej „ludzkim” wejściem w temat jest **Tapo C610 KIT**: obrotowa kamera 2K (3 Mp), która ma zakres 360° w poziomie i 130° w pionie, więc jeden punkt montażowy potrafi ogarnąć kawał podjazdu, ogród i tę strefę, w której zawsze „coś się rusza”, gdy akurat gasisz światło. Dostajesz kolorową noc dzięki wbudowanym reflektorom, wykrywanie ludzi bez dodatkowej subskrypcji i śledzenie ruchu w trybie 360° AI, czyli mniej powiadomień o liściu udającym intruza. Zapis? Klasycznie – microSD do 512 GB albo chmura Tapo Care. Do tego IP65 i dwukierunkowe audio – można powiedzieć kurierowi „proszę zostawić przy drzwiach”, zanim zdąży wykonać swój ulubiony manewr z awizo.

Krok wyżej stoi **Tapo C630 KIT**, bo podbija rozdzielczość do 3K (5 Mp) i rozszerza rozumienie świata: kamera wykrywa nie tylko ludzi, ale też zwierzęta i pojazdy, a potem potrafi je śledzić, zamiast udawać, że nic się nie dzieje. Ma też tryb ciągłego rejestrowania 24/7 – sprytnie rozwiązany, bo w spoczynku pracuje w interwałach, a gdy wykryje ruch, przechodzi na normalne nagrywanie. Plus konkret: wykrywanie nawet z 18 metrów i deklarowane do 180 dni pracy na baterii. Nadal bezprzewodowo, nadal IP65 (tu nawet w zakresie temperatur do -20°C), nadal lokalnie lub w chmurze.

A jeśli chcesz „premium” w stylu stadionowego telebimu, tylko na własnym podjeździe, jest **Tapo C660 KIT**: 4K (8 Mp), 18x zoom cyfrowy i nocna wizja w kolorze w wersji Starlight – z jasną przysłoną f1.6 i reflektorami. Do tego dwupasmowe Wi-Fi (2,4/5 GHz), więc możesz wybrać między zasięgiem a prędkością, oraz ciągłe 24/7 w 4K. Producent podaje też bardzo konkretne liczby dla microSD – na 512 GB ma się zmieścić około 379 godzin materiału 4K, czyli spokojnie wystarczy, by udowodnić, że to nie lis rozwalił kosz, tylko grawitacja i pośpiech. Wspólny mianownik całej trójki jest prosty: solary (z możliwością montażu „razem” albo na kablu 4 m), odporność na pogodę, bardziej inteligentne alerty i jedna aplikacja *Tapo* do ogarniania nagrań, stref aktywności i udostępniania. Podsumowując – mniej chaosu – a w 2026 roku to już niemal luksus.

eprasa.pl 0a51c839d1

ZMYSŁY W RUCHU
CZYLI JAK MUZYKA WPŁYWA NA EFEKTYWNOŚĆ TRENINGU



Agnieszka Jankowska
INSTRUKTORKA PILATESU I ZOGI | WŁAŚCICIELKA SYRENKA STUDIO PILATESU | WWW.STUDIOSYRENKA.PL

Muzyka towarzyszy nam w wielu aspektach życia, a jej wpływ na nasz nastrój, samopoczucie oraz poziom energii jest nie do przecenienia. W kontekście treningu sprawa jest jednak nieco bardziej złożona. Odpowiednio dobrana ścieżka dźwiękowa może stać się kluczem do osiągania lepszych wyników, choć są również dyscypliny sportowe wymagające znacznego skupienia, w których muzyka potrafi wręcz przeszkadzać w poprawnym wykonaniu ćwiczeń. Jak zatem muzyka wpływa na nasze treningi, a co za tym idzie – na ich efektywność?

Liczne badania naukowe dowodzą, że muzyka potrafi wpływać na odczuwanie zmęczenia, co bezpośrednio przekłada się na subiektywne wrażenia związane z intensywnością wysiłku. Często nasz umysł, czerpiąc przyjemność ze słuchania ulubionych utworów, „oszukuje" nas, dając złudne wrażenie mniejszego zmęczenia. Czy jest to zjawisko pozytywne? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Z jednej strony intensywna muzyka o wyraźnym tempie może działać stymulująco na organizm, pozwalając zwiększyć wydolność nawet o 20%, szczególnie podczas treningów cardio. Z drugiej – ignorowanie sygnałów wysyłanych przez ciało może prowadzić do przeciążeń i urazów. Warto więc uważnie się w nie wsłuchiwać, zwłaszcza na początku treningowej przygody, gdy granica między budowaniem wydolności a nadmiernym obciążeniem nie jest jeszcze dobrze wyczuwalna.

Kolejną istotną kwestią jest dobór odpowiednich utworów do wykonywanej aktywności fizycznej. Nie każdy rodzaj muzyki będzie wspierał nas w trakcie treningu. Kluczowe znaczenie ma dopasowanie rytmu, tempa oraz gatunku do aktualnie wykonywanego wysiłku. Utwory o szybkim tempie i powtarzalnym rytmie mogą zwiększać motywację do intensywnej pracy – świetnie sprawdzają się podczas biegania, aerobiku czy spinningu. Intensywna rytmika pomaga również w stabilizacji oddechu, co sprzyja poprawie wydolności. Z kolei spokojniejsze kompozycje, o wolniejszym tempie, wspierają relaksację i regenerację po wysiłku. Istnieją także dyscypliny wymagające wyjątkowej koncentracji na precyzji i jakości ruchu – w takich przypadkach warto rozważyć trening bez muzyki. Jedną z form aktywności, w których cisza bywa sprzymierzeńcem, jest zyskujący w ostatnich latach na popularności pilates.

Podczas treningów indywidualnych warto poświęcić chwilę na stworzenie własnej playlisty

Nie można zapominać również o emocjonalnym wymiarze muzyki w treningu. Każdy z nas ma ulubione utwory, które wpływają na samopoczucie. Odpowiednio dobrana playlista może podnieść poziom dopaminy, zwiększając motywację do działania i sprzyjając osiąganiu lepszych wyników sportowych. Ulubiona melodia angażuje pamięć, dzięki czemu powtarzanie określonych form treningowych przy tej samej muzyce może przyspieszać naukę motoryki oraz sekwencji ruchów.

Dobrze dobrana playlista ma także nieocenioną wartość podczas zajęć grupowych. Wspólne słuchanie muzyki w trakcie ćwiczeń przynosi korzyści społeczne – wzmacnia poczucie jedności, integruje uczestników i podnosi motywację. Grupowe sesje fitness w rytm muzyki często przekładają się na lepszą jakość wykonywanych ćwiczeń oraz większą radość z aktywności.

Podczas treningów indywidualnych warto natomiast poświęcić chwilę na stworzenie własnej playlisty – zestawu ulubionych utworów, które nie tylko poprawią nastrój, ale również będą dopasowane do charakteru uprawianej aktywności.

Na koniec warto zwrócić uwagę na aspekt bezpieczeństwa. Szczególnie podczas treningów na świeżym powietrzu należy pamiętać, aby muzyka nie dominowała nad naszymi aktywnościami. Przebieganie przez ulicę czy ćwiczenia w parku powinny odbywać się przy pełnej świadomości otoczenia. Trenujmy więc zdrowo, rozważnie i bezpiecznie – w rytmie ulubionej muzyki.

FOT. ZUZANNA CZAPLAK

eprasa.pl 0a51c839d1

Moda balansuje dziś między funkcjonalnością, estetyką i emocjami – odpowiadając na potrzeby współczesnego stylu życia.

SEZON FORMY


01



02


03



eprasa.pl 0a51c839d1



04


05


06

01 COS

W tym sezonie zespół projektantów mody męskiej COS wprowadza nowatorskie elementy do projektu trencza. Model, wykonany z nieprzemakalnej mieszanki bawełny o splocie skośnym, wyposażono w ocieplany, odpinany bezrękawnik ze stójką. Projekt pozostaje jednak wierny klasyce – zachowuje dwurzędowe zapięcie oraz materiałowy pasek, podkreślające ponadczasowy charakter płaszcza.

www.cos.com

02 GUESS JEANS

GUESS JEANS powrócił na targi Pitti Uomo 109 w styczniu 2026 roku. Marka zaprezentowała kolekcję Jesień/Zima 2026 w przestrzeni Fortezza da Basso we Florencji. Koncepcja stoiska GUESS JEANS, stworzona przez Nicolai'a Marciano, Chief New Business Development Officer, miała na celu przeniesienie odwiedzających do filmowej, górskiej chaty na Zachodnim Wybrzeżu.

Gęsty, zielony las nadrukowany na ścianach wejściowych zbudował scenografię i wprowadzał do wnętrza inspirowanego alpejską chatą, w którym drukowane pejzaże, rekwizyty oraz manekiny prowadziły wielowarstwowy dialog między naturą a modą.

www.guess.eu

03 VISTULA

Kolekcja Vistula pełna jest stylu i subtelnego blasku. To projekty łączące wysoką jakość, elegancję i współczesną estetykę, które pozwalają tworzyć stylizacje idealne na najważniejsze momenty w roku. Mężczyźni mogą wybierać spośród dopracowanych garniturów, doskonale komponujących się z golfami i koszulami o wieczorowym charakterze, a także płaszczy łączących klasykę z nowoczesnym, modowym twistem.

www.vistula.pl

04 GUESS

Tej zimy, świętując swoje 45-lecie, marka GUESS wzmacnia swoją obecność w Alpach poprzez rozszerzony projekt łączący modę, lifestyle oraz prestiż wysokogórskich destynacji. GUESS Winter Takeover to spektakularne działania wizualne zaplanowane w kultowych alpejskich kurortach, takich jak Gstaad, Glacier 3000, Zermatt, Bormio oraz Courchevel. Projekt stanowi wyrazistą manifestację pozycji GUESS na mapie zimowej Europy.

www.guess.eu

05 DRUNK ELEPHANT

Drunk Elephant ogłasza wdrożenie nowej strategii marki, koncentrującej się na innowacyjnej pielęgnacji skóry. Została ona oparta na silnych składnikach i skutecznych stężeniach substancji aktywnych, opracowanych z myślą o realnych rezultatach. Wraz z premierą kampanii „Please Enjoy Responsibly" marka podkreśla znaczenie pielęgnacji skupionej na nauce, wspierając konsumentów w świadomym określaniu rzeczywistych potrzeb ich skóry.

Kampania stanowi wezwanie do działania – zachęca do odpowiedzialnego nawilżania, rozświetlania, nadawania blasku, złuszczania oraz głębokiego nawodnienia skóry.

www.sephora.pl

06 LOBERON

Nowa, wiosenna kolekcja LOBERON na sezon 2026 to hołd dla natury i tradycyjnego rzemiosła. Dominują w niej naturalne materiały – lite drewno, rattan, len, szkło dmuchane oraz ceramika. Meble wykonane z jodły, wiązu, mango czy sosny powstały z myślą o trwałości, funkcjonalności i ponadczasowym stylu.

www.loberon.pl

eprasa.pl 0a51c839d1

T3

ANTRAKT

TECHNOLOGIA WARTA UWAGI

7 LAT TECHNOLOGII DLA WOŚP

To już siódma edycja wspólnej inicjatywy iRobot i DLF, w ramach której roboty sprzątające zyskują unikatowy, artystyczny charakter. W poprzednich latach swoje projekty stworzyli m.in. Anna Halarewicz, Oskar Zięta i Marcin Tybuś, zmieniając technologię użytkową w obiekty kolekcjonerskie.



IROBOT ROOMBA MAX 705 COMBO Z MALOWANIEM DLA WOŚP

Marka iRobot po raz siódmy zaangażowała się we wsparcie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, łącząc nowoczesną technologię z autorską sztuką. Na oficjalnej aukcji WOŚP pojawił się unikatowy zestaw: oryginalnie ozdobiony robot sprzątający Roomba Max 705 Combo oraz wyjątkowy plakat zaprojektowany przez polskiego ilustratora Karola Banacha. Cały dochód z licytacji zasili cel tegorocznego finału. Bohater aukcji to jeden z najbardziej zaawansowanych modeli w ofercie producenta – robot odkurzająco-mopujący z inteligentną nawigacją AI, mapowaniem 3D pomieszczeń oraz stacją AutoWash, która automatycznie opróżnia pojemnik, myje wałek mopujący ciepłą wodą i suszy go gorącym powietrzem. Efekt? Wysoki poziom higieny i niemal bezobsługowa praca przez wiele tygodni. Tegoroczna edycja wyróżnia się także artystycznym wymiarem. Charakterystyczny, organiczny wzór Karola Banacha zdobi nie tylko robota, ale również plakat – oba elementy tworzą spójną, kolekcjonerską całość. To przykład, że design użytkowy może stać się nośnikiem emocji, a technologia – narzędziem realnej pomocy.

www.wosp.org.pl

eprasa.pl 7a51c839d1

AUTOPSJA

RECENZJE, KTÓRE POZWOLĄ WAM PODJĄĆ WYŁĄCZNIE DOBRE DECYZJE

Prowadzący | **Marcin Kubicki**



WYRÓŻNIENIA



Wyróżnienie to otrzymują produkty, które oferują wysoką jakość w przyjaznej dla portfela cenie.



Nagroda dla urządzeń o efektownym, przykuwającym wzrok i oryginalnym wzornictwie.



Wyróżnienie wskazuje ekskluzywne produkty, doskonałe pod względem estetycznym i funkcjonalnym.



Nagroda przyznawana najlepszym gadżetom w swojej klasie, które deklasują konkurencję.



Tym symbolem oznaczamy produkty, które w trakcie testów okazały się po prostu idealne.

eprasa.pl 0a51c839d1

ONEPLUS 15R

KOMPROMISY, KTÓRE MAJĄ SENS



OnePlus od lat gra w tę samą, pozornie prostą grę: jak dać jak najwięcej „flagowca", zabierając tylko to, co naprawdę da się zabrać bez bólu. Seria „R" zawsze była w tej układance czymś w rodzaju dobrze skrojonej wersji – trochę krótszej, trochę tańszej, ale nadal wiernej oryginalnej wizji. OnePlus 15R nie próbuje udawać pełnoprawnego flagowca. On chce być szybki, wydajny i długodystansowy. I w tej roli odnajduje się zaskakująco dobrze.

Po udanych 12R i 13R oczekiwania były wysokie, zwłaszcza że OnePlus zdecydował się na odważny ruch: zamiast odgrzewanego kotleta, dostajemy zupełnie nowy układ Qualcomm Snapdragon 8 Gen 5, który oryginalnie był współtworzony specjalnie z myślą o tym modelu. Co ważniejsze, to pierwszy „R", który faktycznie wprowadza coś nowego, a nie tylko recyklinguje zeszłoroczne podzespoły.

Design? Tu zaczynają się schody. O ile bardzo polubiłem nowy, minimalistyczny kierunek obrany przez OnePlusa w serii 15, o tyle 15R sprawia wrażenie telefonu, który trochę stracił pewność siebie. Jest poprawny, solidnie wykonany, wygodnie leży w dłoni, ale brakuje mu tej ostrości linii i charakteru, jakie miał 13R. Mniejsza wyspa aparatów – teraz już tylko z dwoma sensorami – wizualnie jeszcze to podkreśla. W czerni wygląda nieźle, pastelowa zieleń Mint Breeze uwypukla raczej miękkość formy niż jej klasę. Do tego dochodzi symboliczny koniec ery suwaka alertów – zastąpionego przyciskiem Plus Key, który wyraźnie sygnalizuje nowy priorytet marki – AI zamiast nostalgii.

Za to ergonomii i odporności odmówić mu nie sposób. Gorilla Glass, aluminiowa ramka, aż cztery certyfikaty IP i testy zanurzenia do dwóch metrów robią wrażenie, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, jak niechętnie OnePlus kiedyś w ogóle mówił o wodoszczelności. Szkoda tylko, że przy tej solidności zabrakło ładowania bezprzewodowego – magnetyczne etui są, ale energii nimi nie uzupełnisz.

Ekran to już klasyczny oneplusowy popis. 6,83 cala, AMOLED, 1,5K i odświeżanie aż do 165 Hz w grach. Brak LTPO oznacza nieco gorszą efektywność energetyczną, ale w praktyce trudno na to narzekać, gdy przewijasz interfejs z prędkością, przy której większość konkurencji się zatrzymuje. 3 200 Hz prób-

T3 2 999 PLN | www.oneplus.com

SPECYFIKACJA

CPU Snapdragon 8 Gen 5
EKRAN 6,83" 165 Hz
ŁĄCZNOŚĆ Wi-Fi 7, Bluetooth 6, NFC
BATERIA 7 400 mAh
WYMIARY 163,4 x 77 x 8,3 mm
WAGA 215 g

eprasa.pl 0a51c839d1





OnePlus 15R stawia na wydajność i baterię, nawet jeśli design nie krzyczy „flagowiec".

> TO NIE JEST FLAGOWIEC Z PODCIĘTYMI SKRZYDŁAMI, TYLKO SPRINTER Z MARATOŃSKĄ WYTRZYMAŁOŚCIĄ

kowania dotyku robi swoje – w grach reakcja jest natychmiastowa, a całość sprawia wrażenie sprzętu bardziej esportowego niż lifestyle'owego. Aqua Touch pomaga przy mokrych palcach, choć przy strugach wody nadal potrafi się pogubić. To raczej obietnica przyszłego upgrade'u niż wada sama w sobie.

Wydajność? Tu nie ma żartów. Snapdragon 8 Gen 5, mimo niższego taktowania niż w wersji Elite z OnePlus 15, w codziennym użytkowaniu i grach jest absurdalnie szybki. Godzina *Call of Duty: Mobile* w 165 kl./s bez zadyszki mówi sama za siebie. HyperRendering, OP Gaming Core i własny scheduler OnePlusa robią swoje – to telefon, który został zaprojektowany z myślą o długotrwałym obciążeniu, a nie tylko krótkich benchmarkowych sprintach.

Aparaty są najbardziej oczywistym kompromisem. Brak teleobiektywu boli, zwłaszcza jeśli pamięta się przyjemne 2x i 4x z 13R. Główna matryca 50 Mp robi jednak dokładnie to, czego można się po niej spodziewać: zdjęcia są przyjemne, dynamiczne, choć w nocy miękkie. Ultraszeroki kąt to poprawny dodatek do jasnych scen, a nowa kamera selfie 32 Mp to miła, choć mocno przetworzona poprawa. Wideo – z 4K 120 kl./s – nadrabia kreatywnością to, czego brakuje w fotograficznej elastyczności.

Bateria to prawdziwy gwóźdź programu. 7 400 mAh brzmi jak coś z gamingowego potwora, a w praktyce oznacza dwa, a nawet trzy dni normalnego użytkowania. Do tego 80 W ładowania przewodowego, bypass charging i obietnica niskiej degradacji po czterech latach – OnePlus znów pokazuje, że w kwestii energii gra w swojej lidze.

OxygenOS 16 pozostaje jednym z przyjemniejszych Androidów na rynku. Jest szybki, czytelny i – mimo lekkich inspiracji iOS-em – nadal „swój". Plus Key i Mind Space z integracją Gemini mają sens, choć brak synchronizacji w chmurze na razie studzi entuzjazm. Aktualizacje przez cztery wersje Androida i sześć lat zabezpieczeń to solidny standard, choć konkurencja już zdążyła podnieść poprzeczkę.

OnePlus 15R kosztuje tyle, ile powinien kosztować „niemal flagowiec". Jeśli priorytetem jest fotografia, propozycja OPPO będzie lepszym wyborem. Jeśli jednak liczy się wydajność, ekran i bateria – to bardzo dobrze zbalansowany pakiet.

Ekran 165 Hz to jedna z tych funkcji, do których bardzo szybko się przyzwyczajasz.

WERDYKT

PLUSY Topowa wydajność. Świetny ekran. Potężna bateria i szybkie ładowanie. Dopracowany OxygenOS.

MINUSY Brak teleobiektywu. USB 2.0. Brak ładowania bezprzewodowego

NASZYM ZDANIEM OnePlus 15R to telefon, który rezygnuje z kilku fajerwerków, ale zostawia to, co naprawdę liczy się na co dzień.

OCENA **82**

eprasa.pl 0a51c839d1

ONEPLUS WATCH LITE

ZEGAREK, KTÓRY UDAJE SMARTWATCHA I ROBI TO Z KLASĄ

Są takie urządzenia, które od pierwszego spojrzenia próbują ci coś sprzedać. Funkcje, tabelki, benchmarki, checklisty. OnePlus Watch Lite sprzedaje coś zupełnie innego: wrażenie. Wrażenie, że masz na nadgarstku dojrzały sprzęt nieco droższy i bardziej „premium", niż sugeruje metka z ceną. I – co rzadkie w tej kategorii – robi to bez nachalnego krzyku. Raczej szeptem, jak dobrze skrojony płaszcz albo zegarek kupiony nie w galerii handlowej, tylko u jubilera, który zna swoje rzemiosło.

OnePlus wyciągnął wnioski z własnej historii. Po smartwatchowych eksperymentach z Wear OS-em, które bywały ambitne, ale nie zawsze konsekwentne, tym razem marka skręca w stronę czegoś prostszego i, paradoksalnie, bardziej spójnego. Watch Lite nie próbuje być wszystkim dla wszystkich. To fitness tracker w przebraniu eleganckiego smartwatcha – i trzeba mu oddać, że to przebranie jest naprawdę udane.

Testowałem wersję Silver Steel i to jeden z najlepiej wyglądających zegarków, jakie w ostatnim roku trafiły na mój nadgarstek. Stalowa koperta ma świetny połysk, który łapie światło dokładnie tam, gdzie trzeba, a jasny pasek z subtelnym czerwonym przeszyciem wygląda tak, jakby ktoś w OnePlusie naprawdę lubił zegarki, a nie tylko rysował je w CAD-zie. Całość jest cienka (8,9 mm), lekka i komfortowa – bez tego topornego uczucia, które potrafi zabić nawet najlepiej zaprojektowane nosidło. To jeden z tych sprzętów, które spokojnie można założyć do marynarki i nie czuć dysonansu poznawczego.

Czarna wersja? Mniej mnie przekonuje. Trochę zbyt zachowawcza, trochę zbyt blisko pierwszego OnePlus Watcha. Ale nawet wtedy trudno odmówić Lite'owi solidności: IP68,



T3 ŚWIETNA CENA

T3 699 PLN | www.oneplus.com



wodoodporność do 5 ATM, pływanie bez stresu – coś, czego brakuje niektórym tańszym konkurentom.

Z przodu króluje 1,45-calowy ekran AMOLED i to jest absolutna liga mistrzów jak na tę półkę cenową. Kolory są soczyste, ramki rozsądnie wąskie, a jasność... absurdalna. Do 3 000 nitów. Dla porównania – to poziom, którym Samsung chwalił się przy Galaxy Watchu 8, kosztującym ponad dwa razy więcej. W praktyce oznacza to jedno: pełna czytelność w słońcu, bez mrużenia oczu i bez zgadywania, czy to tempo biegu, czy powiadomienie z *Messengera*. Jeśli biegasz na zewnątrz – docenisz to szybciej, niż myślisz.

System operacyjny potrafi zaskoczyć. Jeśli ktoś liczył na „taniego Wear OS-a", poczuje

SPECYFIKACJA

EKRAN AMOLED 1,46" 464x464 px

BLUETOOTH 5.2

ROZMIAR NADGARSTKA 140-210 mm

WIELKOŚĆ 44,98 x 44,98 x 8,9 mm

WAGA 35 g bez paska, 59 g z paskiem

eprasa.pl 0a51c839d1





> TO FITNESS TRACKER, KTÓRY NIE CHCE WYGLĄDAĆ JAK FITNESS TRACKER

lekkie zdziwienie. To bardziej coś w stylu prostych rozwiązań – szybkich, odchudzonych z ambicji bycia centrum dowodzenia twoim cyfrowym życiem. I po kilku dniach zaczyna to mieć sens. Interfejs jest płynny, responsywny, nieprzeładowany. Są podstawowe funkcje smart: kalendarz, migawka aparatu w telefonie, rozmowy przez wbudowany mikrofon i głośnik. Działa to poprawnie, choć i tak częściej sięgałem po słuchawki.

Są też decyzje, które trudno wytłumaczyć. NFC jest, ale płatności – nie. Obsługa smart locków zamiast Google Pay czy Apple Pay wygląda jak zmarnowana szansa. Zegarek potrafi za to łączyć się z więcej niż jednym telefonem jednocześnie, co brzmi jak funkcja wymyślona specjalnie dla recenzentów takich jak ja, a nie dla realnych użytkowników. Fajnie, że OnePlus myśli nieszablonowo, ale w tym miejscu wolałbym jednak zapłacić zbliżeniowo za kawę.

Tam, gdzie Watch Lite naprawdę błyszczy, jest zdrowie i sport. Lista aktywności jest bogata, GPS dwuzakresowy łapie sygnał w kilka sekund i trzyma go pewnie, a pomiar tętna jest... zaskakująco dokładny. To poziom, który pozwala ufać danym, a nie traktować je jak ciekawostkę.

Do tego dochodzi 60-sekundowy „Wellbeing Overview", czyli szybki check-in organizmu: tętno spoczynkowe, SpO_2, temperatura skóry. Nie jest to medyczna diagnoza, ale jako codzienny barometr samopoczucia działa zaskakująco dobrze. Szkoda jedynie, że analiza snu jest dość powierzchowna – rejestruje dużo, tłumaczy mało. OnePlus mógłby tu zrobić więcej.

A bateria? To jeden z tych momentów, kiedy uśmiechasz się pod nosem. Do 10 dni pracy, realnie około pięciu-sześciu przy intensywnym użytkowaniu z always-on display i treningami. Ładowanie szybkie, stabilne, bez nerwowego poprawiania „pucka". To zegarek, który wybacza zapominalstwo i weekendowe wyjazdy bez ładowarki.

OnePlus Watch Lite kosztuje 700 PLN i dokładnie w tym miejscu znajduje swój sens. Jest pięknym, solidnym i bardzo kompetentnym fitness trackerem dla ludzi, którzy chcą nosić coś, co wygląda jak zegarek, a nie gadżet z siłowni. I w tej roli wypada wyjątkowo przekonująco.

Minimalizm, stal i subtelny detal – OnePlus Watch Lite wygląda jak coś z wyższej półki.

WERDYKT

PLUSY Świetny, bardzo jasny ekran AMOLED. Design. Długi czas pracy na baterii. Bardzo dokładny pomiar tętna. Solidna wodoodporność.

MINUSY NFC bez płatności zbliżeniowych. Brak Wear OS i aplikacji firm trzecich. Mało rozbudowana analiza snu.

NASZYM ZDANIEM OnePlus Watch Lite to zegarek dla tych, którzy wolą dobrze wyglądać i znać swoje ciało, zamiast instalować aplikacje, których i tak nie użyją.

OCENA **86**

eprasa.pl 0a51c839d1

RØDE PHONE CAGE

IPHONE NA SMYCZY PROFESJONALNEGO PLANU FILMOWEGO

T3 389 PLN | www.rode.com

Czasami trafiają w nasze ręce takie akcesoria, które obiecują „profesjonalizm", ale w praktyce kończą jako kolejny gadżet do szuflady. RØDE Phone Cage to jednak taki, który nie próbuje nikogo uwodzić marketingową poezją, tylko po prostu robi swoje. To narzędzie dla ludzi, którzy wiedzą, po co sięgają po smartfona jako kamerę, i nie mają już cierpliwości do kompromisów rodem z TikToka.

Nieprzypadkowo producentem jest RØDE – marka, która od lat dostarcza sprzęt audio obecny zarówno w torbach youtuberów, jak i na planach filmowych czy w newsroomach. Phone Cage jest dokładnie taki jak ich mikrofony: surowy w formie, bardzo inżynieryjny i nastawiony na ekosystem, a nie pojedynczy efekt „wow".

To, co robi największe wrażenie od pierwszego kontaktu, to skala możliwości montażowych. Aluminiowy szkielet wygląda trochę jak klatka bezpieczeństwa w rajdowym samochodzie – nie dlatego, że jest toporny, ale dlatego, że daje poczucie kontroli. Pięć zimnych stopek, dziesiątki gwintów różnych standardów (w tym ARRI z pinami stabilizującymi), a do tego dwa gwinty 3/8 cala.

Najciekawsze jest jednak to, że RØDE zupełnie inaczej podeszło do kwestii samego mocowania telefonu. Zamiast obudowy dopasowanej do konkretnego modelu, dostajemy centralny uchwyt magnetyczny oparty na MagSafe. To rozwiązanie sprytne, przyszłościowe i bardzo „2026" w myśleniu o sprzęcie – zmieniasz telefon, a klatka pozostaje użyteczna. W praktyce oznacza to też coś jeszcze: w trakcie zdjęć możesz jednym ruchem odczepić iPhone'a (lub inny telefon z magnesem w etui z MagSafe) i wrócić do pracy bez gimnastyki.

Podczas pracy – czy to w terenie, czy w półimprowizowanych warunkach – Phone Cage pokazuje swoje prawdziwe oblicze. Jest lekki jak na swoje gabaryty, a jednocześnie na tyle sztywny, że nie ma mowy o mikroruchach czy skrzypieniu przy panoramach. Z zamontowanymi uchwytami pozwala prowadzić kadr spokojniej niż „goły" smartfon, trochę jakbyś przesiadł się z telefonu na małą kamerę dokumentalną. To różnica podobna do tej między słuchaniem koncertu z telefonu a przez porządne monitory – niby ten sam materiał, ale zupełnie inne doznania.

Bardzo trafionym detalem są też cztery kanały prowadzenia kabli w narożnikach. To drobiazg, który docenia się dopiero w boju, gdy mikrofon przestaje dyndać przed obiektywem, a ty nie czujesz się jak ktoś, kto walczy z własnym sprzętem zamiast z ograniczeniami światła czy dźwięku. Przestrzeń między ramą a telefonem jest na tyle duża, że bez problemu podepniesz odbiornik bezprzewodowy czy przejściówkę USB-C – coś, z czym wiele „ciasnych" klatek kompletnie sobie nie radzi.



SPECYFIKACJA

WYMIARY
245 x 35,5 x 126 mm
WAGA 285 g

Nie byłoby jednak uczciwej recenzji bez łyżki dziegciu. Magnetyczne mocowanie, choć bardzo mocne przy normalnym użytkowaniu, ma jedną cechę, o której trzeba wiedzieć: nie lubi sił bocznych. Jeśli zaczynasz podważać telefon przy przepinaniu kabli, MagSafe potrafi puścić. To nie jest wada dyskwalifikująca, raczej cecha charakteru. Gdy już nauczysz się obchodzić z rig'iem bez „dźwigniowania" telefonu, problem znika, ale pierwsze spotkanie bywa pouczające.

Trzeba też jasno powiedzieć: to nie jest zestaw „wyjmij z pudełka i kręć". RØDE zakłada, że masz już swoje uchwyty (szkoda, że nie ma ich w zestawie), mikrofony, lampy – albo przynajmniej wiesz, jakie chcesz mieć. Dla jednych to wada, dla innych – dokładnie to, czego szukali.

WERDYKT

PLUSY Ogromna liczba gwintów i stopek montażowych. Bardzo solidna, a jednocześnie lekka konstrukcja. Kompatybilność z przyszłymi modelami smartfonów. Wygodna przestrzeń na kable i akcesoria. System ARRI.

MINUSY Magnetyczne mocowanie wymaga ostrożności przy przepinaniu kabli. Brak uchwytów w zestawie.

NASZYM ZDANIEM RØDE Phone Cage to gadżet nie dla każdego, ale jeśli traktujesz smartfona jak narzędzie pracy, a nie zabawkę, szybko poczujesz, że to niezbędnik na małym planie filmowym.

OCENA **85**

eprasa.pl 0a51c839d1

HORL 3

OSTRZE POD KONTROLĄ

T3 759 PLN | www.horl.com

Są takie momenty w kuchni, które brutalnie sprowadzają człowieka na ziemię. Jeden z nich to chwila, gdy próbujesz pokroić pomidora drogim nożem, a on zamiast poddać się ostrzu, zaczyna się uginać jak polityczna obietnica po kampanii wyborczej. Wtedy dociera do ciebie, że nie masz problemu z pomidorem – masz problem z ostrzem. I właśnie w tym miejscu do gry wchodzi HORL 3, czyli gadżet, który obiecuje, że ostrzenie noży może być przyjemne, powtarzalne i mieć wyraźny sznyt premium.

Jeśli spędzasz w kuchni więcej czasu, znasz tę klasyczną ścieżkę: od prymitywnej ostrzałki przeciąganej, przez oddawanie noży do punktów usługowych, aż po moment oświecenia, gdy mówisz sobie wprost – jeśli naprawdę szanujesz swoje noże, uczysz się pracy na kamieniach wodnych. Problem w tym, że kamienie – choć skuteczne i niemal mistyczne w swoim rzemiośle – wymagają czasu, cierpliwości i umiejętności.

HORL 3 oferuje coś znacznie więcej niż jedynie brutalną ostrzałkę z marketu, ale nie wymaga wtajemniczenia godnego mistrza sushi z Kioto. Zasada działania jest prosta: ciężki, magnetyczny blok ustawia nóż pod idealnym kątem – 15 lub 20 stopni – a diamentowy walec toczy się wzdłuż krawędzi, zbierając metal w sposób kontrolowany i powtarzalny. Zero zgadywania, zero „na czuja", zero stresu.

Testy były bardzo konkretne. Na warsztat trafił masywny, stalowy nóż, który swoje już przeszedł i którego ostrzenie bywa mozolne. Kilkanaście przejazdów z każdej strony wystarczyło, by sprowadzić ostrze do poziomu, który bez wahania można nazwać bardzo dobrym. Co istotne, bez masakrowania klingi. Finalny efekt był porównywalny z nowym, wysokiej klasy nożem wyjętym prosto z pudełka – do tej pory nieosiągalnym przeze mnie przy korzystaniu z typowych, marketowych ostrzałek.

Nie znaczy to jednak, że HORL jest kuchennym mesjaszem. Przy nożach o nietypowych kształtach, takich jak tasaki czy mocno profilowane klingi, zaczyna się improwizacja. Walec ma swoje ograniczenia, a geometria ostrza potrafi je bezlitośnie obnażyć. Kamień wodny wciąż pozostaje narzędziem absolutnie uniwersalnym – HORL natomiast jest kompromisem. Bardzo mądrym, pasującym do większości zastosowań i użytkowników, ale jednak kompromisem.

Ale może w tym tkwi jego największa siła. To ostrzałka dla ludzi, którzy chcą dbać o swoje noże w sposób efektywny, prosty i estetyczny. Jest czysta, kompaktowa, nie wymaga moczenia ani sprzątania po sesji. Co więcej – jest na tyle intuicyjna, że nawet osoba spoza kulinarnego świata jest w stanie osiągnąć sensowny efekt bez długiego wykładu i nerwowych spojrzeń.

Warto dodać, że w ofercie producenta znajdziemy kilka wariantów: podstawowy 3 Cruise z dyskami stałymi i obudową z plastiku z recyklingu, testowany HORL 3 z wymiennymi dyskami i obudową z dębu lub orzecha, oraz wariant Pro wykonany z aluminium. Są też akcesoria, takie jak Whetstone Extra Fine, który usuwa mikrorysy po tarczy diamentowej, wyrównuje fazę ostrza i wygładza krawędź niemal do lustrzanego efektu. To dodatki dla tych, którzy chcą wycisnąć z systemu maksimum, choć już wersja bazowa daje bardzo satysfakcjonujące rezultaty.

Puenta? HORL 3 nie próbuje zrobić z ciebie mistrza ostrzenia. On robi coś znacznie sprytniejszego – sprawia, że twoje noże znów tną tak, jak powinny, a cały proces przestaje być przykrym obowiązkiem. Zaczyna przypominać krótki, satysfakcjonujący rytuał. A w kuchni – podobnie jak w życiu – to zawsze wartość dodana.



SPECYFIKACJA

TARCZE diamentowa (gradacja 400 grit), ceramiczna (1 000 grit)

KĄT OSTRZENIA 15° i 20°

WYMIARY 133 x 120 x 65 mm

WAGA 780 g

WERDYKT

PLUSY Bardzo powtarzalne i kontrolowane ostrzenie. Prostota obsługi bez utraty jakości. Solidne wykonanie i estetyka premium.

MINUSY Ograniczenia przy nietypowych kształtach noży. Cena może odstraszyć okazjonalnych użytkowników.

NASZYM ZDANIEM HORL 3 to inteligentny kompromis między rzemiosłem a wygodą – dla tych, którzy chcą ostrych noży bez filozofii i bez frustracji.

OCENA 87

eprasa.pl 0a51c839d1

XBLITZ X-RUNNER

BIEŻNIA DO CHODZENIA I TRENINGÓW MIĘDZY ZADANIAMI

T3 999 PLN | www.xblitz.pl

W ostatnich latach bieżnie domowe przeszły subtelną, ale bardzo istotną transformację. Z narzędzi do „robienia formy" stały się sprzętem do codziennego funkcjonowania – czymś pomiędzy ergonomicznym krzesłem, standing deskiem a aplikacją przypominającą, że ciało jednak istnieje. Xblitz X-Runner idealnie wpisuje się w ten trend. To nie jest sprzęt dla maratończyków ani osób polujących na życiówki. To bieżnia dla ludzi, którzy chcą się ruszać pomiędzy spotkaniami na Zoomie.

Już po pierwszym kontakcie widać, że projektanci Xblitz postawili na minimalizm i funkcjonalność. Konstrukcja jest niska, składana i wyraźnie zaprojektowana z myślą o przechowywaniu pod łóżkiem, kanapą czy przy ścianie. Kółka transportowe robią tu ogromną różnicę – X-Runnera nie trzeba dźwigać ani traktować jak sprzętu fitnessowego z siłowni. To raczej domowy gadżet lifestyle'owy, który w razie potrzeby znika z pola widzenia.

Najważniejszy element, czyli silnik, zaskakuje kulturą pracy. Jest wyraźnie cichy, co w praktyce oznacza, że spokojny marsz nie zagłusza rozmów, muzyki ani klawiatury mechanicznej. I to jest kluczowe, bo X-Runner najlepiej czuje się... pod biurkiem. To jedna z tych bieżni, które zachęcają do ruchu nie treningiem, ale ciągłością. Zamiast godzinnej sesji – 20, 30, 40 minut chodzenia w tle dnia pracy. Efekt? Więcej kroków, mniej sztywności, zaskakująco lepsza koncentracja.

Pas biegowy jest antypoślizgowy, a system amortyzacji robi dokładnie to, czego oczekujesz: chroni stawy przy dłuższym, jednostajnym marszu. To nie jest amortyzacja jak z klubowej bieżni premium, ale w tej klasie cenowej spełnia swoją rolę bardzo uczciwie. Kolana faktycznie nie protestują, nawet po kilku tygodniach regularnego użytkowania.

Obsługa X-Runnera jest prosta i intuicyjna. Czytelny wyświetlacz LED pokazuje podstawowe parametry treningu, a pilot zdalnego sterowania okazuje się jednym z tych dodatków, które brzmią jak gadżet, a potem stają się niezbędne. Zmiana prędkości bez schylania się, szczególnie przy złożonej ramie, to drobny detal, który realnie poprawia komfort.

Dużym atutem jest też aplikacja *FitShow*. Nie próbuje być rewolucją w świecie fitnessu, ale daje dostęp do gotowych programów treningowych, historii aktywności i podstawowej analizy danych. Działa stabilnie, łączy się przez Bluetooth bez kaprysów i pozwala sterować bieżnią z poziomu smartfona. Dla osób, które lubią mieć wszystko w jednym ekosystemie, to bardzo sensowny dodatek.

Bluetooth służy również do strumieniowania muzyki na wbudowany głośnik. I choć audiofilom serce raczej tu nie zadrży, to do podcastów, playlist w tle czy porannego radia – w zupełności wystarcza. Plus za możliwość trenowania bez słuchawek, szczególnie w domowym środowisku.

Xblitz X-Runner nie udaje sprzętu sportowego klasy premium i bardzo dobrze, że tego nie robi. To bieżnia zaprojektowana do codziennego ruchu w domowym zaciszu: chodzenia, lekkiego truchtu, aktywnego trybu pracy zdalnej. W cenie około tysiąca złotych oferuje zestaw funkcji, który jeszcze kilka lat temu był zarezerwowany dla droższych konstrukcji: składanie, aplikację, Bluetooth, pilot, amortyzację i przystępną kulturę pracy.

SPECYFIKACJA

MOC SILNIKA 2 KM
PRĘDKOŚĆ
1/6/12 km/h
WYMIARY PO ROZŁOŻENIU
1 178 x 569 x 992 mm
WYMIARY PO ZŁOŻENIU
1 234 x 569 x 115 mm
WAGA 20 kg



WERDYKT

PLUSY Kompaktowa, składana konstrukcja. Cichy silnik. Amortyzacja. Pilot, Bluetooth i aplikacja. Bardzo dobra relacja ceny do funkcjonalności.

MINUSY Przeznaczona głównie do chodzenia, nie do intensywnego biegania. Aplikacja i głośnik spełniają swoje zadanie, ale bez „efektu wow".

NASZYM ZDANIEM Xblitz X-Runner to bieżnia, która nie krzyczy „trening", tylko dyskretnie wprowadza ruch do twojej codzienności.

OCENA **86**

eprasa.pl 0a51c839d1

SONY LINKBUDS CLIP

DOBRE INTENCJE, ŚWIETNE ROZMOWY I KILKA KOMPROMISÓW

T3 799 PLN | www.sony.pl

Po latach silikonowego uszczelniania kanałów usznych, aktywnej redukcji hałasu i obietnic „odcięcia się od świata”, przyszła moda na słyszenie wszystkiego naraz: muzyki, ulicy, ludzi, życia. Sony doskonale to wyczuwa i LinkBuds Clip są kolejnym, bardzo świadomym krokiem w tym kierunku.

Zacznijmy od formy, bo ta jest wyjątkowo „made by Sony”. Cztery wersje kolorystyczne – od czerni, przez modny beż, po zieleń i lawendę – wykończono na wysoki połysk, który wygląda bardziej jak biżuteria niż sprzęt sportowy. Charakterystyczny, elastyczny pałąk w kształcie litery C łączy kulistą część z przetwornikiem, a całość jest zaskakująco komfortowa. Na moich średniej wielkości uszach słuchawki trzymały się pewnie i wygodnie, choć osoby z większymi małżowinami mogą mieć inne odczucia. Sony dorzuca jednak silikonowe nakładki poprawiające dopasowanie, co jest miłym ukłonem w stronę anatomii, która rzadko bywa „jednym rozmiarem dla wszystkich”.

Noszenie ich wymaga chwili cierpliwości. Im bliżej kanału słuchowego znajdzie się przetwornik, tym lepszy bas, ale też mniejszy komfort. Na szczęście gładka powierzchnia pozwala łatwo korygować pozycję słuchawek na uchu, więc po kilku dniach robi się to niemal odruchowo.

Etui jest kompaktowe, estetyczne i... przewidywalne. Dokładnie takie samo jak w innych LinkBudsach, bez ładowania bezprzewodowego, za to z opcjonalnymi, płatnymi coverami. W tej cenie brak Qi boli bardziej niż brak basu w niektórych utworach.

A skoro o dźwięku mowa: LinkBuds Clip grają dobrze, ale nie wybitnie. I to jest uczciwa diagnoza całej kategorii. Żadne słuchawki clip-on nie brzmią „audiofilsko” i Sony nie próbuje nawet udawać, że jest inaczej. Brzmienie jest otwarte, naturalne, przyjemnie zbalansowane, z nieco cofniętym basem, ale dobrą klarownością. Do spacerów, pracy, podcastów i muzyki w tle – więcej niż wystarczające. Do krytycznego odsłuchu? Absolutnie nie.

Na tle konkurencji Sony wypada jednak solidnie. LinkBuds Clip grają naturalniej niż Shokz OpenDots One czy Baseus Inspire XC1, choć różnice są subtelne i raczej nie uzasadniają sporej różnicy w cenie. Pomaga rozbudowana aplikacja Sony z korektorem, DSEE i trybami ograniczania wycieku dźwięku, choć każdy z nich jest kolejnym kompromisem między jakością a funkcjonalnością.

Są za to dwa obszary, w których Sony naprawdę błyszczy. Pierwszy to bateria – do 9 godzin na jednym ładowaniu i niemal 30 godzin z etui to bardzo dobry wynik. Drugi to rozmowy głosowe. LinkBuds Clip wchodzą na poziom, którego się nie spodziewałem. Dzięki połączeniu mikrofonów, czujnika przewodnictwa kostnego i algorytmów AI, słuchawki radzą sobie znakomicie z separacją głosu od hałasu. Testy na ruchliwych ulicach i przy wietrze – nawet obok pracującej śmieciarki – wypadły imponująco.



SPECYFIKACJA

BLUETOOTH 5.3
KODEK SBC, AAC
CZAS PRACY 9 h (z etui do 28 h)
WAGA 6,4 g

Sterowanie dotykowe pozostaje najsłabszym elementem układanki. Wielokrotne stukanie w konkretny punkt pałąka działa, ale nie zawsze i nie wszędzie. IPX4 daje spokój ducha przy deszczu i pocie, ale ergonomia sterowania nie nadąża za sportowymi ambicjami.

Ostatecznie LinkBuds Clip to bardzo „dorosły” produkt. Spokojny, przemyślany, pozbawiony fajerwerków, ale solidny w tym, co robi najlepiej. Problemem jest cena, która każe zastanowić się nad ich zakupem. Gdyby kosztowały wyraźnie mniej, mówilibyśmy o jednej z ciekawszych propozycji w segmencie open. W tej cenie to sprzęt dla aktywnych użytkowników, dla których wygoda liczy się bardziej niż perfekcja dźwięku.

WERDYKT

PLUSY Wygodna konstrukcja i świetne wykończenie. Naturalne, przyjemne brzmienie jak na słuchawki otwarte. Znakomita jakość rozmów. Solidny czas pracy na baterii. Stabilne połączenie i multipoint.

MINUSY Wysoka cena. Brak ładowania bezprzewodowego etui. Mało intuicyjne sterowanie dotykowe.

NASZYM ZDANIEM LinkBuds Clip to jak dobrze skrojony strój na jogging – świetna jakość i wygoda, ale cena sprawia, że musi to być świadomy zakup tego typu konstrukcji.

OCENA **80**

eprasa.pl 0a51c839d1

LOVENSE GUSH 2

TECHNOLOGIA, KTÓRA UCZY CIERPLIWOŚCI

T3 379 PLN | www.lovense.com

Lovense od lat buduje wrażenie, że w sypialni jest im bliżej do inżynierów dźwięku niż do sprzedawców cudownych tabletek. Gush 2 jest tego najlepszym dowodem. To urządzenie nie obiecuje fajerwerków na zawołanie, za to proponuje proces. I robi to w sposób zaskakująco dojrzały.

Zamiast klasycznego tarcia w stylu większości gadżetów erotycznych dla mężczyzn, dostajemy precyzyjną oscylację – punktowy nacisk, który trafia tam, gdzie trzeba, i w rytmie, który można modulować. To nie jest gadżet dla niecierpliwych. To raczej odpowiednik długiego, taktycznego meczu, w którym liczy się kontrola tempa, a nie sprint po gwizdku.

Pierwsze wrażenie? Minimalizm i kultura. Opakowanie nie krzyczy, urządzenie nie epatuje formą, a materiały sprawiają wrażenie, jakby ktoś faktycznie myślał o komforcie, a nie tylko o tabelce ze specyfikacją. Silikon jest miękki, „skórzany" w dotyku, a konstrukcja otwarta – sprytna, bo nie narzuca jednego scenariusza. Dwa regulowane paski dają wolność, ale też uczą, że precyzja ma znaczenie – źle ustawione potrafią odebrać magię, dobrze – zmienić wszystko.

Najważniejsze dzieje się jednak pod powierzchnią. Oscylacja w Gush 2 nie jest kolejną nazwą marketingową określającą wibrację. To realnie inny rodzaj bodźca: głębszy, bardziej pulsujący, mniej „bzyczący". Brzmi to jak różnica między tanim głośnikiem Bluetooth a porządnym subwooferem – oba grają, ale tylko jeden naprawdę pracuje z ciałem. Efekt? Świetne narzędzie do budowania napięcia, do edge'owania, do długich sesji, które kończą się nie eksplozją, a świadomą przyjemnością.

Hands-free? Tak, ale z gwiazdką. Gush 2 potrafi zostać na miejscu i działać samodzielnie, jednak nie każdemu i nie zawsze da pełen finał bez żadnej interwencji. I dobrze. To uczciwe urządzenie – nie obiecuje cudów, tylko proponuje opcje. Najlepiej czuje się w trybie hybrydowym: trochę prowadzi, trochę daje się prowadzić. Jak dobry partner w tańcu, który nie ciągnie za rękę, ale reaguje na ruch.

Aplikacje i zdalne sterowanie? Są, działają stabilnie i sensownie, choć – paradoksalnie – nie one kradną tu show. W przeciwieństwie do innych gadżetów producenta, to raczej przyprawy niż danie główne. Największą siłą Gush 2 jest jego fizyczność i to, jak potrafi zmienić sposób myślenia o męskiej stymulacji. Z „szybko i do celu" na „sprawdźmy, dokąd to nas zaprowadzi".

Nie jest to zabawka dla każdego. Jeśli ktoś szuka brutalnej prostoty albo mechanicznego działania, może poczuć niedosyt i powinien pomyśleć o modelach Max czy Solace.



SPECYFIKACJA

CZAS PRACY
do 110 minut

CZAS ŁADOWANIA
75 minut

TRYB CZUWANIA
do 120 godzin

WODOODPORNOŚĆ
IPX7

WAGA 195 g



Ale jeśli kogoś interesuje technologia, która nie infantylizuje przyjemności i nie udaje, że zna odpowiedź na wszystko – Gush 2 trafia w punkt. Trochę jak dobry film, który nie tłumaczy każdej sceny, tylko zostawia przestrzeń na własną interpretację.

WERDYKT

PLUSY Precyzyjna oscylacja, realnie inna od standardowej wibracji. Wysoka kultura wykonania. Aplikacja.

MINUSY Nie dla niecierpliwych.

NASZYM ZDANIEM Gush 2 to nie gadżet do szybkiego zwycięstwa, tylko do mądrej, długiej gry.

OCENA **86**

eprasa.pl 0a51c839d1

LOFTIE LAMP

BUDZIK, KTÓRY NIE DZWONI

T3 1 112 PLN | www.byloftie.com

Loftie Lamp to jeden z tych produktów, które trafiają dokładnie w punkt zmęczenia współczesnością. W świecie, w którym budzi nas alarm w telefonie pełnym powiadomień, newsów i nieproszonych myśli o pracy, Loftie mówi: odłóż smartfona, ja się tym zajmę. I co ważne – nie robi tego protekcjonalnie ani na siłę. To nie manifest, raczej cicha propozycja zmiany rytmu.

Forma jest minimalistyczna, miękka, bez ostrych krawędzi. Loftie Lamp wygląda jak przedmiot zaprojektowany z myślą o wieczorach, a nie o specyfikacji. Pasuje do sypialni, która aspiruje do bycia azylem, a nie showroomem technologii.

Ale prawdziwa opowieść zaczyna się w aplikacji. Loftie bardzo sprytnie rozwiązuje problem, który dotyka większości „inteligentnych" urządzeń: zamiast przywiązywać cię do telefonu, pozwala się od niego uwolnić. Konfigurujesz wszystko w aplikacji – godziny pobudki, tryby światła, tempo rozjaśniania, kolory – a potem telefon może zniknąć z sypialni. To drobna zmiana, która w praktyce robi ogromną różnicę dla jakości wieczoru i poranka.

Największą gwiazdą programu jest oczywiście symulacja wschodu słońca. Loftie oferuje trzynaście gotowych gradientów inspirowanych miejscami z całego świata. To brzmi jak marketingowy banał, dopóki faktycznie nie zobaczysz różnicy między chłodniejszym Santorini a ciepłym, niemal wakacyjnym Joshua Tree. To nie są przypadkowe kolory – te przejścia mają rytm, spójność i bardzo przyjemne fazy. Światło nie „zapala się", tylko powoli wpełza do pomieszczenia, jakby dzień dostał od ciebie zielone światło. Dziewięć minut stopniowego rozjaśniania wystarcza, by mózg zdążył się obudzić, zanim ciało zaprotestuje.

Wieczory są równie dopracowane. Tryb „sunset" działa jak świetlny sygnał dla organizmu – to moment, żeby zwolnić, zamknąć laptopa, nie zaczynać kolejnego odcinka serialu. Światło stopniowo gaśnie, a ciepłe barwy pomagają organizmowi przełączyć się w tryb nocny. Szkoda tylko, że w tym trybie nie da się personalizować kolorów – to jeden z niewielu momentów, kiedy Loftie mówi „zaufaj nam", zamiast „zrób to po swojemu".

Jest też tryb czerwonego światła, który realnie ma sens i pozwala uniknąć niebieskiego światła przed snem. Wspiera także produkcję melatoniny i sprawia, że wieczorne wstawanie po wodę nie wybija cię z nocnego rytmu. To detal, ale właśnie z takich detali składa się doświadczenie Loftie.



SPECYFIKACJA

MATERIAŁ poliwęglan
MATERIAŁ KLOSZA stal
WYMIARY Z KLOSZEM 40,6 x 29,2 x 22,9 cm
ŚREDNICA PODSTAWY 10,2 cm
WAGA 0,96 kg

Na co dzień zaskakująco dobrze sprawdza się też tryb czytania – miękki, nienachalny, idealny do książki albo „T3". Nie jest to światło do pracy ani do precyzyjnych zadań, ale w sypialni sprawdza się dokładnie tak, jak powinno.

Nie obyło się jednak bez zgrzytów. Loftie Lamp wymaga stabilnego Wi-Fi i potrafi się obrazić, gdy sieć nie współpracuje. Proces ponownego parowania bywa frustrujący, szczególnie na początku. Cena również stawia ją w kategorii bardzo świadomego wyboru, a nie impulsywnego zakupu. I jeśli ktoś oczekuje dodatkowych funkcji audio czy białego szumu, musi spojrzeć raczej w stronę Loftie Clock niż samej lampy.

Po kilku tygodniach z Loftie Lamp dochodzisz jednak do wniosku, że to nie jest zwykły gadżet. To element rytuału. Światło, które nie próbuje być wszystkim naraz, tylko bardzo konsekwentnie robi jedną rzecz – pomaga zasnąć i obudzić się w bardziej ludzkim tempie. Bez dzwonków, bez krzyku, bez stresu.

WERDYKT

PLUSY Dopracowana aplikacja. Piękne, przemyślane gradienty wschodu słońca. Udany tryb czerwonego światła. Design, który pasuje niemal do każdej sypialni.

MINUSY Wysoka cena. Zależność od stabilnego Wi-Fi. Brak personalizacji kolorów w trybie wieczornym. Brak funkcji dźwiękowych.

NASZYM ZDANIEM Loftie Lamp nie budzi cię do życia – ona pozwala spokojnie zacząć dzień.

OCENA **78**

eprasa.pl 0a51c839d1

BMW X3
M50 XDRIVE

STRADIVARIUS NA 21 CALACH

Istnieją takie auta, które odpalasz i po pięciu minutach wiesz, że cała reszta będzie tylko przypisem do jednego elementu. W BMW X3 M50 xDrive (G45) tym elementem jest rzędowa szóstka B58 – instrument tak dopracowany, że mógłby grać w filharmonii, nawet jeśli ktoś dla hecy umieścił w niej najnowszego iPada z iDrive 9. Ten samochód chce być jednocześnie szybkim luksusem, rodzinnym narzędziem i cyfrową wizją przyszłości, a ja dorzucam do tego jeszcze jeden filtr: polski cennik i konfigurację, która nie udaje „rozsądnej". Gdy na fakturze pojawia się 480 900 PLN, przestajesz kupować „X3 z mocnym silnikiem", a zaczynasz obietnicę, że ten SUV będzie szybki, komfortowy i na co dzień dopracowany – bez chwytania się wymówek.

Z zewnątrz nowe X3 potrafi zrobić psikusa. W internecie bywa jak projekt, który uciekł z prezentacji o SUV-ach przyszłości i wylądował w salonie bez konsultacji z działem „tradycja". Na żywo jest dużo lepiej – bryła jest bardziej spójna, proporcje lepiej osadzone, a samochód nie próbuje być subtelny. Jest dłuższy i szerszy od poprzednika, a jednocześnie niższy, więc wygląda bardziej atletycznie, jak zawodnik, który przestał udawać, że „tylko trenuje dla zdrowia". Moja konfiguracja dokłada do tego odpowiedni akcent: Iconic Glow na grillu, czarne M Shadowline, cztery końcówki wydechu i 21-calowe obręcze M Star-spoke 1037 bicolor. To wizualny komunikat bez przecinków – nie jestem bazową wersją w garniturze. Tyle że 21 cali to też skórzana kurtka w styczniu – wygląda genialnie, ale czasem przypomina, że komfort ma swoją cenę.

W środku BMW gra w dwie gry naraz. Z jednej strony jest nowoczesne „wow": zakrzywiony zestaw ekranów pod jedną taflą szkła, geometryczna architektura deski i ambient, który nocą potrafi zmienić kabinę w scenografię do filmu science fiction – takiego, w którym bohater jedzie na spotkanie z własnym przeznaczeniem, a nie po bułki. Mój egzemplarz robił sporo, żebym miał mu wybaczyć wszystko. Skóra BMW Individual Merino Black/Atlas Grey, deska rozdzielcza Luxury, szczotkowane aluminium, podsufitka M Anthracite, pasy z przeszyciami w barwach BMW M, sportowe fotele z wentylacją i ogrzewaniem, do tego panorama nad głową – to wszystko buduje atmosferę, w której łatwo wpaść w myślenie: „okej, tu jest klasa". Pozycja za kierownicą też jest klasycznie bmw-owska: siedzisz pewnie, masz poczucie kontroli i tego, że kabina została narysowana z myślą o kierowcy.



T3 Cena modelu testowego | 480 900 PLN

eprasa.pl 0a51c839d1

“

Z ZEWNĄTRZ AWANGARDA, W ŚRODKU CYFROWY MINIMALIZM, A POD MASKĄ CZYSTA, SZEŚCIOCYLINDROWA POEZJA – I TO ONA WYGRYWA TEN TEST









SPECYFIKACJA

NAPĘD benzynowy
3.0 – mild hybrid 48 V

MOC 398 KM

0-100 KM/H
4,6 sekundy

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
250 km/h

MAKSYMALNY MOMENT OBROTOWY
580 Nm

eprasa.pl 0a51c839d1



Testem cierpliwości jest natomiast ergonomia klimatyzacji i nawiewów. To temat, który wraca jak refren i trudno się dziwić. W sytuacjach, w których samochód ma cię ratować – zimą, w deszczu, w nocy, przy zaparowanej szybie – nie chcesz mocować się z interfejsem. Chcesz kliknąć, przekręcić i wrócić wzrokiem na drogę. BMW poszło w stronę nowoczesnego minimalizmu, ale ten minimalizm bywa jak designerski czajnik: piękny, dopóki nie próbujesz nalać wody jedną ręką. iDrive 9 działa szybko i wygląda świetnie, ale jego logika bywa jak serial, który ma za dużo wątków pobocznych. BMW na szczęście zostawia pokrętło iDrive, więc nie musisz dotykać ekranu jak smartfona podczas jazdy, ale część funkcji i tak ląduje głęboko w menu. Tak, brak dającej informację zwrotną haptyki, to rzecz, o której nie pisałbym w wielu samochodach, ale w takim aucie oczekiwania są najwyższe. Do tego regulacja asystentów potrafi wymagać kilku kroków i chwili nieuwagi, czyli dokładnie tego, czego w aucie nie chcę trenować.

Technologia ma też jednak jasną stronę: systemy asystujące kierowcy Professional, Parking Assistant Professional z kamerami 360, head-up display i cały pakiet rozwiązań, które mają zdejmować z głowy stres. I rzeczywiście robią to w sposób topowy. W mieście kamery i parkowanie działają jak dodatkowy zmysł, na trasie asystenci odciążają, a HUD pomaga utrzymać rytm jazdy bez ciągłego zerkania na zegary. To najwyższej klasy rozwiązania. Tym bardziej chciałbym w przyszłości zmian, które sprawiłyby, że byłoby prościej i czyściej.



I wtedy naciskasz gaz i nagle wszystko się wyjaśnia. B58 w tej iteracji jest jak najlepszy utwór na płycie, po którym reszta brzmi jak obudowywanie wokół tego elementu. 293 kW (398 KM), 580 Nm i 0–100 km/h w 4,6 s robią wrażenie na papierze, ale liczby są tylko napisami końcowymi. Najważniejsze jest to, jak ten układ napędowy niesie auto bez wysiłku. Reakcja na gaz jest tak szybka, że chwilami zapominasz o turbosprężarce, a mild hybrid wygładza starty i przejścia tak, że Start/Stop przestaje być tematem. Ośmiobiegowy automat jest w punkt – w spokojnej jeździe płynie jak oscarowy montaż w kinie, a w trybach dynamicznych potrafi zagrać brutalniej, z mocniejszym „kopnięciem" przy zmianach biegów, jakby SUV na chwilę przypominał sobie, że w rodzinie ma literę M. Dźwięk? Możesz żyć z tym, że część emocji jest podbita przez audio, ale dobrze, że da się to wyłączyć i zostawić bardziej naturalny pomruk. Wtedy robi się „dokument", nie „teledysk".

X3 M50 ma dwie osobowości i obie są przekonujące. W Comfort jest miękko, cicho i luksusowo, jakby ktoś przykrył świat grubym dywanem. To tryb na dojazdy, autostrady i te dni, kiedy jedyne, czego chcesz od motoryzacji, to żeby nie przeszkadzała. Jest lekka zwłoka w reakcjach i trochę więcej przechyłu, ale też spokój, którego oczekujesz od SUV-a tej klasy. W Sport wszystko się spina – układ kierowniczy robi się bardziej bezpośredni, adaptacyjne zawieszenie M trzyma nadwozie krócej, a napęd xDrive zostawia wrażenie, że tył ma coś do powiedzenia. To nie jest auto, które wymaga od ciebie koncentracji jak hot hatch albo coupé, bo fizyki nie oszukasz i te ponad dwie tony zawsze gdzieś tam są. Ale to jest bardzo szybki, pewny SUV, który daje frajdę z tempa i kontroli,

eprasa.pl 0a51c839d1



Iconic Glow i cztery końcówki wydechu robią z X3 M50 deklarację, a nie sugestię.

a nie z czystej, analogowej komunikacji. I w tej roli jest cholernie skuteczny.

W tej układance 21-calowe koła są pięknym i bezczelnym przypisem. Potrafią dołożyć nerwowości na krótkich nierównościach i wpuścić więcej szumu do kabiny przy wyższych prędkościach, niż chciałbyś w aucie tej klasy. Jednocześnie komfort nie rozpada się w proch, bo adaptacyjne zawieszenie M trzyma konstrukcję w ryzach, a tłumienie nie znika nagle jak drugoplanowy bohater po pierwszym sezonie. Po prostu czujesz, że wybrałeś wariant, w którym wygląd i obecność są częścią umowy. Ja tę umowę rozumiem, a jeśli ktoś chce, może ją dostosować bardziej do siebie dzięki innym rozwiązaniom konfiguracyjnym.

Codzienność w tym BMW ma sens praktyczny. Bagażnik jest duży i ustawny (570 l), a w mojej specyfikacji dochodzą rzeczy, które w realnym życiu robią większą różnicę niż kolejny „tryb": elektryczny hak holowniczy, rolety tylnych szyb, ogrzewanie postojowe, grzana kierownica, panoramiczny dach i pakiety komfortu. To są dodatki, które doceniasz nie w dniu konfiguracji, tylko w styczniu o siódmej rano albo w sierpniu w korku, kiedy asfalt wygląda jak patelnia. Pasażerowie z tyłu mają dużo miejsca, a panoramiczny dach potęguje wrażenie przestronności. To auto, którym rano odwieziesz dzieci do szkoły, a po południu poczujesz się jak król lewego pasa, nie czując, że któryś z tych światów został zaniedbany. Spalanie też potrafi mile zaskoczyć. WLTP obiecuje okolice 8 l/100 km, w realu osiągnąłem nieco ponad 9, a przy ciężkiej nodze można dobić pewnie i do 11. Ale przy prawie 400 KM i masie powyżej dwóch ton to i tak jest wynik, który bardziej mówi o dopracowaniu układu napędowego niż o cudach.

A cena? Jest wysoka, jednak z dwoma „ale". Po pierwsze X3 można kupić od 263 500 PLN, a wariant M50 xDrive od 380 500 PLN. Po drugie, nawet przy skrajnie dopakowanym modelu testowym, kosztującym 480 900 PLN, konkurencja wcale nie ma prostej odpowiedzi: Audi SQ5 kusi rozsądkiem, ale nie ma tej szlachetności pracy sześciu cylindrów, Mercedes-AMG GLC 43 gra dziś na czterech cylindrach i nawet jeśli jest szybki, bywa mniej „arystokratyczny", a Porsche Macan potrafi zachwycić, tylko że w konfiguracji podobnej do mojej będzie znacznie droższy. Zostaje pytanie o sens litery „M" w nazwie. Jeśli znaczek ma być religią, zawsze znajdzie się ktoś, kto powie, że to nie jest „prawdziwe M". Jeśli ma być obietnicą połączenia sportu i komfortu, X3 M50 tę obietnicę dowozi po stokroć. W tej cenie chciałbym mniej przesady w cyfrowej komplikacji, ale gdy tylko wyjeżdżasz z parkingu i pozwalasz rzędowej szóstce oddychać, pretensje robią się cichsze.

BMW X3 M50 xDrive to SUV, który potrafi oczarować. Ma duszę i charakter, którego próżno szukać u wielu konkurentów. To wybór dla kogoś, kto żyje przyszłością, ale wciąż czuje dreszcz na dźwięk mechanicznej symfonii. Nie jest to auto idealne, ale jest to auto, które się pamięta. Za kilka lat będziemy o nim pisać z nostalgią, wspominając czasy, gdy Monachium potrafiło tak genialnie połączyć ogień z wodą.

OCENA

92

WERDYKT

PLUSY Fenomenalny silnik B58. Udany balans Comfort/Sport. Bogata specyfikacja realnie poprawiająca codzienność. Zaskakująco rozsądne zużycie paliwa jak na masę i osiągi.

MINUSY Sterowanie HVAC i część funkcji w menu.

NASZYM ZDANIEM BMW X3 M50 xDrive to dowód na to, że świetny silnik i dobrze zestrojone podwozie wciąż potrafią zdefiniować cały samochód.

eprasa.pl 0a51c839d1

XPENG G6
AWD PERFORMANCE PRO

KIEDY TECHNOLOGIA WIE WIĘCEJ NIŻ ZAWIESZENIE



Czasami trafiają się samochody, które od pierwszych metrów robią coś bardzo prostego i bardzo trudnego zarazem: budują z kierowcą nić porozumienia. Nie muszą być idealne, nie muszą nawet być szczególnie szybkie, ale od razu czujesz, że ktoś po drugiej stronie projektu pamiętał, po co w ogóle istnieje kierownica, pedały i zawieszenie. Bywają jednak też auta jak randka umówiona przez aplikację. Zdjęcia perfekcyjne, opis przygotowany przez copywritera po trzeciej kawie, lista zalet dłuższa niż regulamin Spotify. A potem spotkanie na żywo i to jedno pytanie, którego nie da się już „odkliknąć": to naprawdę miało być to? XPeng G6 w nowej, mocniejszej wersji bardzo często ląduje właśnie w tej drugiej kategorii.

To samochód, który za wszelką cenę chce być „Smart EV", mobilnym gadżetem nowej generacji, technologiczną odpowiedzią na wszystko, co kojarzy się z przyszłością. Problem w tym, że w kluczowych momentach zapomina, że wciąż jest samochodem, a nie tabletem na kołach z homologacją. Na papierze wszystko się zgadza. Nowy G6 AWD Performance ma 487 koni mechanicznych, przyspiesza jak rasowy, współczesny SUV i korzysta z architektury 800 V, która teoretycznie pozwala na ładowanie z mocą sięgającą absurdalnych 451 kW. Od dziesięciu do osiemdziesięciu procent w około dwanaście minut brzmi jak obietnica z prezentacji Elona Muska sprzed kilku lat. Kluczowe słowo brzmi jednak „teoretycznie", bo w realnym świecie znalezienie stacji DC, która faktycznie pozwoli wykorzystać ten potencjał, graniczy dziś z cudem porównywalnym do trafienia winyla *Spalam się* Kazika w idealnym stanie na pchlim targu.

Owszem, przyspieszenie robi wrażenie. Około 4,1 sekundy do setki to wynik, który jeszcze dekadę temu był domeną sportowych ikon, a dziś służy głównie do wygrywania startu spod świateł i robienia wrażenia na pasażerach. Tyle że w świecie elektryków sama dynamika przestała być wyznacznikiem jakości. Im więcej mocy, tym większy apetyt na energię i tym bardziej widać kompromisy. Nowa wersja G6 traci około czterdziestu kilometrów zasięgu względem poprzedniej, a zużycie prądu rośnie szybciej niż ceny biletów lotniczych w sezonie wakacyjnym. To bardzo czytelny sygnał: ktoś postawił na liczby, które dobrze wyglądają w tabelce, kosztem codziennej funkcjonalności.

I tu pojawia się pierwszy poważny paradoks tego auta. Więcej mocy i szybsze ładowanie brzmią jak idealna kombinacja, ale realny zasięg i efektywność energetyczna wypadają gorzej niż u głównych konkurentów. W praktyce oznacza to częstsze wizyty przy ładowarkach i większą nerwowość w trasie, bo nagle okazuje się, że ta imponująca specyfikacja nie zawsze pracuje na twoją korzyść. To trochę jak posiadanie superszybkiego laptopa z baterią, która kończy się po trzech godzinach – technicznie zachwyca, życiowo zaczyna męczyć.

T3 Cena modelu testowego | 257 900 PLN

SPECYFIKACJA

NAPĘD elektryczny RWD

MOC 487 KM

0-100 KM/H
4,1 sekundy

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
202 km/h

ZASIĘG W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
510 km

eprasa.pl 0a51c839d1





Prawdziwe problemy zaczynają się jednak tam, gdzie kończą się tabelki, a zaczyna asfalt. To, co naprawdę definiuje komfort i poczucie jakości, dzieje się pomiędzy zakrętami i na nierównych drogach, a tutaj XPeng po prostu sobie nie radzi. Zawieszenie sprawia wrażenie niedostrojonego, jakby ktoś zamknął projekt o jeden etap za wcześnie. Auto buja się, wyraźnie przechyla w zakrętach, a na gorszej nawierzchni potrafi podskakiwać w sposób, który bardziej przypomina wczesną wersję oprogramowania niż gotowy produkt. W dłuższej trasie to nie jest drobna irytacja, tylko realne odbieranie przyjemności z jazdy, szczególnie gdy zestawimy G6 z bardziej ułożonymi rywalami z Europy.

Układ kierowniczy tylko pogłębia to wrażenie. Jest tak mało komunikatywny, że momentami trudno powiedzieć, co właściwie robią przednie koła. Nie chodzi o sportowe emocje czy precyzję rodem z hot hatcha. Chodzi o podstawowe poczucie kontroli, które powinno być oczywiste nawet przy spokojnej jeździe. Tutaj tego brakuje, a samochód sprawia wrażenie, jakby cały czas filtrował rzeczywistość przez warstwę algorytmów, zamiast po prostu pozwolić kierowcy prowadzić.

Wnętrze doskonale wpisuje się w tę narrację rozdźwięku między obietnicą a codziennością. Na pierwszy rzut oka jest nowoczesne, minimalistyczne i schludne. Materiały są w porządku, spasowanie nie razi, a dodatkowy ekran przed kierowcą faktycznie zasługuje na pochwałę. Problem zaczyna się w momencie, gdy próbujesz z tym wszystkim normalnie żyć. Ergonomia praktycznie nie istnieje. Kluczowe funkcje, od rekuperacji po tryby jazdy, wylądowały w menu dotykowym, które wymaga zbyt wielu kliknięć i zbyt dużej precyzji. Ikony są małe, reakcje nie zawsze natychmiastowe, a asystent głosowy działa wtedy, kiedy sam uzna, że ma na to ochotę. To bardziej pokaz możliwości sztucznej inteligencji niż realna pomoc dla kierowcy.

Nagłośnienie brzmi naprawdę dobrze i spokojnie można by go słuchać godzinami, gdyby nie fakt, że każda zmiana temperatury czy ustawień jazdy wymaga oderwania wzroku od drogi. W aucie, które aspiruje do miana inteligentnego, jest to żart raczej z tych gorzkich niż zabawnych. Przestrzeń wewnątrz na szczęście wypada znacznie lepiej. Tylna kanapa jest obszerna, podłoga płaska, a bagażnik duży i ustawny. Tyle że nawet tutaj pojawiają się niezrozumiałe decyzje, jak brak schowka przed pasażerem czy brak przedniego bagażnika w elektrycznym SUV-ie. To drobiazgi, które same w sobie nie przekreślają auta, ale razem budują wrażenie nadmiernych uproszczeń.

Do tego dochodzi skromna sieć dealerska i brak Android Auto oraz Apple CarPlay w momencie debiutu. W 2026 roku brzmi to jak dowcip z czasów, gdy wszyscy jeszcze pytali, czy elektryki „mają sens". Obietnica, że coś zostanie dodane później, to dziś za mało. Rynek EV jest zbyt dojrzały i zbyt konkurencyjny, by kupować samochód na kredyt zaufania.

A potem jest jeszcze cena. W wersji Performance XPeng G6 kosztuje tyle, co dobrze wyposażone, sprawdzone SUV-y spalinowe albo elektryki o znacznie lepszej renomie i bardziej dopracowanym charakterze. W zestawieniu z przeciętnym prowadzeniem, słabym zawieszeniem i toporną obsługą systemów pokładowych, ta cena staje się bardzo trudna do obrony. To nie jest zły samochód, ale to zdecydowanie samochód, który chce więcej, niż realnie oferuje.

XPeng G6 pozostaje więc autem pełnym sprzeczności. Ambitnym technologicznie, wizualnie poprawnym, ale niedojrzałym tam, gdzie liczy się najbardziej. To samochód, który bardziej chce imponować slajdem w PowerPoincie niż doświadczeniem zza kierownicy. A historia motoryzacji pokazuje dość jednoznacznie, że takie podejście rzadko kończy się sukcesem.

WERDYKT

PLUSY Bardzo dobre osiągi i efektowne przyspieszenie. Architektura 800 V. Przestronne wnętrze i wygodna tylna kanapa.

MINUSY Słabo zestrojone zawieszenie. Komfort i odbiór auta w trasie. Mało komunikatywny układ kierowniczy. Wyższe zużycie energii i krótszy zasięg względem poprzedniej wersji. Toporna ergonomia.

NASZYM ZDANIEM XPeng G6 imponuje technologią i liczbami, ale jako samochód wciąż jest bardziej obietnicą przyszłości niż przekonującą propozycją na dziś.

OCENA **50**

eprasa.pl 0a51c839d1

ALFA ROMEO JUNIOR ELETTRICA VELOCE

WŁOSKI TEMPERAMENT NA PRĄD

Alfa Romeo to marka, która zawsze miała w sobie coś więcej niż tylko blachę, konie mechaniczne i tabelki w Excelu. To emocja, zapach benzyny zmieszany z historią torów wyścigowych. Problem w tym, że przez ostatnie dwie dekady ta emocja bywała podszyta frustracją: jakością, niezawodnością i finansową zadyszką. Alfa Romeo dziś próbuje wrócić do gry – i robi to, co dla wielu fanów było nie do pomyślenia jeszcze kilka lat temu: stawia na pełną elektryfikację.

Alfa Romeo Junior Elettrica Veloce trafia w sam środek najbardziej obleganego segmentu współczesnej motoryzacji, czyli miejskich crossoverów. Tyle że zamiast grzecznie ustawić się w kolejce obok kolejnych poprawnych, bezpiecznych i kompletnie bezpłciowych EV, Junior próbuje być... Alfą. Nawet jeśli oznacza to pójście pod prąd.

W testowanej wersji Veloce dostajemy 280-konny silnik na przedniej osi – najmocniejszą konfigurację w gamie – oraz tę samą platformę, na której stoją wersje spalinowe. Już na pierwszy rzut oka widać, że stylistyka nie została „odchudzona" na potrzeby elektromobilności. Charakterystyczny, trójlistny grill, znany z Alf od czasów powojennych, dalej dumnie nosi węża z logo marki, choć w elektryku pełni głównie funkcję symboliczną. Podobnie jak wloty powietrza – zupełnie zbędne, ale jakże potrzebne wizualnie.

Junior nie jest najpiękniejszą Alfą w historii, ale w świecie samochodów projektowanych pod algorytmy i badania fokusowe ma w sobie wyraźną osobowość. Agresywne, wąskie reflektory rysują groźną twarz, a przy okazji świecą fenomenalnie, nie oślepiając innych. Linia boczna to klasyczny „podniesiony hatchback", z kontrastowym dachem i ukrytą klamką tylnych drzwi, która sprytnie czyści sylwetkę. Wersja na 20-calowych kołach wygląda znakomicie – współczesna interpretacja motywu quadrifoglio jest tu jednym z najmocniejszych akcentów – choć fizyka szybko przypomni, że styl i zasięg rzadko idą w parze.



T3 Cena modelu testowego | 240 800 PLN

Tył auta to hołd dla dawnych Alf: listwa LED spinająca lampy, piękny napis „Alfa Romeo" i subtelny ducktail, który robi więcej roboty, niż mogłoby się wydawać. Bez niego Junior mógłby zniknąć w tłumie crossoverów, ale z nim – ma swój podpis.

W środku jest... bardzo po alfowemu. Wszystko, czego dotykasz najczęściej, jest miękkie, przyjemne i dobrze wykończone. Alcantara na kierownicy i konsoli centralnej robi świetne wrażenie, podobnie jak kubełkowe fotele Sabelt Corsa, które obejmują ciało jak dobrze skrojona marynarka. Problem w tym, że to marynarka szyta pod tor, a nie pod codzienne dojazdy do biura. Są rewelacyjne w prowadzeniu, ale wysokie, twarde i zwyczajnie niewygodne w miejskim użytkowaniu – a do tego brutalnie ograniczają przestrzeń z tyłu.

Tylna kanapa jest po prostu za mała. Dostęp utrudnia nietypowy kształt drzwi, miejsca na kolana brakuje nawet przy maksymalnie odsuniętych

SPECYFIKACJA

NAPĘD
elektryczny FWD

MOC 280 KM

0-100 KM/H
5,9 sekundy

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
200 km/h

ZASIĘG W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
322 km

eprasa.pl 0a51c839d1





> TO JEDNA Z TYCH ALF, KTÓRE KOCHA SIĘ SERCEM, ALE NA CO DZIEŃ BYWA BARDZIEJ WYMAGAJĄCA, NIŻ SUGERUJE JEJ UROK

Charakterystyczny pas LED i napis „Alfa Romeo" ratują tył przed anonimowością.

Wnętrze ma charakterystyczny klimat i materiały.

przednich fotelach, a jedynym „udogodnieniem" jest pojedynczy port USB-C. Bagażnik o pojemności 400 litrów mieści się w segmencie, ale jego użyteczność ogranicza wąski otwór i opadająca linia dachu. Po złożeniu siedzeń robi się jeszcze mniej praktycznie, bo podłoga nie jest płaska. Frunk? Jest – i mieści dokładnie jeden przewód do ładowania.

Cyfrowy świat Juniora to dobrze znany system Stellantis. Szybki, responsywny, poprawny, ale bez fajerwerków. Ekran centralny i zegary mają po 10,25 cala, wyglądają estetycznie i oferują kilka sensownych widoków, choć momentami irytują drobną czcionką. Plus za fizyczne przyciski klimatyzacji i osobny klawisz „home". Minus – ogromny – za absurdalnie ukryte sterowanie podgrzewaniem foteli, które wymaga wielu kliknięć.

Są też drobne wpadki, które nie powinny zdarzyć się w topowej wersji: puste przyciski po lewej stronie kierownicy, brak podświetlenia lusterek w osłonach przeciwsłonecznych czy fatalnie zaprojektowane lampki sufitowe. To detale, ale właśnie one budują lub psują poczucie obcowania z czymś dopracowanym.

Na szczęście wszystko zostaje wybaczone w momencie, gdy Junior rusza. To jeden z najlepiej prowadzących się crossoverów elektrycznych na rynku. Nisko położony środek ciężkości, agresywny negatyw i masa 1 635 kg sprawiają, że auto czuje się lżejsze, niż jest w rzeczywistości. Skręca chętnie, precyzyjnie, z wyczuwalną granicą przyczepności. Jest w tym coś z dawnych MINI i Abarthów – radość z samego faktu prowadzenia.

Przyspieszenie do setki w 5,9 s nie wbija w fotel, ale jest idealnie dozowane. Alfa świadomie unika brutalnego startu, by nie zamienić przednich opon w dymną instalację artystyczną. Układ kierowniczy daje świetny feedback, auto jest zwrotne i posłuszne, a asysty można jednym przyciskiem wyciszyć. Hamulce są rewelacyjne – 32 metry do zatrzymania i powtarzalność jak w dobrze wytrenowanym sprincie.

Cena tej frajdy jest jednak wysoka. Zawieszenie jest twarde bez żadnych kompromisów, a na gorszych nawierzchniach Junior potrafi być męczący. Do tego dochodzi słaba efektywność napędu: mała bateria i wysoki apetyt na energię sprawiają, że realny zasięg należy do najgorszych w segmencie – katalogowe 322 km każąc traktować jako wariant nad wyraz optymistyczny. Ładowanie do 100 kW i 30 minut od 10 do 80% ratuje sytuację tylko częściowo.

Na tle rywali Junior jawi się jako outsider z duszą artysty. W tej samej grupie Peugeot e-2008 jest na przykład bardziej praktyczny i cichszy. Z drugiej strony żaden z nich nie daje tego poczucia, że ktoś po drugiej stronie naprawdę chciał zrobić coś wyrazistego.

Junior Elettrica Veloce to Alfa z krwi i kości – ciekawa, utalentowana, pełna pasji, ale trudna w codziennym związku. Dla wielu jej zalety okażą się wadami, a wady – nie do zaakceptowania. Paradoksalnie to słabsza, tańsza wersja elektryczna oraz hybrydowa mogą mieć więcej sensu na co dzień. Ta konkretna pozostaje autem dla tych, którzy wciąż wierzą, że samochód powinien dawać emocje – nawet jeśli będą okupione kosztem rozsądku.

WERDYKT

PLUSY Wyrazista, charakterystyczna stylistyka. Fenomenalne, sportowe fotele. Świetne prowadzenie i precyzja w zakrętach. Doskonałe hamulce. Nienachalnie działające systemy wsparcia.

MINUSY Skrajnie ciasna tylna kanapa i trudny dostęp do niej. Bardzo twarde zawieszenie. Słaba efektywność i niski realny zasięg. Testowana najwyższa wersja jest najmniej rozsądną.

NASZYM ZDANIEM Junior Elettrica Veloce to Alfa z temperamentem artysty i cierpliwością do codzienności na poziomie gwiazdy rocka.

OCENA **79**

eprasa.pl 0a51c839d1

MGS5 EV

MOMENT, W KTÓRYM MG PRZESTAJE SIĘ TŁUMACZYĆ

Jest taki moment w historii marek, kiedy nagle orientujesz się, że przestały być „alternatywą". Nie są już wyborem z rozsądku albo dopisku „jak na tę cenę". Po prostu... wchodzą do rozmowy. MGS5 EV jest właśnie takim momentem dla MG. I mówię to z lekkim zdziwieniem, bo jeszcze niedawno ZS EV był samochodowym odpowiednikiem serialu puszczanego w tle: poprawny, tani, funkcjonalny, ale bez ambicji, żeby zostać z tobą na dłużej. Jeździł, woził, nie przeszkadzał – i dokładnie na tym kończyła się dla mnie jego historia.

MGS5 EV jest inny. Wyraźnie inny. To nie rewolucja w stylu Cyberstera, nie manifest i nie próba budowania emocji na siłę, tylko cicha, bardzo dojrzała zmiana tonu. Z zewnątrz MGS5 EV nie emanuje niczym wyrazistym. I całe szczęście. Jest poprawnie proporcjonalny, aerodynamicznie wygładzony, trochę jak aktor drugiego planu, który nigdy nie kradnie sceny, ale bez niego film by się rozpadł. To SUV tylko z nazwy – w rzeczywistości bardziej elektryczne kombi w przebraniu crossovera. I to jeden z tych przypadków, gdy przebranie działa na plus. Nie udaje terenówki, nie epatuje agresją, nie próbuje być sportowy. Jest spokojnie pewny siebie. Jak ktoś, kto nie musi niczego udowadniać.

Prawdziwa zmiana zaczyna się jednak po zajęciu miejsca za kierownicą. Wnętrze MGS5 EV to największy skok jakościowy względem ZS EV i jeden z najmocniejszych punktów całego auta. Nie dlatego, że nagle robi się luksusowo – bo nie robi – tylko dlatego, że wszystko wreszcie ma sens. Materiały są przyjemne w dotyku tam, gdzie faktycznie dotykasz ich na co dzień, plastiki nie krzyczą taniością, a całość nie wygląda jak efekt nerwowych cięć kosztów. Są fizyczne przyciski do klimatyzacji, jest duży, czytelny ekran, który działa sprawnie i logicznie, i jest cyfrowy zestaw wskaźników, który wreszcie podaje informacje, a nie tylko świeci.

To wnętrze nie próbuje być premium, ale też nie przeprasza za to, że nim nie jest. Jest raczej jak dobrze zaprojektowany loft niż hotelowy apartament – mniej złota, więcej funkcji. Z przodu miejsca jest pod dostatkiem, pozycja za kierownicą jest naturalna, a fotele – zwłaszcza w testowanej wersji Exclusive – zapewniają dobre podparcie na dłuższych trasach. Z tyłu sytuacja jest jeszcze lepsza niż można by się spodziewać po aucie tej klasy: płaska podłoga, sporo miejsca na kolana i głowę, brak poczucia klaustrofobii. To realna przestrzeń dla dorosłych, a nie „tylne siedzenia do okazjonalnego użycia". Bagażnik? Wystarczająco duży, żeby pomieścić codzienne życie, weekendowy wyjazd i zakupy bez konieczności grania w życiowego *Tetrisa*.

W Polsce MGS5 EV oferowany jest w dwóch prostych wersjach wyposażenia. Już podstawowy Excite nie sprawia wrażenia okrojonego: są 17-calowe felgi, pełne LED-y, system MG Pilot, duży ekran infotainment, bezprzewodowe CarPlay i Android Auto, nawigacja, podgrzewane fotele i kierownica. Czyli wszystko to, co jeszcze niedawno bywało argumentem za dopłatą u konkurencji. Wersja Exclusive dokłada do tego rzeczy, które faktycznie robią różnicę na co dzień: 18-calowe felgi, kamerę 360 stopni, elektryczną klapę bagażnika z otwieraniem ruchem stopy, bezprzewodowe ładowanie telefonu, lepiej wykończone fotele, elektryczną regulację fotela kierowcy i – co istotne w elektryku – pompę ciepła.



T3 Cena modelu testowego | 171 150 PLN

SPECYFIKACJA

NAPĘD
elektryczny RWD

MOC 231 KM

0-100 KM/H
6,3 sekundy

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
190 km/h

ZASIĘG W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
465 km

eprasa.pl 0a51c839d1





Na drodze MGS5 EV robi coś, czego po MG jeszcze niedawno bym się nie spodziewał: daje autentyczną frajdę z jazdy. Tylny napęd, sensowny rozkład masy i dobrze zestrojone zawieszenie robią swoje. Kierownica jest precyzyjna, reakcje przewidywalne, a auto prowadzi się lekko i naturalnie, bez wrażenia, że walczy z własną masą. W porównaniu do ZS EV to przeskok o całą ligę – tam, gdzie starszy model był po prostu poprawny, MGS5 EV zaczyna być przyjemny.

Nie jest to samochód sportowy – nie oszukujmy się. Przyspieszenie do setki w okolicach ośmiu sekund w wersji Standard Range i nieco ponad sześciu w Long Range nie wbija w fotel jak hot hatch, ale w codziennej jeździe w zupełności wystarcza. Co ważniejsze, reakcja na gaz jest płynna i przewidywalna, bez nerwowości i bez sztucznego „efektu wow". W mieście MGS5 EV czuje się swobodnie, na krętych drogach potrafi sprawić przyjemność, a na trasie zachowuje spokój i stabilność.

Zawieszenie ma swoje humory. Przy niskich prędkościach potrafi być twardsze, niż sugeruje rodzinny charakter auta, a na poprzecznych nierównościach czasem przypomina, że komfort i kontrola zawsze są kompromisem. Ale w dłuższej trasie odpłaca się dobrą izolacją akustyczną i pewnością prowadzenia. To samochód, którym chce się jechać dalej, a nie tylko „dojechać".

Elektryczna codzienność? Tu MG jest uczciwe. Dwa akumulatory oznaczają dwa scenariusze. Standard Range oferuje średni zasięg rzędu 335–340 km, co w realnym użytkowaniu przekłada się na około 250–280 km. Long Range podnosi poprzeczkę do 465–480 km i realnych 400 km bez stresu. To wciąż mniej niż u najlepszych w klasie, takich jak Škoda Elroq czy niektóre wersje Kii EV3, ale MGS5 EV nie aspiruje udawać mistrza długich dystansów. To samochód zaprojektowany z myślą o codzienności.

Cena? Jest taka, że wreszcie nie trzeba jej tłumaczyć. MGS5 EV kosztuje więcej niż ZS EV, ale dokładnie tyle, ile powinien kosztować samochód, który oferuje realny skok jakościowy. I wciąż pozostaje konkurencyjny wobec rywali, którzy często wymagają dopłat za rzeczy będące tu standardem.

Systemy wsparcia kierowcy – jak to dziś bywa – potrafią być nadgorliwe, ale MG zrobiło coś bardzo rozsądnego: pozwala je skonfigurować i zapamiętać. Mała rzecz, ogromna ulga na co dzień. To kolejny sygnał, że ktoś tu naprawdę słuchał użytkowników.

MGS5 EV jest więc samochodem przełomowym nie dlatego, że zmienia zasady gry, tylko dlatego, że wreszcie nauczył się w nią grać. Bez kompleksów, bez nerwowych ruchów, bez potrzeby tłumaczenia się ceną. To auto, które spokojnie może stanąć obok rywali z „uznanych" marek i nie spuści wzroku.

I to chyba największy komplement, jaki można dziś dać MG.

WERDYKT

PLUSY Zaskakująco dojrzałe prowadzenie i balans. Bardzo udane, funkcjonalne wnętrze. Przestronność i praktyczność. Charakter auta.

MINUSY Średni zasięg na tle najlepszych rywali. Sztywne reakcje zawieszenia przy niskich prędkościach. Mało emocji. ADAS wciąż momentami nadgorliwy.

NASZYM ZDANIEM MGS5 EV to pierwszy MG, który nie prosi o wyrozumiałość – tylko o uczciwą rozmowę.

OCENA **82**



eprasa.pl 0a51c839d1

LEAPMOTOR B10

EUROPEJSKA NORMALNOŚĆ W CHIŃSKIM WYDANIU



Są samochody, które debiutują jak głośny singiel: dużo basu, chwytliwy refren, agresywny marketing i obietnica, że „to zmieni wszystko". Po miesiącu nikt już nie pamięta melodii. I są auta, które przypominają dobrze nagraną płytę – solidny album późniejszego Radiohead, bez tanich fajerwerków, za to z wyczuciem proporcji, ciszą tam, gdzie trzeba, i brzmieniem, które nie męczy po trzecim odsłuchu. Leapmotor B10 jest właśnie takim samochodem. Nie próbuje być symbolem nowej epoki. Chce być po prostu sensowny – a w 2026 roku taka postawa brzmi niemal jak manifest.

W czasach, gdy wielu producentów wciąż czuje potrzebę tłumaczenia się z elektryfikacji albo z chińskich korzeni, Leapmotor idzie w stronę normalizacji. Stylistycznie z zewnątrz B10 to poprawny SUV, momentami aż nazbyt zachowawczy, jakby projektanci dostali jedno zdanie w briefie: „nie drażnić, nie szokować, nie przesadzać". I o dziwo – to działa. Auto wtapia się w krajobraz miasta i autostrady bez wysiłku, nie prowokuje spojrzeń, ale też nie wygląda tanio. Przy długości około 4,5 metra plasuje się dokładnie tam, gdzie dziś bije się najostrzejsza konkurencja: między Kią EV3, Škodą Elroq a MGS5 EV. Tyle że w przeciwieństwie do części rywali, Leapmotor nie próbuje nadrabiać braku tożsamości stylistycznej agresją formy. To raczej dobrze skrojona marynarka z sieciówki premium – nie wywoła zachwytów, ale też nie będzie powodem do wstydu.

Wnętrze to moment, w którym zaczynasz się zastanawiać, gdzie właściwie miały pojawić się oszczędności. Bo na pierwszy rzut oka – i pierwszy dotyk – wcale ich nie widać. Materiały są przyjemne, spasowanie solidne, a całość sprawia wrażenie przemyślanej. Jasna kolorystyka i panoramiczny dach robią swoje: kabina jest przestronna, „oddycha", nie przytłacza. Z tyłu miejsca jest tyle, że bez problemu można usiąść za wysokim kierowcą i jeszcze założyć nogę na nogę, jak w Pendolino, a nie w kompaktowym SUV-ie. To jeden z realnych atutów B10 – rozstaw osi i płaska podłoga robią robotę lepiej niż w EV3, a pasażerowie tylnej kanapy nie czują się tu jak obywatele drugiej kategorii.

Bagażnik o pojemności około 430 litrów nie bije rekordów klasy, ale pozostaje w pełni użyteczny. Jest mniejszy niż w Škodzie Elroq, za to porównywalny z Kią EV3 i MGS5 EV. Do tego dochodzi niewielki frunk, idealny na kable – detal, który w codziennym użytkowaniu okazuje się zaskakująco praktyczny.

Oczywiście centrum dowodzenia stanowi ekran. Duży, szybki, efektowny. Ekran, który robi wszystko i wie wszystko. Jeśli jesteś fanem fizycznych przycisków, możesz poczuć się jak ktoś, kto przyszedł do nowej restauracji i odkrył, że menu jest wyłącznie dostępne przez kod QR. Na szczęście Leapmotor nie poszedł tak daleko jak Tesla w eliminowaniu wszystkiego co analogowe, a sam system działa sprawnie i reaguje szybko. Sprzętowo to jedna z mocniejszych stron auta – Snapdragon pod maską infotainmentu czuć w płynności działania. Problemem pozostaje ergonomia: zbyt wiele funkcji ukryto głęboko, a obsługa klimatyzacji czy systemów asystujących wymaga zbyt dużej uwagi. To nie

T3 Cena modelu testowego | 125 300 PLN

SPECYFIKACJA

NAPĘD
elektryczny RWD

MOC 218 KM

0-100 KM/H
8 sekund

PRĘDKOŚĆ MAKSYMALNA
170 km/h

ZASIĘG W CYKLU MIESZANYM (WLTP)
434 km

eprasa.pl 0a51c839d1





jest katastrofa, raczej drobna irytacja, która czasem wybija z rytmu.

Na drodze Leapmotor B10 zachowuje się dokładnie tak, jak sugeruje jego wygląd i wnętrze. Jest spokojny, przewidywalny i nastawiony na komfort. Silnik elektryczny o mocy 218 KM i napęd na tył zapewniają przyzwoite osiągi – przyspieszenie do setki w granicach ośmiu sekund nie robi dziś wrażenia, ale w codziennym ruchu jest w zupełności wystarczające. Charakterystyka gazu została celowo wygładzona, dzięki czemu B10 nie szarpie i nie męczy pasażerów. Zawieszenie wyraźnie faworyzuje wygodę: nierówności miasta znikają pod kołami, a dłuższa trasa nie męczy ani kierowcy, ani załogi. Dopiero gdy próbujesz jechać szybciej, wychodzą kompromisy – wyraźne przechyły nadwozia i układ kierowniczy, który informuje raczej zdawkowo.

Napęd elektryczny oparty na baterii LFP o pojemności 56,2 lub 67,1 kWh idealnie wpisuje się w filozofię „rozsądnej normalności". Jeździłem drugą z tych wersji z deklarowanym zasięgiem na poziomie 434 kilometrów WLTP w cyklu mieszanym. To nie jest rekordowo dużo, ale B10 potrafi zaskoczyć efektywnością. Do tego dochodzi szybkie ładowanie DC do 168 kW, pozwalające uzupełnić energię od 10 do 80 procent w około 25 minut. W praktyce oznacza to, że temat ładowania przestaje być obsesją, a auto nadaje się nie tylko do miasta, ale i do dalszych tras.

Największym problemem B10 nie jest technologia sama w sobie, lecz jej nadgorliwość. Systemy asystujące zachowują się jak nadopiekuńczy rodzic: chcą dobrze, ale nie potrafią odpuścić. Każde zbliżenie do linii, każde przekroczenie tempa, każda chwila nieuwagi spotyka się z reakcją. Da się to wyłączyć, na szczęście szybciej niż w niektórych konkurencyjnych modelach, ale nadal wymaga to rytuału, który potrafi zirytować. I to właśnie tutaj widać rozdźwięk między dojrzałym charakterem auta a elektroniką, która momentami zachowuje się jakby chciała się wykazać przed przełożonym.

W dłuższej perspektywie Leapmotor B10 okazuje się samochodem zaskakująco uczciwym. Nie próbuje sprzedać marzeń o sportowych osiągach ani luksusie z górnej półki. Zamiast tego oferuje przestrzeń, komfort, sensowną technologię i liczby, które bronią się w realnym świecie, a nie tylko w tabelkach. To auto dla ludzi, którzy chcą nowoczesnego elektryka bez poczucia uczestnictwa w eksperymencie społecznym. Bardziej europejska normalność niż chińska rewolucja. I może właśnie dlatego B10 jest jednym z ciekawszych debiutów w swoim segmencie – bo zamiast krzyczeć, mówi spokojnym, pewnym głosem. A ja ten ton kupuję bez wahania.

WERDYKT

PLUSY Bardzo przestronne wnętrze, szczególnie z tyłu. Wysoki komfort jazdy. Szybkie ładowanie i sensowna efektywność. Bogate wyposażenie. Spokojny, dojrzały charakter. Atrakcyjna cena.

MINUSY Nachalne systemy asystujące. Zbyt duże uzależnienie od ekranu.

NASZYM ZDANIEM Leapmotor B10 nie chce być bohaterem okładki – woli być tym samochodem, który codziennie dowozi bez zbędnych emocji.

OCENA **84**



eprasa.pl 0a51c839d1

YAKUZA 0: DIRECTOR'S CUT

TOKIO NA PEŁNYM GAZIE, ZANIM NAUCZYŁO SIĘ HAMOWAĆ

Nie każda gra starzeje się razem z graczem. Niektóre po prostu czekają, aż świat wokół nich dojrzeje do ich tonu, tempa i dziwactw. *Yakuza 0* debiutowała w Japonii w 2015 roku i była prequelem serii znanej głównie lokalnie. Gdy dwa lata później dotarła do Europy, Zachód dostał ją jak kultowy serial puszczony bez zapowiedzi, w środku nocy – zbyt dziwny, zbyt intensywny i zbyt japoński, by od razu stać się hitem masowym, ale wystarczająco magnetyczny, by zostać w głowie na długo. Dziś, w roku kolejnego powrotu i w wersji *Director's Cut*, widać wyraźnie, że to nie był tylko punkt wejścia dla nowych graczy, lecz moment, w którym seria trafiła na własne maksimum wyrazu.

To paradoks, który Yakuza uprawia z niezwykłą konsekwencją: opowieść o brutalnym półświatku potrafi być jednocześnie czuła, głupkowata i śmiertelnie poważna, a gra, która miała porządkować mitologię, sama stała się jej najważniejszym rozdziałem. Powrót *Yakuza 0* w 2025 roku nie był więc nostalgicznym gestem ani próbą odcinania kuponów – to raczej przypomnienie, że czasem najlepszym sposobem na zrozumienie, dokąd seria zmierza, jest cofnięcie się do momentu, w którym wszystko zatrybiło idealnie. I choć doświadczenie podpowiada, że „pierwsze razy" nie wracają, ten akurat nadal potrafi uderzyć z tą samą siłą.

Dzieje się tak, pomimo że *Yakuza 0: Director's Cut* nie jest nową grą ani



T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

eprasa.pl 0a51c839d1



“

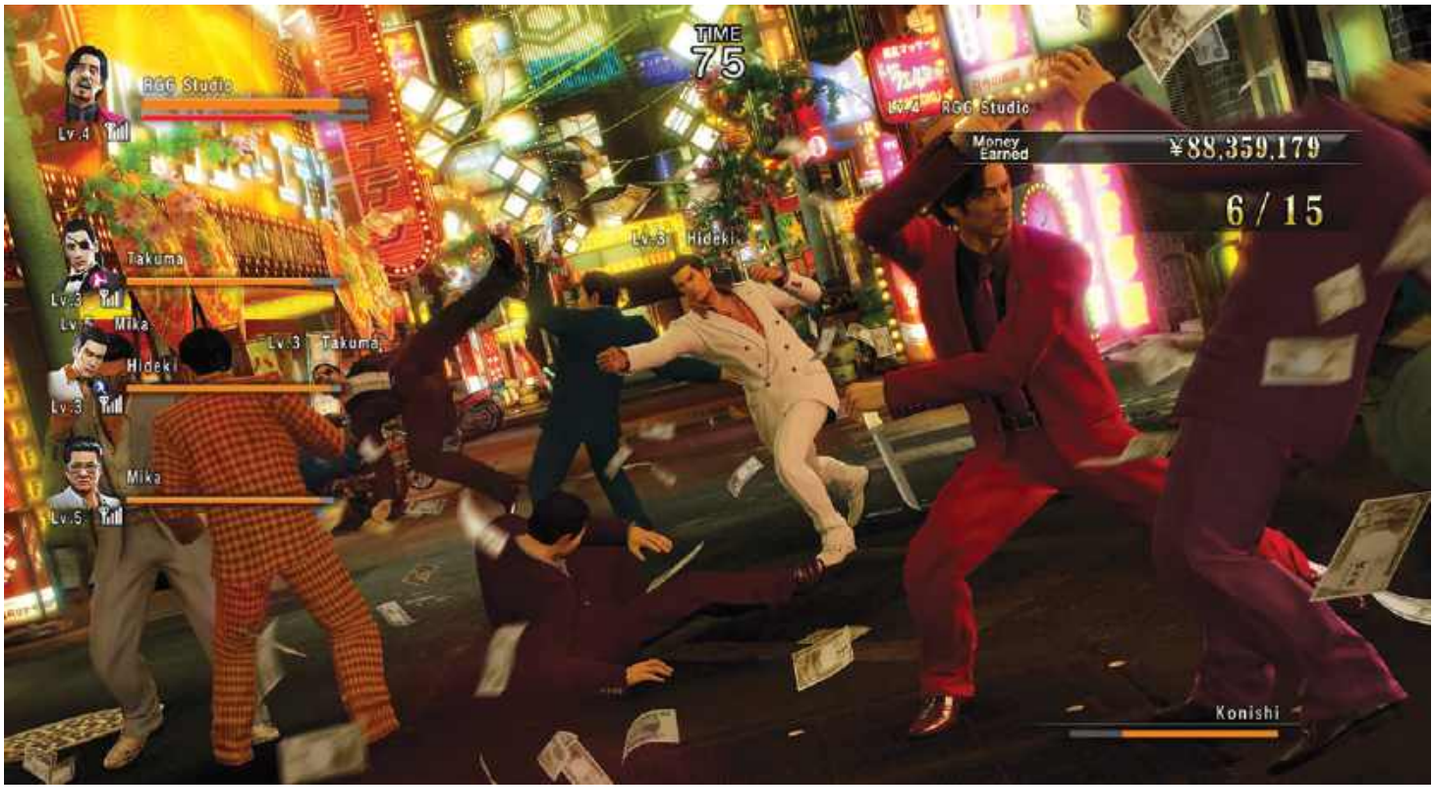
YAKUZA 0 NIE PRÓBUJE BYĆ GRĄ DLA WSZYSTKICH. ONA CHCE BYĆ WSZYSTKIM NARAZ – BRUTALNĄ SAGĄ GANGSTERSKĄ, KABARETEM ABSURDU I LISTEM MIŁOSNYM DO TOKIO LAT 80. – I TO DZIAŁA







eprasa.pl 0a51c839d1



Kamurocho nocą: kilka ulic, tysiąc historii i zero miejsca na obojętność.

próbą przepisania historii od zera. To wciąż ten sam prequel z 2015 roku, który zastępuje w sklepach oryginał. Kilkadziesiąt minut dodatkowych scen fabularnych wygładza relacje między bohaterami i porządkuje tempo narracji, opcjonalny angielski dubbing poszerza grono odbiorców, a techniczne szlify – stabilniejsze 60 klatek, wyższa rozdzielczość, krótsze loadingi i drobne poprawki jakości życia – sprawiają, że gra po prostu lepiej znosi upływ czasu. Nie ma tu nowych systemów, minigier ani rewolucji w strukturze. Jest za to uczciwa redakcja materiału, który już wcześniej działał. Od razu uprzedzę jednak posiadaczy oryginału – nie, nie uważam byście musieli decydować się na zakup wersji *DC* z innego powodu niż kolekcjonerski. Jeśli natomiast z serią nie mieliście do tej pory do czynienia...

Fabuła? Oczywiście, spodziewasz się mafii. Sam tytuł krzyczy: gangsterskie sprawy będą się tu działy. I owszem – Tokio, grudzień 1988, neonowe Kamurocho. Kazuma Kiryu, człowiek, którego mimika osiadła na stałe między „lodowata powaga" a „proszę nie zaczepiać", obija dłużnika Dojimy, a kiedy delikwent zostaje znaleziony martwy z dziurą w głowie, cała odpowiedzialność spada na naszego bohatera. Z obowiązkową medialną nagonką, reporterskim jazgotem i politycznymi gierkami. Kiryu, chcąc chronić swojego opiekuna, symbolicznie unosi rękę w górę i składa wypowiedzenie z mafii, co w praktyce oznacza, że właśnie wpadł do strefy nieumarłych – nadal jest jednym z nich, tylko nikt nie chce go widzieć przy rodzinnym stole. W tle: walka o absurdalnie mały skrawek ziemi zwany „pustą działką". Ale kto oglądał *Rodzinę Soprano*, ten wie, że najwięcej trupów w mafii zawsze pada o rzeczy najmniejsze. Kto ma ziemię, ten ma władzę. A kto ma władzę, ten ma problem, bo inni też jej chcą.

Gdy Kiryu zostaje chwilowo „bezrobotny", Tokyo otwiera się przed nim jak nocna metropolia w filmach Truffauta. Wyrzucony z jednego układu, pływa teraz swobodnie w ściekach Kamurocho. Dzielnica żyje, oddycha, krzyczy – to czerwone latarnie, neonowe palpitacje, ludzie, którzy próbują wciągnąć cię w kłopoty szybciej, niż Warszawa potrafi wciągnąć kierowcę w mandat za nielegalne parkowanie. To przestrzeń tak gęsta, że Times Square wygląda przy tym jak osiedlowy warzywniak tuż przed zamknięciem. I choć Kamurocho jest miejscem niebezpiecznym, w którym uliczny idiota zwany Mr. Shakedown potrafi oskubać cię z pieniędzy z gracją byka w sklepie z porcelaną, to właśnie ta mieszanka adrenaliny i zagrożenia daje grze jej puls – nieustanne napięcie, niepewność, lekko chorą fascynację.

A potem zaczynają się bójki. Całe, niekończące się pasmo sekwencji, w których Kiryu – niczym bardziej zasadniczy, japoński kuzyn postaci z *River City Ransom* – demoluje pół dzielnicy, używając do tego pięści, nóg oraz wszystkiego, co nie jest trwale przymocowane do podłoża. Rower? Broń. Słupek? Broń. Gość próbujący zadzwonić po taksówkę? Też prawdopodobnie broń. System trzech stylów – brawler, rush i beast – tworzy ciekawy, choć w praktyce zbyt często sprowadzony do kilku przycisków rytuał młócki. I choć z czasem zaczynasz tęsknić za czymś bardziej szczegółowym, to gdy włącza się specjalny „heat move", w którym Kiryu rozbija przeciwnika o ścianę tak, jakby odtwarzał scenę z *Oldboya*, automatycznie przywraca się poziom endorfin.

Ale *Yakuza 0* nie byłaby sobą, gdyby ograniczała się do chodzenia, tłuczenia i oglądania cutscenek tak dramatycznych, że brazylijskie telenowele miałyby kompleksy. Serce gry bije właśnie w jej dodatkach – historiach pobocznych, minigrach, znajomościach, rytmach miasta. W Kamurocho nie można zrobić trzech kroków bez natknięcia się na kolejny absurd: naiwny handlarz niehalucynogennych grzybów, desperat o pseudonimie Mr. Libido, którego energia seksualna mogłaby zasilić średniej wielkości elektrownię, pseudoreligijna sekta, fałszywi celebryci, Michael Jackson w wersji „legalnie odróżnialnej", domina potrzebująca treningu z upokarzania klientów – to wszystko momenty, które w rękach innego studia wyglądałyby jak przypadkowy żart, a tutaj działają jak poezja chaosu. Ten świat żyje nie dlatego, że jest duży, ale dlatego, że jest pełen charakteru. Jakby twórcy chcieli nam powiedzieć: „Tak, wiemy, że macie Red Dead Redemption i GTA. Ale spróbujcie spędzić pięć minut w naszym klubie karaoke i powiedzcie, że nie chcecie wracać".

eprasa.pl 0a51c839d1



Kiryu w akcji – gdy improwizowana broń staje się językiem dyplomacji.

Wątek biznesowy Kiryu potrafi zmęczyć – bo ile razy można czekać na pasywny przychód, jakbyśmy grali w symulator inwestora, który zapomniał o istnieniu ETF-ów? A jednak – wciąga. A kiedy odkryjesz, że jednym z twoich menedżerów zostaje kurczak, zaczynasz rozumieć, że naprawdę grasz w coś wyjątkowego. Majima natomiast dostaje własny, dużo lepszy wątek kabaretowy – klub Sunshine to minigra tak zabójczo wciągająca, że można by ją sprzedawać oddzielnie. Jego historia także od razu łapie za gardło: nie jest tym wariatem, którego znamy z późniejszych części, lecz człowiekiem złamanym, upokorzonym, desperacko próbującym odzyskać swoją godność. W tle – Makoto, niewidoma dziewczyna, której dramatyczny wątek wchodzi na terytorium thrillerów noir. W pewnym momencie miałem wrażenie, że oglądam *Collateral* w wersji japońskiej. Gdy gra odcina rozdział cliffhangerem, czujesz aż szorstką narkotyczną potrzebę: „Jeszcze jeden, jeszcze jeden". To narracja, która pędzi, płonie i pulsuje.

Gdybym miał wybrać jeden element, który definiuje *Yakuza 0*, byłoby to jej nieustające „na maksa". Ta gra nie zna umiarkowania. Dla niej każdy detal jest okazją do spektaklu. Jeśli idziesz na karaoke, to nie po to, by kliknąć kilka przycisków – tylko po to, by obejrzeć pełnoprawny teledysk, jakbyś wpadł prosto w sobotnie pasmo *Polskich szlagierów* na Polo TV. Jeśli tańczysz, to jakbyś próbował wygrać *You Got Served* w wersji tokijskiej. Jeśli odbierasz telefon w klubie randkowym, kamera kręci się tak dramatycznie, że wygląda, jakbyś brał udział w zwiastunie Metal Gear Solid. Ta żarliwa przesada – ta pełna wiary w emocje forma – jest tym, co nadaje grze ton. Dzięki temu balans między powagą a komedią nie jest dysonansem, lecz czymś w rodzaju naturalnego, nieracjonalnego rytmu Tokio lat 80.

Oczywiście, nie wszystko świeci jak złoto. Kilka minigier jest tak złych, że wydają się sabotażem: baseball, który wymaga boskiej precyzji; archaiczne porty *OutRun* i *Super Hang-On*; mahjong, który sprawia, że *Dark Souls* wydaje się grą dla dzieci; klub telefoniczny z RNG tak okrutnym, że powinien być zakazany konwencją genewską; oraz najgorszy element – walki kociąt, kompletnie pozbawione sensu, logiki i wpływu gracza. Ale taki jest urok tej gry: bez swoich wad nie byłaby sobą. A nawet jeśli parę elementów potrafi człowieka doprowadzić do furii, to bilans pozostaje oszałamiająco dodatni.





Bo na końcu – po blisko stu godzinach tańca, karaoke, bójek, dramatów, biznesów, romansów, przyjaźni, rozczuleń i kompletnych absurdów – *Yakuza 0* zostawia cię nie zmęczonym, lecz spełnionym. Jak po całym dniu włóczenia się po mieście, które nie jest twoje, ale które zaczyna wyglądać jak dom. Jak po nocy, którą zapamiętasz na długo, choć nie wydarzyło się w niej nic, co można by racjonalnie opisać. To gra, która pokazuje, że open world nie musi być ogromny – wystarczy, że jest intensywny, gęsty i napisany z sercem. Że czasem kilkaset metrów kwadratowych ma więcej charakteru niż setki kilometrów kwadratowych w innych tytułach.

Yakuza 0 to nie tylko „najlepszy prequel wszech czasów", jak twierdzą niektórzy. To także gra, która – mimo swoich wad – wciąga w ramiona obsesji. Jak pierwszy sezon serialu, który nie był reklamowany, ale który przejmuje ci życie. Jak coś, co nie zostało stworzone po to, by podbić rynek, lecz by podbić konkretne serca. I jeśli trafia akurat w twoje – to trafia na zawsze.

OCENA

95

WERDYKT

PLUSY Fenomenalnie napisana, intensywna fabuła. Kamurocho jako jedno z najbardziej charakterystycznych i „żywych" miast w historii gier. Historie poboczne. Styl. Ogromna ilość zawartości.

MINUSY *Director's Cut* nie daje wystarczająco dużo nowości dla posiadaczy oryginału. Kilka minigier balansujących na granicy złego żartu.

NASZYM ZDANIEM *Yakuza 0: Director's Cut* to gra, która nie pyta, czy masz czas – tylko zakłada, że go oddasz, bo Tokio 1988 roku nie bierze jeńców.

eprasa.pl 0a51c839d1

PATHOLOGIC 3

DOKTORAT Z BEZSENNOŚCI, PAMIĘCI I WŁADZY

Jeśli istnieją gry prowadzące gracza za rękę, *Pathologic 3* jest tą, która wyciąga dłoń tylko po to, by sprawdzić, czy naprawdę chcesz się podnieść. To tytuł, który nie tyle opowiada historię epidemii, co zmusza do przeżywania jej w trybie ciągłego przesłuchania – samego siebie, swoich decyzji i własnej arogancji. Od pierwszych minut wiadomo, że to nie będzie opowieść o bohaterstwie. Raczej o tym, jak łatwo pomylić kompetencję z pychą, a dobre intencje z potrzebą kontroli.

Wracamy do Gorkhonu, miasta tak nieprzyjaznego, jakby urbanistykę projektował Franz Kafka po nieprzespanej nocy i z lekkim kacem moralnym. Trzecia odsłona po raz kolejny nie jest kontynuacją, tylko następnym podejściem do tej samej, fundamentalnie niewygodnej idei. Tym razem patrzymy na wszystko oczami Daniila Dankovskiego – lekarza, racjonalisty i człowieka, który od dawna bardziej walczy z pojęciem śmierci niż z samą chorobą. *Pathologic 3* bardzo szybko ustawia go w roli oskarżonego. Miasto upadło. Ludzie nie żyją. A ty masz odnaleźć przyczynę. Cofanie się w czasie nie służy tu naprawianiu błędów, tylko ich analizie. To bardziej *Memento* niż *Dzień Świstaka*, bardziej autopsja niż restart.

Pierwsze godziny są celowo dezorientujące. Systemy nachodzą na siebie, informacje są szczątkowe, a gra przez długi czas nie daje jasnej odpowiedzi, czy właśnie radzisz sobie całkiem nieźle, czy spektakularnie wszystko psujesz. I dokładnie o to chodzi. *Pathologic 3* nie gra w psychologiczny horror w klasycznym sensie – bliżej mu do detektywistyczno-lekarskiego sandboxa, w którym każda rozmowa, każdy szczegół i każde przemilczenie może wrócić po kilku dniach w zupełnie innym kontekście. Kainowie nie chcą z tobą rozmawiać piątego dnia? Cofnij się do drugiego, zmień ton rozmowy, wygładź konflikt i nagle otwierają się zupełnie nowe ścieżki narracyjne. Bez fanfar. Świat po prostu reaguje, a ty nawet nie wiesz, czy powinieneś to świętować.

Najważniejsza zmiana w porównaniu z poprzednimi odsłonami serii dotyczy tego, co w *Pathologic 3* naprawdę trzeba utrzymać przy życiu. Nie żołądek, nie pasek staminy, nawet nie ciało. Tu walczysz o umysł. System apatii i manii działa jak bezlitosny wykres EKG psychiki człowieka wrzuconego w sytuację absolutnie go przerastającą. Zbyt dużo rezygnacji kończy się kulą w głowie. Zbyt dużo pobudzenia – fizycznym wypaleniem. Co istotne, to nie jest abstrakcyjny pasek w HUD-zie. Wejście w tryb „śledztwa" podświetla elementy świata, które możesz wykorzystać, by świadomie podkręcić manię – kosztem zdrowia, ale z wyraźnym zyskiem w postaci większej mobilności. W sytuacjach, gdy czas ucieka, to ryzykowna, ale kusząca droga na skróty. O ile masz potem czym się z tego stanu wyciągnąć.



T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

Bo *Pathologic 3* jest także grą o zarządzaniu czasem. Każdy dzień działa w ścisłych ramach, a kluczowe informacje – na przykład wyniki diagnoz pacjentów – pojawiają się o konkretnej godzinie. Przegapisz ten moment, bo za długo kręciłeś się po mieście? Trudno. Okazja przepada. Podobnie z przemieszczaniem się – podróże między dzielnicami realnie „zjadają" dzień, zmuszając do planowania tras jak w excelowym arkuszu kryzysowym. To nie jest świat do swobodnej eksploracji. To harmonogram, który nie wybacza improwizacji.

Dużą część czasu spędzamy w szpitalu i wokół niego – diagnozując, przesłuchując pacjentów, analizując symptomy i próbując odróżnić zwykłe kłamstwo od choroby, która dopiero się ujawnia. Te sekwencje są metodyczne, momentami nużące, ale celowo pozbawione fajerwerków. To nie detektywizm z checklistą, tylko żmudna praca lekarza w mieście, które kłamie nawet wtedy, gdy nie ma w tym żadnego interesu. Pozornie błahe przypadki potrafią po kilku dniach ujawnić zupełnie inne, znacznie mroczniejsze oblicze – a gra nagradza cierpliwość raczej cichym zrozumieniem niż spektakularną pointą.

Świetnie wypada też warstwa „administracyjna". W pewnym momencie Dankovsky dostaje realną władzę

eprasa.pl 0a51c839d1









> TO NIE JEST GRA, KTÓRA CHCE CIĘ POKONAĆ. TO GRA, KTÓRA CHCE, ŻEBYŚ SAM PRZED SOBĄ ZŁOŻYŁ ZEZNANIA

nad miastem – może wydawać dekrety, zamykać dzielnice, decydować o dostępie do zasobów. I to jest jeden z tych momentów, w których *Pathologic 3* boleśnie trafia w punkt współczesnych lęków. Kryzys, ekspert, nadzwyczajne środki, ograniczenie wolności „dla dobra ogółu". Brzmi znajomo? Gra nie moralizuje, nie stawia grubych tez. Z zimną precyzją pokazuje tylko, jak szybko odpowiedzialność zamienia się w zarządzanie ruiną.

Walka istnieje, ale bardziej jako groźba niż rozwiązanie. Broń służy częściej do odstraszania, niż do zabijania, a każda przelana krew wraca jak bumerang w postaci psychicznych konsekwencji. Z czasem widać też, że niektóre systemy da się obejść sprytniej, niż zapewne zakładali twórcy. To drobne pęknięcia w konstrukcji napięcia, które jednak nie są w stanie rozbić całościowego doświadczenia.

Audiowizualnie *Pathologic 3* pozostaje wierne swojej teatralnej, nieco topornej estetyce. Miasto jest brzydkie, przytłaczające i dziwnie hipnotyzujące. Muzyka i dźwięk pracują na poziomie podskórnym – cisza bywa tu głośniejsza niż jakikolwiek motyw muzyczny. Technicznie nie jest idealnie: zdarzają się przycięcia, czasem systemy zdradzają swoje „szwy". Paradoksalnie jednak te niedoskonałości pasują do świata, który sam w sobie jest pęknięty i nieufny wobec gładkich rozwiązań.

Pathologic 3 to gra, która nie chce być lubiana. Chce być zapamiętana. To tytuł dla tych, którzy w grach szukają nie eskapizmu, ale konfrontacji – z własnym komfortem, z władzą, z odpowiedzialnością. I z myślą, że nawet najlepsze intencje, pojawiające się w złym momencie, mogą okazać się po prostu kolejną formą katastrofy.

WERDYKT

PLUSY Wybitne połączenie narracji i mechanik psychologicznych. Świetnie wykorzystany motyw cofania czasu. Gęsta, niepokojąca atmosfera. Odważny komentarz. Satysfakcjonująca, wymagająca warstwa „lekarsko-detektywistyczna".

MINUSY Techniczne nierówności. Niektóre systemy da się zbyt łatwo „rozbroić". Wysoki próg wejścia dla nowych graczy.

NASZYM ZDANIEM *Pathologic 3* nie jest grą o ratowaniu świata, lecz o tym, jak długo potrafisz żyć z poczuciem, że go nie uratowałeś.

OCENA **88**

eprasa.pl 0a51c839d1

YAKUZA KIWAMI

MOST PO NEONACH KAMUROCHO

T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

Wraz z premierą *Yakuza 0: Director's Cut* wydawca odświeżył także jej chronologiczne kontynuacje. *Yakuza Kiwami* – remake pierwszej odsłony serii – w reedycji z 2025 roku nie próbuje udawać nowej gry, ale mądrze wygładza krawędzie wersji z 2017 roku. Najbardziej widoczne są poprawki techniczne: stabilne 60 kl./s, wyższa rozdzielczość, ostrzejsze tekstury, krótsze loadingi i lepsze oświetlenie nocnych scen, dzięki czemu Kamurocho odzyskuje głębię, a neony przestają być tylko kolorowym szumem. To nadal ten sam fundament, ale powrót boli dziś znacznie mniej.

Problem w tym, że przesiadka z *Yakuza 0* przypomina wyjście z kina po Scorsese i trafienie na solidny, lecz bardziej telewizyjny kryminał sprzed lat. Wszystkie elementy są na miejscu – mafia, honor, zdrady, Tokio skąpane w neonach – ale skala szaleństwa i narracyjnej brawury została wyraźnie skręcona do minimum. *Kiwami* ma pecha: jest jednocześnie sequelem i rekonstrukcją bardzo wczesnego etapu projektowego serii, gdy Ryu Ga Gotoku Studio dopiero uczyło się własnego języka.

Najmocniej czuć to w fabule. Historia skupia się wyłącznie na Kiryu – bez kontrapunktu Majimy jako równorzędnego protagonisty. Relacje z Kazamą, Nishikiyamą i wprowadzenie Haruki są ważne dla całej sagi, ale tempo narracji bywa nierówne: mocny początek, ospały środek i intensywna końcówka. Po mistrzowsko prowadzonych cliffhangerach *Yakuza 0*, środkowe rozdziały sprawiają wrażenie krążenia w klinczu.

Kamurocho wciąż jednak działa. To nie tyle „otwarty świat", co miejsce o własnym temperamencie – kilka kroków wystarczy, by wpaść w absurd, kłopoty albo drobne wzruszenie. Niestety, zadania poboczne rzadziej błyszczą – zamiast zapadających w pamięci historii częściej dostajemy poprawne, ale schematyczne epizody. Brakuje też dużych, wyrazistych aktywności znanych z *0*. Zawartość poboczna jest bardziej zestawowa i węższa.

Najbardziej problematyczna okazuje się walka. Wolniejsza, bardziej toporna, z bossami pełniącymi rolę gąbek na obrażenia i kontrowersyjną regeneracją zdrowia, częściej testuje cierpliwość niż umiejętności. I właśnie wtedy na scenę wkracza Majima. System „Majima Everywhere" to najlepszy pomysł *Kiwami*: absurdalny, irytujący i genialny jednocześnie. Wstrzykuje energię, humor i nieprzewidywalność tam, gdzie gra zaczyna tracić puls.







Yakuza Kiwami przypomina płytę ulubionego zespołu, która nie jest ich najlepszą, ale i tak chcesz jej słuchać. To wciąż Kiryu, wciąż Kamurocho i ten unikalny miks tragedii z komedią. Jako następca *0* to krok w dół – nie dlatego, że gra jest słaba, lecz dlatego, że chronologiczna poprzedniczka była bezczelnie dobra. Trzeba ją potraktować jak most: nieidealny, czasem skrzypiący, ale prowadzący tam, gdzie ta seria potrafi odpalić prawdziwe fajerwerki.

WERDYKT

PLUSY Zauważalnie poprawiona warstwa techniczna. Wciąż magnetyczne Kamurocho – miasto z charakterem i własnym rytmem. Bardziej zwarta, krótsza kampania.

MINUSY Nierówne tempo historii. Toporna, momentami męcząca walka.

NASZYM ZDANIEM *Kiwami* to solidny, potrzebny most między arcydziełem a dalszą sagą.

OCENA **82**

eprasa.pl 0a51c839d1

YAKUZA KIWAMI 2

KIEDY SERIA WJEŻDŻA NA AUTOSTRADĘ

T3 PLAYSTATION | PC | XBOX

Jeśli *Yakuza Kiwami* było mostem, *Kiwami 2* jest już autostradą. Szeroką, gładką i oświetloną tak, że nagle widać, ile ambicji ta seria miała od początku – tylko wcześniej brakowało jej silnika, który uniósłby cały melodramatyczny ciężar. Chronologiczne granie w Yakuzę wciąż bywa dziwną podróżą z przeskokami w czasie, ale na poziomie czysto „dotykowym" to właśnie tutaj czuć pierwszy prawdziwy skok w przyszłość.

Dragon Engine zmienia wszystko. Kamurocho i Sotenbori przestają wyglądać jak precyzyjne makiety, a zaczynają przypominać miejsca, które mają wagę, gęstość i powietrze między obiektami. Detal jest bogatszy, ruch bardziej naturalny, a płynność przejść – bez ekranów ładowania, bez teatralnych kurtyn – sprawia, że miasto wreszcie przestaje być planszą. To drobiazgi, jak wyjście ze sklepu drugim wyjściem bez cięcia, ale właśnie one budują iluzję świata, który żyje własnym rytmem.

Podobną przemianę przechodzi narracja. Cutscenki są długie, filmowe, czasem bezczelnie pewne siebie – jakby twórcy w końcu uwierzyli, że mogą kręcić pełnoprawne kino gangsterskie, a nie tylko serialowe epizody. Gra wie, kiedy przytrzymać spojrzenie, kiedy pozwolić ciszy pracować i kiedy dołożyć gest, który zmienia rozmowę w deklarację. Fabuła jest wyraźnie lepiej poprowadzona niż w *Kiwami*: ma lepsze tempo, więcej zapadających w pamięć momentów i postacie, które naprawdę coś znaczą. Ryuji Goda to antagonista z aurą i masą – groźny, ale nie kartonowy – a Kaoru Sayama wprowadza do serii nową emocjonalną oś. To już nie tylko historia o honorze i zdradzie, ale też o relacji, która zmusza Kiryu do funkcjonowania w duecie, nie w samotnym micie.

Walka również zyskuje nową jakość. Jest bardziej fizyczna, bardziej kinowa, chwilami wręcz przesadzona w duchu akcyjniaków lat 90. Ragdoll i fizyka sprawiają, że uderzenia „chrupią", a heat actions wyglądają jak choreografia robiona z czystą frajdą. Zniknięcie stylów walki może zaboleć jego fanów, ale w zamian dostajemy bardziej spójny system i progresję, która faktycznie daje poczucie siły. *Kiwami 2* nie chce łamać gracza – chce go karmić satysfakcją.

Poboczna zawartość wraca do formy znanej z najlepszych odsłon serii. Absurdalne historie znów potrafią rozbroić śmiechem, kabaret ponownie uzależnia, a miasto wypełniają drobne epizody, które sprawiają, że Kamurocho czuje się zamieszkane, nie tylko oznaczone markerami. Nie wszystko jest równe – Majima Construction bywa bardziej ciekawostką niż hitem, a kompletowanie wszystkiego potrafi wystawić cierpliwość na próbę – ale jeśli grasz „po ludzku", a nie pod checklistę, komfort zabawy jest zaskakująco wysoki.





Kiwami 2 to sequel w najczystszym znaczeniu tego słowa: dojrzały i lepiej wyreżyserowany. Nie „więcej tego samego", lecz dowód, że Yakuza potrafi przełożyć swoją energię na realny skok jakościowy, nie tracąc osobowości. Gra, która nie męczy – tylko kusi, by iść dalej.



WERDYKT

PLUSY Dragon Engine nadaje miastom fizyczność i prawdziwą płynność. Wyraźnie lepiej poprowadzona narracja. Satysfakcjonująca walka. Świetne zadania poboczne. Wyraźny skok jakościowy względem *Kiwami*.

MINUSY Brak stylów walki. Niektóre aktywności poboczne są zbyt rozwleczone.

NASZYM ZDANIEM *Kiwami 2* to moment, w którym Yakuza przestaje tylko nadrabiać zaległości i zaczyna naprawdę jechać do przodu – szybciej, pewniej i z klasą.

OCENA **89**

eprasa.pl 0a51c839d1

JEDNA BITWA PO DRUGIEJ

REWOLUCJA NA WDECHU, OJCOSTWO NA WYDECHU

HBO max

T3 PREMIERA | Już dostępne



To nie jest film, który się ogląda. To film, który wsiąka w organizm i zostaje tam dłużej. Pulsuje tempem ucieczki, nerwem decyzji podejmowanych za późno i ciszą po nich. *One Battle After Another* od pierwszych minut ustawia widza w stanie gotowości – jakby za chwilę miało wydarzyć się coś, co już się wydarzyło, tylko jeszcze nie dotarło do świadomości. Paul Thomas Anderson nie buduje tu tezy ani manifestu. Buduje napięcie, które przypomina życie w świecie, gdzie wszystko jest polityczne, nawet oddech.

To pierwszy raz, kiedy Paul Thomas Anderson naprawdę wychodzi z XX wieku. Przez dekady był kronikarzem dawnych obsesji – religii sukcesu, męskiej dominacji, przemocy ukrytej w mitach Ameryki. Tutaj po raz pierwszy patrzy wprost na świat po pęknięciu: paranoiczny, spolaryzowany, duszny. I robi to nie z pozycji pamflecisty, ale humanisty, który rozumie, że żadna ideologia nie istnieje bez ludzi, a żadna rewolucja bez kosztu emocjonalnego.

Ten film ma w sobie coś z wielkiego, nowoczesnego eposu – nie dlatego, że jest głośny, ale dlatego, że ciągle płynie. Kamera sunie przez miasta i pustynie, przez wnętrza i granice, przez ciała w biegu. Sekwencje pościgów – zwłaszcza te na otwartej przestrzeni – są jednymi z najbardziej hipnotyzujących, jakie Anderson kiedykolwiek nakręcił. Jest w nich monumentalność *There Will Be Blood*, ale też nerwowość współczesnego thrillera, w którym nikt nie ma czasu się zatrzymać, bo zatrzymanie oznacza schwytanie.

W centrum tego chaosu stoi Bob – w interpretacji Leonardo DiCaprio być może najbardziej rozchwianej, zmęczonej i ludzkiej w jego karierze. To bohater, który nie jest liderem ani wizjonerem, raczej kimś, kto próbuje nadążyć za własnym sumieniem. DiCaprio gra go jak człowieka w permanentnym stanie alarmowym – biegnącego, chowającego się, mylącego tropy, ale też rozpaczliwie próbującego być ojcem. Relacja z córką – graną z imponującą dojrzałością przez Chase Infiniti – jest emocjonalnym kręgosłupem filmu. To ona niesie przyszłość, której starsze pokolenia już nie potrafią unieść.

Obok nich pojawia się Perfidia Beverly Hills, magnetycznie opowiedziana przez Teyanę Taylor – postać jednocześnie wyzwolona i autodestrukcyjna, rewolucyjna i hedonistyczna, symbol nie tyle idei, co ceny, jaką płaci się za życie na skraju. Jej relacja z pułkownikiem Lockjawem, granym przez Seana Penna, to jedno z najbardziej niepokojących studiów władzy, fetyszyzacji i przemocy w kinie ostatnich lat. Penn jest tu groteskowy, przerażający i momentami niemal slapstickowy – jakby Anderson celowo obnażał absurd supremacji, zanim pokaże jej realne konsekwencje.

Całość spaja muzyka Jonny'ego Greenwooda – jedna z jego najbardziej subtelnych, a jednocześnie najbardziej niepokojących partytur. Smyczki, fortepian, gitara pojawiają się jak myśli, które trudno uciszyć. To nie soundtrack, który prowadzi emocje za rękę – raczej taki, który je podkopuje, wprowadza dysonans, sprawia, że nawet chwile ciszy są gęste od napięcia.

To kino polityczne, ale nie dydaktyczne. Anderson nie daje prostych odpowiedzi, nie buduje jednoznacznych bohaterów. Rewolucjoniści są tu zmęczeni, czasem nieskuteczni, czasem naiwni. Faszyści – karykaturalni, ale groźni. Najważniejsze pytanie filmu nie brzmi jednak „kto ma rację?", tylko „co zostaje po kolejnej walce?". I odpowiedź jest gorzka: trauma, niepewność, dzieci, które muszą żyć z decyzjami rodziców.

To jedno z tych dzieł, które nie tylko ogląda się dwa razy, ale które zostają w głowie jak puls. Kino większe niż chwila, a jednocześnie boleśnie zanurzone w teraz. Jeśli to jest odpowiedź Andersona na pytanie, jak widzi świat XXI wieku – jest to odpowiedź pełna strachu, czułości i dziwnej, upartej nadziei. I chyba właśnie takiej dziś najbardziej potrzebujemy.

eprasa.pl 0a51c839d1

SENS PO SEANSIE

25 seriali, które zdefiniowały 25 lat XXI wieku.

Wybór i tekst | **Marcin Kubicki**



Listy „najlepszych seriali” powstają dziś hurtowo. Jedne liczą nagrody, inne algorytmy popularności. Ta lista nie robi żadnej z tych rzeczy. Nie jest próbą ustalenia kanonu ani kompromisem między gustami. Jest zapisem doświadczeń – seriali, które realnie coś zmieniły – w sposobie myślenia o świecie, o relacjach, o odpowiedzialności, o śmierci, o czasie.

Nie wszystkie są „przyjemne”. Nie wszystkie chce się oglądać ponownie. Ale wszystkie zostawiają ślad – emocjonalny, moralny albo kulturowy. To właśnie ten ślad był kryterium wyboru. Dlatego obok wielkich fabularnych konstrukcji znalazły się tu dokumenty, animacje, miniseriale i opowieści bardzo intymne. A kilka głośnych, świetnie zrealizowanych tytułów świadomie się tu nie zmieściło – nie dlatego, że były słabsze, lecz dlatego, że nie niosły wystarczająco unikalnego ciężaru.

To nie jest ranking „co obejrzeć”. To jest lista seriali, które zostają w człowieku dłużej niż sam seans.



25



JAK NAS WIDZĄ

Ten o tym, jak system potrafi pomylić prawdę z wygodą

DATA EMISJI 2019
LICZBA ODCINKÓW 4
GDZIE OBEJRZEĆ
NETFLIX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

When They See Us to serial, który od początku odbiera widzowi komfort dystansu. Nie pozwala myśleć: „to była inna epoka", „to jednostkowy błąd", „tak już się nie robi". Ta historia nie jest rekonstrukcją sprawy sądowej. Jest zapisem mechanizmu – precyzyjnego, bezdusznego, działającego dokładnie tak, jak został zaprojektowany.

Pięciu chłopców. Dzieci, naprawdę dzieci. Zagubione, przestraszone, zmęczone wielogodzinnymi przesłuchaniami, w których dorośli mówią im, co się wydarzyło – aż w końcu zaczynają w to wierzyć. *When They See Us* pokazuje, jak łatwo prawda przegrywa z narracją, jeśli ta druga jest głośna, szybsza i bardziej wygodna politycznie. Sprawiedliwość nie upada tu spektakularnie. Ona się po prostu nie pojawia.

Najbardziej wstrząsające w tym serialu jest to, że nie opowiada on o jednym złym policjancie czy jednym złym prokuratorze. Opowiada o całym łańcuchu decyzji, w którym każdy robi „swoje". Ktoś przyspiesza procedurę. Ktoś ignoruje sprzeczność. Ktoś uznaje, że „to się domknie później". *When They See Us* pokazuje, że krzywda rzadko jest efektem jednego aktu okrucieństwa. Częściej jest sumą małych zgód.

Ten serial jest też o czasie, który nie działa jak obietnica. Lata mijają, wyroki zostają unieważnione, nazwiska oczyszczone – ale życie nie wraca. Dzieciństwo nie zostaje oddane. Relacje nie sklejają się same. Trauma nie zna języka rehabilitacji wizerunkowej. *When They See Us* nie myli sprawiedliwości proceduralnej z naprawą krzywdy. Wie, że to dwie zupełnie różne rzeczy.

Szczególnie poruszające są momenty ciszy. Sceny, w których bohaterowie próbują funkcjonować „normalnie", nie mając narzędzi do normalności. System karze ich dwa razy: najpierw odbiera wolność, potem nie daje języka, by opisać, co zostało zabrane. Dorosłość przychodzi tu nie jako rozwój, ale jako konieczność radzenia sobie z czymś, na co nikt nie był gotowy.

To serial, który bardzo świadomie unika taniości. Nie ma tu triumfu, który mógłby przykryć skalę straty. Nawet momenty prawdy są gorzkie, bo przychodzą za późno i nie zmieniają faktu, że państwo, media i opinia publiczna przez lata patrzyły na tych chłopców jak na symbole, a nie ludzi. *When They See Us* boleśnie przypomina, że dehumanizacja zaczyna się dokładnie w tym momencie – gdy przestajemy widzieć twarz, a zaczynamy widzieć „sprawę".

Ten serial nie jest oskarżeniem podszytym gniewem. Jest czymś znacznie trudniejszym: spokojnym, precyzyjnym zapisem krzywdy, która nie potrzebuje podniesionego głosu, by być oczywista. Pokazuje, że system nie musi być zły, żeby niszczyć. Wystarczy, że będzie bardziej zainteresowany domknięciem narracji niż prawdą.

When They See Us zostawia widza z pytaniem, którego nie da się łatwo odsunąć: ile historii uznajemy za zakończone tylko dlatego, że przestaliśmy chcieć ich słuchać? I co to mówi o świecie, w którym sprawiedliwość bywa kwestią cierpliwości – a cierpliwość jest luksusem, na który nie każdy może sobie pozwolić.

To serial o spojrzeniu. O tym, kogo widzimy jako człowieka, a kogo jako problem do rozwiązania. I o cenie, jaką płaci się wtedy, gdy system patrzy, ale nie chce naprawdę zobaczyć.

eprasa.pl 0a51c839d1



24



GENIALNA PRZYJACIÓŁKA

Ten o relacji, która kształtuje cię bardziej niż miłość

DATA EMISJI 2018-2024
LICZBA ODCINKÓW 34
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Są historie o przyjaźni. I są takie, które pokazują coś znacznie trudniejszego do zaakceptowania: że najważniejsza relacja w życiu może być jednocześnie źródłem siły i nieustannego bólu. *My Brilliant Friend* nie opowiada o siostrzanej bliskości ani o wspólnym dorastaniu. Opowiada o tym, jak drugi człowiek może stać się twoim lustrem, rywalem, wyrzutem sumienia i miarą własnej wartości – wszystko naraz.

Lenù i Lila nie są przyjaciółkami w tym miękkim, pocieszającym sensie. One są ze sobą splecione. Od dzieciństwa, od podwórka, od biedy, od przemocy, od świata, który mówi dziewczynkom, kim mają być i gdzie jest ich miejsce. Ich relacja nie daje schronienia. Ona wystawia na próbę. Każdego dnia.

Lila jest jak błyskawica – nieprzewidywalna, genialna, niszcząca. Lenù – jak długie, mozolne wspinanie się pod górę. Ambicja kontra talent. Praca kontra intuicja. Widzialność kontra znikanie. I przez cały ten czas jedna nie potrafi istnieć bez drugiej. Sukces Lenù zawsze ma w sobie cień Lili. Każda porażka Lili odbija się w Lenù jak osobiste oskarżenie.

Ten serial mówi coś bardzo niewygodnego: że miłość nie zawsze jest najważniejszym motorem życia. Czasem jest nim zazdrość. Czasem potrzeba bycia lepszym. Czasem strach przed tym, że ktoś, kogo podziwiasz, mógłby okazać się od ciebie wolniejszy – albo przeciwnie, że nigdy nie dorównasz jego intensywności.

Neapol w *My Brilliant Friend* nie jest tłem. Jest systemem nacisku. Przemoc nie jest tu wydarzeniem – jest klimatem. Seksizm, klasowość, ograniczenia ekonomiczne wsiąkają w bohaterki tak głęboko, że nawet gdy fizycznie się z tego miejsca wydostają, ono dalej w nich żyje. I właśnie dlatego ten serial dotyka: bo pokazuje, że awans społeczny nie zawsze oznacza wewnętrzne wyzwolenie.

Najbardziej poruszające w tej historii jest to, że Lenù nigdy nie przestaje mierzyć swojego życia Lilą. Nawet wtedy, gdy teoretycznie „wygrywa". Nawet wtedy, gdy ma uznanie, książki, głos. Lila jest jej punktem odniesienia, wewnętrznym krytykiem, cieniem, który przypomina, że można było żyć inaczej – odważniej, ostrzej, bardziej bezkompromisowo.

My Brilliant Friend nie romantyzuje kobiecej relacji. Nie upraszcza jej do wsparcia i siostrzeństwa. Pokazuje ją jako przestrzeń konfliktu, zależności, emocjonalnej przemocy, ale też absolutnej formacji tożsamości. Bo czasem to nie rodzice, nie partnerzy i nie dzieci definiują nas najmocniej – tylko ktoś, kto widział nas na samym początku i nigdy nie pozwolił nam o tym zapomnieć.

To serial o tym, że można kogoś kochać i jednocześnie przez całe życie z nim walczyć. Że można komuś zawdzięczać siebie – i mieć do niego o to żal. I że niektóre relacje nie kończą się nawet wtedy, gdy znikają z naszego życia. One po prostu przenoszą się do środka.

My Brilliant Friend zostawia z myślą, która nie daje spokoju: że być może najważniejszą historią naszego życia nie jest ta, którą opowiadamy światu, ale ta, którą toczymy w ciszy – w dialogu z kimś, kto był obok, gdy wszystko dopiero się zaczynało.

eprasa.pl 0a51c839d1



23



PO DRUGIEJ STRONIE MURU

Ten o drodze, która wygląda jak bajka, a prowadzi przez strach

DATA EMISJI 2014
LICZBA ODCINKÓW 10
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Over the Garden Wall udaje coś małego. Krótką animację. Jesienną opowieść do obejrzenia „między" jedną a drugą czynnością. Śpiewające żaby, dziwaczni mieszkańcy, las skąpany w sepii. Wszystko wygląda jak sen, który nie ma ambicji niczego wyjaśniać. I właśnie w tym tkwi jego podstęp. Bo to jedna z najbardziej przenikliwych historii o dorastaniu i lęku, jakie powstały – tylko opowiedziana cicho.

To serial o byciu zagubionym. Nie metaforycznie, ale dosłownie. Wirt i Greg błąkają się po Nieznanym, miejscu, które nie ma mapy ani logiki. I bardzo szybko okazuje się, że to nie jest przestrzeń do przejścia, tylko do przeżycia. Każdy odcinek jest jak spotkanie z inną wersją strachu: przed odrzuceniem, przed odpowiedzialnością, przed tym, że nie jesteś wystarczający, żeby kogoś ochronić.

Wirt jest chłopcem, który myśli za dużo. Analizuje, przewiduje, wycofuje się. Jego lęk nie jest spektakularny – jest paraliżujący. Greg jest jego przeciwieństwem: intuicyjny, ufny, gotowy wejść w ciemność bez planu. I dopiero razem tworzą całość. *Over the Garden Wall* mówi coś bardzo ważnego: że dorastanie nie polega na porzuceniu naiwności, tylko na nauczeniu się, kiedy jej potrzebujesz.

Najstraszniejszą postacią w tym serialu nie jest Bestia. Jest nią bezruch. Moment, w którym przestajesz iść dalej, bo las wydaje się zbyt gęsty, a noc zbyt długa. Bestia tylko to wykorzystuje. Karmi się rezygnacją, szeptem, że nie ma sensu próbować. I to jest jedna z najmądrzejszych metafor depresji i lęku, jakie widziałem w animacji – pozbawiona patosu, a przez to jeszcze bardziej prawdziwa.

Ten serial rozumie, że strach rzadko wygląda jak potwór. Częściej jak zmęczenie. Jak poczucie winy. Jak myśl, że wszystko już zostało przesądzone. *Over the Garden Wall* nie walczy z tym krzykiem. On idzie dalej mimo niego. Pokazuje, że odwaga nie polega na braku lęku, tylko na ruchu – czasem bardzo małym, czasem nieporadnym, ale własnym.

Finał tej historii nie jest triumfem. Jest powrotem. Ale nie takim, który resetuje doświadczenie. To powrót kogoś, kto już wie. Że świat bywa mroczny, że łatwo się zgubić, że odpowiedzialność boli – ale też że światło nie zawsze musi być wielkie, żeby wystarczyło. Czasem wystarczy czyjaś obecność. Czyjaś piosenka. Czyjaś ręka w ciemności.

Over the Garden Wall jest opowieścią o przejściu – między dzieciństwem a czymś dalej, czego jeszcze nie umiemy nazwać. O tym krótkim momencie, gdy wszystko jest niepewne, ale jeszcze możliwe. I może dlatego ten serial zostaje tak długo. Bo każdy z nas był kiedyś w Nieznanym. I każdy z nas potrzebował kogoś, kto powie – chodź, jeszcze tylko kawałek.

eprasa.pl 0a51c839d1



22



PRZEKLĘTY: ŻYCIE I ŚMIERCI ROBERTA DURSTA

Ten o ciszy, która mówi za dużo

DATA EMISJI 2015-2024
LICZBA ODCINKÓW 12
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
TYLKO PIERWSZY SEZON, TWORZĄCY ZAMKNIĘTĄ HISTORIĘ (6 ODCINKÓW Z 2015 ROKU)

The Jinx nie jest dokumentem kryminalnym w klasycznym sensie. Nie prowadzi widza za rękę przez zagadkę, nie buduje napięcia według znanych reguł. On raczej siedzi naprzeciwko ciebie i patrzy. Długo. Niewygodnie. Jakby czekał, aż sam zadasz sobie pytanie, którego nie chcesz wypowiedzieć na głos: jak to możliwe, że tyle rzeczy uszło komuś na sucho?

Robert Durst nie jest tu potworem z legendy. Jest człowiekiem. I właśnie to jest najbardziej niepokojące. Jego sposób mówienia, pauzy, drobne uśmiechy, nerwowe tiki – wszystko sprawia wrażenie zwyczajności. *The Jinx* rozumie, że prawdziwy horror nie potrzebuje maski. Wystarczy brak emocji tam, gdzie powinna być reakcja. Cisza w miejscach, w których normalnie pojawia się żal.

Ten serial nie krzyczy oskarżeniami. On pozwala Durstowi mówić. I to jest decyzja etycznie ryzykowna, ale artystycznie bezlitosna. Kamera nie konfrontuje – kamera rejestruje. A im dłużej słuchasz, tym bardziej czujesz, że coś się rozjeżdża. Że opowieści nie pasują do siebie nie dlatego, że są źle zapamiętane, ale dlatego, że prawda nigdy nie była tu priorytetem.

Najbardziej przerażające w *The Jinx* jest to, jak bardzo pieniądz i status działają jak znieczulenie. System prawny nie jawi się tu jako narzędzie sprawiedliwości, tylko jako labirynt, w którym niektórzy znają wszystkie skróty. Policja, sądy, media – wszyscy krążą wokół tej samej postaci, ale nikt nie potrafi jej zatrzymać na dłużej. Serial nie musi tego komentować. Wystarczy, że to pokazuje.

Kulminacyjna scena nie jest twistem. Jest pęknięciem. Momentem, w którym maska nie spada spektakularnie, tylko lekko się przesuwa. Mamrotane słowa, nerwowy śmiech, próba uporządkowania chaosu we własnej głowie. *The Jinx* nie mówi: „złapaliśmy go". Mówi coś znacznie bardziej niepokojącego: zobaczyliśmy, jak wygląda brak granicy między winą a przyzwyczajeniem.

Ten dokument jest też o widzu. O naszej fascynacji złem, o potrzebie domknięcia, o satysfakcji z „rozwiązanej sprawy". *The Jinx* celowo odbiera tę przyjemność. Nawet gdy padają słowa, które brzmią jak przyznanie się do winy, nie ma ulgi. Jest tylko zimne uświadomienie sobie, że prawda nie zawsze przywraca porządek. Czasem tylko potwierdza, jak bardzo został już naruszony.

To serial o tym, że śmierć może stać się tłem. Że ludzkie życie bywa wciągnięte w narrację tak gładko, że przestaje być centrum. Ofiary w *The Jinx* są niemal nieobecne – i to też jest oskarżenie. Nie wobec Dursta, ale wobec świata, który pozwolił, by ich historie zostały zepchnięte na margines przez charyzmę, pieniądze i medialny magnetyzm jednego człowieka.

The Jinx zostawia widza w stanie zawieszenia. Bez moralnej satysfakcji. Bez poczucia, że „sprawiedliwości stało się zadość". Zostawia z myślą, że czasem największą zagadką nie jest to, kto zabił – tylko jak długo system potrafi udawać, że nic nie widzi. I że prawdziwy niepokój rodzi się nie wtedy, gdy ktoś w końcu coś powie, ale wtedy, gdy uświadomisz sobie, jak wiele można było przemilczeć przez lata.

eprasa.pl 0a51c839d1



21



KOMPANIA BRACI

Ten o braterstwie, które rodzi się ze strachu

DATA EMISJI 2001
LICZBA ODCINKÓW 10
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Band of Brothers nie jest serialem o wojnie. Wojna jest tu faktem, tłem, nieuniknionym żywiołem. Prawdziwą historią jest człowiek wrzucony w sytuację, w której wszystko, co znał wcześniej, przestaje mieć znaczenie. Ambicje, poglądy, ego – wszystko odpada jak zbędny balast w chwili, gdy wyskakujesz z samolotu w noc nad Normandią.

To, co od pierwszych minut uderza w *Band of Brothers*, to brak heroizmu w klasycznym sensie. Nie ma tu wielkich przemówień ani łatwych zwycięstw. Jest strach. Paraliżujący, lepki, obecny w każdym oddechu. I właśnie z tego strachu rodzi się braterstwo – nie z ideologii, nie z patriotyzmu, tylko z bardzo prostej potrzeby: przetrwać razem, bo w pojedynkę nie ma żadnych szans.

Ten serial pokazuje wojnę jako proces odzierania z iluzji. Szkolenie w Toccoa jeszcze udaje, że wszystko da się uporządkować, zaplanować, kontrolować. Europa bardzo szybko to weryfikuje. Front nie nagradza najlepszych. Front nagradza tych, którzy mają szczęście. I tych, którzy potrafią iść dalej mimo tego, że ktoś obok już nie wstanie.

Najbardziej poruszające w *Band of Brothers* są momenty ciszy. Chwile między walkami, kiedy żołnierze siedzą razem, palą papierosy, głupio żartują, albo nie mówią nic. Serial rozumie, że wojna to w ogromnej mierze czekanie – na rozkaz, na świt, na pocisk, który może trafić akurat ciebie. Ta cisza jest cięższa niż wybuchy, bo w niej mieści się świadomość kruchości wszystkiego.

Easy Company nie jest mitem. Jest zbiorem bardzo różnych ludzi, których połączyła sytuacja bez wyjścia. *Band of Brothers* z niezwykłą czułością pokazuje, jak rodzi się między nimi więź, której nie da się porównać z żadną inną relacją. To nie jest przyjaźń z wyboru. To jest zależność absolutna. Wiesz, że twoje życie dosłownie znajduje się w rękach człowieka obok – i że jutro może go już nie być.

Ten serial mówi też coś bardzo niewygodnego o pamięci. O tym, że bohaterstwo z czasem staje się opowieścią, uproszczoną, wygładzoną, gotową do oprawienia w ramkę. A prawda była brudna, chaotyczna i pełna przypadkowości. *Band of Brothers* oddaje głos tym, którzy zwykle znikają w przypisach historii – zwykłym żołnierzom, którzy nie zmieniali świata w wielkich gestach, tylko w małych decyzjach podejmowanych pod ostrzałem.

Im dalej w tę historię, tym wyraźniej widać zmęczenie. Nie tylko fizyczne. Egzystencjalne. Wojna wypala w bohaterach coś, czego nie da się odzyskać po powrocie do domu. Serial nie potrzebuje tego dopowiadać – wystarczy spojrzenie, milczenie, sposób, w jaki stoją po zakończeniu walk. Jakby już wiedzieli, że nigdy do końca nie wrócą.

Band of Brothers zostaje w człowieku, bo nie sprzedaje wojny jako próby charakteru, po której wychodzisz silniejszy. Pokazuje ją jako doświadczenie graniczne, które na zawsze zmienia skalę rzeczy. Po nim małe problemy przestają być małe, a wielkie słowa brzmią podejrzanie pusto.

To serial o ludziach, którzy nie chcieli być bohaterami, ale zostali nimi przez fakt, że nie uciekli. Że zostali, gdy strach był silniejszy niż odwaga. Że trzymali się razem, bo tylko to miało sens. I może właśnie dlatego *Band of Brothers* działa tak mocno po latach – bo przypomina, że największe historie nie rodzą się z wielkich idei, tylko z bardzo ludzkiej potrzeby, by nie być samemu, kiedy świat się rozpada.

eprasa.pl 0a51c839d1



20



THE LAST OF US

Ten o miłości, która rodzi się po końcu świata

DATA EMISJI 2023-...
LICZBA ODCINKÓW 16
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
TYLKO PIERWSZY SEZON (9 ODCINKÓW Z 2023 ROKU), KTÓRY MOŻNA POTRAKTOWAĆ JAKO ZAMKNIĘTĄ CAŁOŚĆ

The Last of Us sprzedaje się jako historia postapokaliptyczna, serial o grzybie, który zjada ludzkość od środka. Ale to tylko kostium. Zmyłka. W rzeczywistości to jedna z najbardziej intymnych opowieści o miłości, jaką telewizja odważyła się opowiedzieć – i to miłości rozumianej bardzo szeroko – jako odpowiedzialność, lęk, przywiązanie, a w końcu jako coś, co boli bardziej niż samotność.

Ten serial zaczyna się od straty, zanim jeszcze zdążysz się w nim rozgościć. I to jest uczciwe. Nie ma tu miękkiego wejścia, budowania napięcia pod przyszłe emocje. Jest uderzenie. Trauma, która nie jest „backstory", tylko fundamentem wszystkiego, co wydarzy się później. Joel nie idzie przez świat zrujnowany przez pandemię – on idzie przez świat, który już raz mu się skończył. Reszta to tylko echo.

Ellie pojawia się jak problem do rozwiązania. Jak zadanie logistyczne. Jak ładunek. I dokładnie w taki sposób próbuje ją widzieć Joel – bo tylko tak potrafi przetrwać. *The Last of Us* pokazuje coś, o czym rzadko się mówi: że dystans emocjonalny bywa strategią obronną, a nie chłodem charakteru. Że obojętność często jest po prostu inną formą żałoby.

Ten świat nie nagradza dobroci. Każdy gest empatii jest ryzykiem. Każda relacja – potencjalną stratą. I właśnie dlatego odcinek o Billu i Franku działa jak emocjonalna detonacja. To historia, która mogłaby być osobnym filmem, osobnym życiem. Opowieść o tym, że nawet po końcu cywilizacji można zbudować coś trwałego. Że miłość nie potrzebuje tłumu ani przyszłości – wystarczy jej ktoś, kto zostanie. I decyzja, żeby nie przeżyć życia w trybie awaryjnym.

Relacja Joela i Ellie rozwija się nie przez wielkie deklaracje, ale przez drobiazgi: milczenie w samochodzie, głupie żarty, wspólne strachy. To miłość, która nie pada na kolana, nie mówi „kocham", tylko powoli przestaje pytać, czy warto się angażować. I to jest w niej najbardziej bolesne – bo wiesz, że im bliżej są siebie, tym wyższa będzie cena.

Finał *The Last of Us* nie daje komfortu. Nie daje moralnej jasności. Zostawia widza z pytaniem, które nie ma dobrej odpowiedzi: czy miłość usprawiedliwia wszystko? Czy ratowanie jednego świata – tego najbliższego, najbardziej osobistego – jest ważniejsze niż ratowanie świata w ogóle? To pytanie zostaje w głowie długo po napisach końcowych, bo dotyczy nie apokalipsy, tylko codziennych wyborów, które podejmujemy w znacznie mniejszej skali.

Ten serial nie mówi, że miłość nas ocali. Mówi coś znacznie trudniejszego: że miłość nas zmienia – i że ta zmiana nie zawsze jest moralnie czysta. *The Last of Us* jest o tym, że przywiązanie czyni nas ludźmi, ale też potworami. Że czasem największym aktem egoizmu jest nazwać swoje uczucia „koniecznością".

I może właśnie dlatego ten serial tak trafia. Bo pod warstwą grzybów, ruin i przemocy kryje się coś bardzo znajomego: strach przed ponowną stratą. Przed otwarciem się. Przed tym, że jeśli pozwolimy komuś być naprawdę blisko, świat może się skończyć jeszcze raz.

eprasa.pl 0a51c839d1



19



DETEKTYW

Ten o czasie, który nigdzie nie prowadzi

DATA EMISJI 2014-...
LICZBA ODCINKÓW 30
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
TYLKO PIERWSZY SEZON (8 ODCINKÓW Z 2014 ROKU), KTÓRY JEST ZAMKNIĘTĄ CAŁOŚCIĄ

Pierwszy sezon *True Detective* od pierwszych minut mówi widzowi coś, czego większość seriali boi się nawet zasugerować: to nie będzie historia o rozwiązaniu zagadki. To będzie historia o utknięciu. O ludziach, którzy nie idą do przodu, tylko krążą wokół tych samych ran, tych samych myśli, tych samych błędów – aż czas przestaje być linią, a zaczyna przypominać zamknięty obwód.

Ten serial nie zaczyna się od zbrodni, tylko od spowiedzi bez Boga. Od mężczyzn, którzy siedzą naprzeciwko kamery i mówią, jakby już dawno pogodzili się z tym, że prawda nie przynosi ulgi. Rust Cohle nie jest detektywem. Jest człowiekiem, który za dużo zobaczył i nie potrafi już udawać, że to wszystko ma sens. Marty Hart z kolei jest dowodem na to, że normalność bywa najlepiej opakowaną formą ucieczki.

Luizjana w *True Detective* nie jest miejscem. Jest stanem umysłu. Płaska, duszna, rozkładająca się przestrzeń, w której wiara stała się dekoracją, a zło elementem krajobrazu. Tu nie ma metafizycznego potwora. Jest sieć powiązań, milczenia i przyzwolenia. Serial mówi jasno: największe potwory nie chowają się w lasach. One funkcjonują w świetle dnia, chronione przez struktury, które miały chronić innych.

Najbardziej poruszające w *True Detective* jest to, że nie ma w nim próby pocieszenia nas. Rust mówi o życiu jak o biologicznym błędzie, o świadomości jako przekleństwie – i serial nie spieszy się, by mu zaprzeczyć. Zamiast tego każe nam z nim posiedzieć. Posłuchać. Zobaczyć świat z perspektywy kogoś, kto stracił wszelkie iluzje, ale wciąż – paradoksalnie – szuka prawdy z obsesyjną uczciwością.

Relacja Rusta i Marty'ego to nie przyjaźń. To tarcie dwóch sposobów radzenia sobie z pustką. Jeden wybiera konfrontację do bólu, drugi – kompromis i zaprzeczanie. Jeden nie chce mieć nic, drugi chce mieć wszystko naraz. *True Detective* pokazuje, że oba te wybory prowadzą do samotności, tylko inną drogą. I że żadna z nich nie daje gwarancji ocalenia.

Ten serial jest też opowieścią o męskości w stanie rozpadu. Bez heroizmu, bez mitu silnego faceta, który „ogarnia". Są tu tylko mężczyźni nieumiejący mówić o emocjach inaczej niż przez gniew, ironię albo alkohol. Mężczyźni, którzy nie potrafią być obecni ani w pracy, ani w domu. *True Detective* nie oskarża – ono obserwuje, jak ten model sam się wypala.

A jednak, mimo całej tej ciemności, serial zostawia szczelinę. Maleńką, ledwo widoczną. Nie w rozwiązaniu sprawy, nie w triumfie dobra nad złem, ale w jednym zdaniu, wypowiedzianym cicho pod koniec: że kiedyś była tylko ciemność, a teraz światło walczy. To nie jest nadzieja w hollywoodzkim sensie. To raczej decyzja, by nie oddać wszystkiego nicości. By uznać, że nawet jeśli sens jest iluzją, to prawda wciąż ma znaczenie.

True Detective zostaje w człowieku jak rozmowa, którą odbyło się za późno w nocy. Taka, po której nie wstajesz lżejszy, tylko bardziej świadomy. Serial nie pyta, czy świat da się naprawić. Pyta, czy jesteś gotów spojrzeć na niego bez znieczulenia. I czy mimo tego spojrzenia potrafisz jeszcze zostać.

Bo może właśnie to jest jego najważniejsze pytanie: nie jak pokonać zło, ale jak żyć, wiedząc, że ono nie zniknie.

eprasa.pl 0a51c839d1



18



FLEABAG

Ten o śmiechu, który maskuje pęknięcie

DATA EMISJI 2016-2019
LICZBA ODCINKÓW 12
GDZIE OBEJRZEĆ
AMAZON PRIME VIDEO
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Fleabag udaje bezwstydność. Rzuca żartami jak ostrzami, łamie czwartą ścianę, puszcza do widza porozumiewawcze oko, jakby mówiła: „spokojnie, mam nad tym kontrolę". A potem, niemal niezauważalnie, okazuje się, że to wszystko jest mechanizmem obronnym. Że śmiech nie służy tu zabawie, tylko przetrwaniu.

To opowieść o kobiecie, która mówi za dużo, czuje za mocno i nie potrafi się zatrzymać. Seks, ironia, prowokacja – wszystko jest tu ruchem ucieczkowym. Fleabag nie chce, żebyś ją polubił. Chce, żebyś jej nie zostawił samej. I to bardzo niewygodna różnica.

Ten serial jest o żałobie, ale nie tej eleganckiej, filmowej, z ciszą i powagą. To żałoba brudna, nieprzyzwoita, pełna winy. O stracie, której nie da się opłakać wprost, więc trzeba ją rozbroić żartem. O poczuciu odpowiedzialności, które zatruwa każdą relację – z rodziną, z partnerami, z samą sobą.

Relacje w *Fleabag* są polem minowym. Matka zastąpiona przez macochę, która perfekcyjnie opanowała przemoc w białych rękawiczkach. Siostra, która wybrała kontrolę zamiast bliskości. Mężczyźni, którzy pojawiają się i znikają, bo prawdziwa intymność byłaby zbyt ryzykowna. Ten serial nie pyta: „dlaczego ona taka jest?". Pyta: „ile razy można się rozbić, zanim przestanie się wierzyć, że da się inaczej?".

A potem pojawia się on – ksiądz. I nagle *Fleabag* robi coś genialnego: bierze postać, która powinna być zakazem, i zamienia ją w możliwość. W spojrzenie, które widzi. W kogoś, kto zauważa momenty, w których bohaterka „znika" do widza – i pyta, dokąd idzie. To jedna z najpiękniejszych metafor samotności w nowoczesnej popkulturze: potrzeba bycia naprawdę obecnym, bez ironicznego bufora.

Ten serial mówi bardzo brutalną prawdę: że nie da się przejść przez życie bez ran. Ale można nauczyć się nie robić z nich widowiska. Finał *Fleabag* nie jest happy endem. Jest aktem zgody. Na stratę. Na to, że nie wszystko da się naprawić. I na to, że czasem największym krokiem naprzód jest odwrócenie się plecami do widza – i pójście dalej bez komentarza.

Fleabag to historia o tym, że autoironia bywa formą autoagresji. Że mówienie „to tylko żart" często znaczy „to mnie boli". I że bliskość zaczyna się tam, gdzie przestajemy wszystko tłumaczyć dowcipem.

To serial, który śmieje się głośno, żeby nie rozpłakać się na oczach wszystkich. I właśnie dlatego zostaje w środku na długo. Bo pod całą tą błyskotliwością kryje się coś bardzo prostego i bardzo ludzkiego: pragnienie, żeby ktoś powiedział „widzę cię" – i naprawdę to miał na myśli.

eprasa.pl 0a51c839d1



17



POSE

Ten o godności, którą trzeba było sobie wymyślić

DATA EMISJI 2018-2021
LICZBA ODCINKÓW 26
GDZIE OBEJRZEĆ
NIEDOSTĘPNY OBECNIE W SERWISACH VOD
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI, CHOĆ MOŻESZ TEŻ TYLKO PIERWSZY SEZON

Pose nie zaczyna się od pytania „kim jesteś?”. Zaczyna się od pytania znacznie trudniejszego: „Gdzie możesz być sobą, jeśli świat nie przewidział dla ciebie miejsca?”. Ten serial nie opowiada historii wykluczenia w sposób dydaktyczny ani reporterski. On ją przeżywa – w ruchu, w muzyce, w spojrzeniach, w ciałach, które musiały nauczyć się, jak przetrwać bez obietnicy bezpieczeństwa.

Nowy Jork lat 80. i 90. w *Pose* nie jest miastem marzeń. Jest polem walki. Ballroom nie jest tu zabawą ani eskapizmem – jest azylem. Przestrzenią, w której można na chwilę odwrócić hierarchie świata. Gdzie biedni stają się bogaci, odrzuceni – podziwiani, niewidzialni – dostrzegani. Kategorie, trofea, gesty nie są powierzchowne. Są językiem godności.

Najważniejsze w *Pose* jest to, że rodzina nie wynika z krwi. Wynika z decyzji. Z potrzeby. Z desperacji, ale i z miłości. Domy, matki, dzieci – to struktury stworzone wbrew światu, który odmówił im prawa do istnienia. Blanca nie jest idealną bohaterką. Jest zmęczona, chora, czasem bezradna. Ale jej siła polega na czymś innym: na odmowie zniknięcia. Na powiedzeniu „zostajemy”, nawet wtedy, gdy wszystko dookoła mówi „nie ma tu dla was miejsca”.

Ten serial jest o epidemii AIDS, ale nie pozwala, by choroba zdefiniowała tożsamość bohaterów. Śmierć jest obecna – często brutalnie, bez zapowiedzi – ale *Pose* nie robi z niej centrum narracji. Ważniejsze jest to, jak się żyje pomiędzy. Jak kocha, pracuje, marzy, kłóci, wychowuje. Jak bardzo normalność może być aktem oporu.

Jest w *Pose* ogromna teatralność, melodramat, czasem wręcz przesada. Ale ona nie jest wadą. Jest strategią. Jeśli całe życie mówiono ci, że jesteś za bardzo – to jedyną odpowiedzią jest bycie jeszcze bardziej. Głośniej. Odważniej. Bez przeprosin. Ten serial rozumie, że estetyka bywa tarczą, a spektakl – sposobem na przetrwanie.

Najbardziej poruszające momenty *Pose* nie dzieją się na parkiecie, tylko w ciszy po występie. W chwilach, gdy makijaż jest już zmyty, a świat wraca do swoich reguł. Gdy bohaterowie konfrontują się z tym, że poza balem znów są narażeni. Na przemoc. Na biedę. Na samotność. I mimo to wracają. Znowu i znowu. Bo wiedzą, że bez tej wspólnoty nie da się oddychać.

Finał *Pose* nie jest triumfem. Jest świadectwem. Tego, że te życia miały znaczenie. Że ich historie nie są przypisem do cudzej opowieści, ale pełnoprawnym centrum. Że radość, nawet krótkotrwała, była realna. A miłość – choć często krucha – prawdziwa.

Pose to serial o tym, że czasem trzeba najpierw stworzyć scenę, żeby móc na niej stanąć. Że widzialność nie jest darem – jest walką. I że godność bywa czymś, co rodzi się nie z akceptacji świata, ale z wzajemnego uznania. Między tymi, którzy postanowili nie zniknąć.

eprasa.pl 0a51c839d1



16



NAWIEDZONY DOM NA WZGÓRZU

Ten o domu, który nigdy nie przestaje w nas mieszkać

DATA EMISJI 2018
LICZBA ODCINKÓW 10
GDZIE OBEJRZEĆ
NETFLIX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

The Haunting of Hill House sprzedaje się jako horror. Nawiedzony dom, duchy, strach, nocne koszmary. I owszem – to wszystko tu jest. Ale bardzo szybko okazuje się, że prawdziwy lęk nie czai się w korytarzach ani za drzwiami. On siedzi w pamięci. W rodzinie. W tym, czego nigdy nie udało się powiedzieć na głos, a co i tak wraca, niezależnie od tego, ile lat minęło.

Hill House nie jest miejscem. Jest stanem. Doświadczeniem, które rozdziela życie na „przed" i „po", nawet jeśli bohaterowie próbują udawać, że to „po" wcale ich nie dotyczy. Każde z rodzeństwa Crainów wyniosło z tego domu coś innego – uzależnienie, racjonalność, ucieczkę w duchowość, ironię, zaprzeczenie. Ale źródło jest wspólne. I serial nie pozwala o tym zapomnieć.

Najbardziej przejmujące w *Hill House* jest to, że strach nie jest tu celem. Jest językiem. Duchy nie wyskakują tylko po to, by przestraszyć widza. One są materializacją tego, co wyparte. Żałoby, winy, nieprzepracowanych strat. Słynna Pani z krzywą szyją nie jest twistem fabularnym – jest tragicznym dowodem na to, że trauma potrafi zatoczyć pętlę i stać się własnym źródłem.

Ten serial mówi bardzo cicho, ale konsekwentnie: dzieciństwo nie kończy się wtedy, kiedy dorastasz. Kończy się dopiero wtedy, gdy przestajesz przed nim uciekać. Każda próba „normalnego życia" bohaterów jest w istocie próbą odcięcia się od przeszłości, która i tak znajduje sposób, by się przypomnieć – w snach, w relacjach, w destrukcyjnych schematach.

Rodzina w *The Haunting of Hill House* nie jest ani bezpieczną przystanią, ani źródłem czystej krzywdy. Jest czymś znacznie bardziej skomplikowanym: miejscem, gdzie miłość i ból współistnieją w tej samej przestrzeni. Rodzice nie są tu potworami. Są ludźmi, którzy nie udźwignęli ciężaru. A dzieci płacą za to cenę, nawet jeśli nikt nigdy nie wystawił im rachunku.

I właśnie dlatego finał serialu działa tak mocno – bo nie próbuje straszyć do samego końca. Zamiast tego proponuje coś rzadkiego w horrorze: możliwość zatrzymania się. Spojrzenia na to, co było, bez potrzeby dalszej ucieczki. Nie wszystkie rany się zamykają. Nie wszystkie historie da się naprawić. Ale można spróbować nazwać je inaczej niż „potwór".

The Haunting of Hill House jest opowieścią o tym, że dom, z którego uciekliśmy, często budujemy w sobie na nowo. Z tymi samymi pokojami. Tymi samymi drzwiami, których boimy się otworzyć. I że największym aktem odwagi nie jest wejść do nawiedzonego miejsca, tylko zostać tam wystarczająco długo, by przestać udawać, że go nie znamy.

To serial, który nie pyta, czy się boisz. Pyta, czego dokładnie. I zostawia cię z myślą, że niektóre duchy nie chcą cię skrzywdzić – chcą tylko, żebyś wreszcie przestał od nich uciekać.

eprasa.pl 0a51c839d1



15



CODE GEASS

Ten o rewolucji, która zjada swojego architekta

DATA EMISJI 2006-2008
LICZBA ODCINKÓW 54
GDZIE OBEJRZEĆ
CANAL+
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Code Geass zaczyna się jak fantazja o kontroli. O sile umysłu, która wreszcie może wyrównać rachunki. O jednym człowieku, który dostaje narzędzie pozwalające zmusić świat do posłuszeństwa – i postanawia użyć go w imię sprawiedliwości. Ale bardzo szybko staje się jasne, że to nie jest opowieść o władzy. To historia o cenie, jaką płaci się za przekonanie, że cel wystarczy, by usprawiedliwić wszystko.

Lelouch nie jest klasycznym bohaterem. Jest strategiem. Architektem. Kimś, kto myśli kilka ruchów do przodu i wierzy, że emocje są przeszkodą, a nie kompasem. Jego rewolucja rodzi się z bólu – osobistego, rodzinnego, politycznego – ale szybko przestaje być o nim. Staje się konstrukcją, która musi rosnąć, nawet jeśli zaczyna pożerać własne fundamenty.

Ten serial jest bezlitosny w pokazywaniu, jak łatwo idea zmienia się w dogmat. Jak rewolucja, która miała dać wolność, zaczyna wymagać coraz większych ofiar. Lelouch nie traci kontroli nagle. Traci ją etapami. Za każdym razem mówiąc sobie, że to „ostatni raz". Że po tej decyzji świat wreszcie się ułoży. *Code Geass* doskonale rozumie ten mechanizm – i dlatego jego dramat jest tak skuteczny.

Relacja Leloucha z siostrą jest moralnym jądrem tej historii. Wszystko, co robi, robi „dla niej". Dla jej bezpieczeństwa. Dla jej przyszłości. Ale im dalej posuwa się rewolucja, tym bardziej staje się jasne, że nawet najszczersza intencja może zostać zdeformowana przez władzę. Miłość nie chroni przed błędem. Czasem wręcz go usprawiedliwia.

Maska Zero jest jednym z najmocniejszych symboli w anime nie dlatego, że jest efektowna, ale dlatego, że działa. Anonimowość pozwala Lelouchowi stać się ideą. A idea nie musi brać odpowiedzialności za konkretne twarze, które giną po drodze. *Code Geass* pokazuje, że największym luksusem władzy jest możliwość niepatrzenia na skutki własnych decyzji – dopóki nie jest już za późno.

Ten serial nie boi się patosu, ale używa go świadomie. Każda wielka scena, każdy dramatyczny zwrot, każda deklaracja ma w sobie ciężar antycznej tragedii. Bo *Code Geass* jest właśnie tym: tragedią o człowieku, który chciał naprawić świat, zamiast nauczyć się w nim żyć. I który zrozumiał za późno, że nie da się zbudować lepszej przyszłości, jeśli po drodze zniszczy się wszystko, co miało ją uzasadniać.

Finał *Code Geass* jest jednym z najbardziej bezwzględnych w historii seriali animowanych. Nie oferuje pocieszenia. Oferuje sens – okupiony całkowitą rezygnacją z siebie. To moment, w którym Lelouch przestaje być graczem, a staje się narzędziem własnej wizji. I płaci za nią najwyższą możliwą cenę.

To serial o tym, że władza nie polega na wydawaniu rozkazów, ale na ponoszeniu ich konsekwencji. O tym, że rewolucja bez empatii szybko zamienia się w kolejną formę tyranii. I o tym, że czasem jedynym sposobem, by świat mógł pójść dalej, jest zniknąć z jego środka.

Code Geass zostaje w pamięci nie jako historia zwycięstwa, ale jako opowieść o odpowiedzialności, której nie da się zrzucić na nikogo innego. Nawet jeśli nosisz maskę. Nawet jeśli cały świat bije ci brawo. Nawet jeśli wiesz, że miałeś rację.

eprasa.pl 0a51c839d1



14



TED LASSO

Ten o dobroci, która nie jest naiwna

DATA EMISJI 2020-...
LICZBA ODCINKÓW 34
GDZIE OBEJRZEĆ
APPLE TV
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Na pierwszy rzut oka *Ted Lasso* wygląda jak serial, który chce cię przytulić. Kolorowy, ciepły, sportowy feel-good o Amerykaninie, który trafia do angielskiej piłki nożnej bez pojęcia, co robi. I przez chwilę naprawdę można pomyśleć, że to historia o optymizmie jako strategii życiowej. Problem w tym, że ten serial bardzo szybko zdejmuje maskę – i pokazuje, że dobroć nie zawsze jest ucieczką. Czasem jest ostatnią linią obrony.

Ted nie jest naiwny. Jest zmęczony. Jego uśmiech nie wynika z braku świadomości świata, tylko z decyzji, żeby się przed nim nie zamknąć. *Ted Lasso* mówi coś, czego rzadko chce się słuchać – że empatia to praca. Że bycie dobrym człowiekiem wymaga wysiłku, konsekwencji i gotowości na to, że nikt nie odda ci tego w tej samej walucie.

Ten serial jest o męskości – ale nie tej wykrzyczanej, tylko tej kruchej. O facetach, którzy nie zostali nauczeni, jak mówić o lęku, porażce, samotności. Roy Kent jest wściekłością, która nie wie, gdzie się podziać. Jamie Tartt – chłopcem, który myli arogancję z miłością. Nate – najbardziej bolesnym przykładem tego, jak łatwo zraniona potrzeba uznania może zamienić się w coś toksycznego. *Ted Lasso* nie usprawiedliwia ich zachowań, ale próbuje je zrozumieć. A to dziś akt odwagi.

Najważniejsze jednak jest to, że ten serial nie idealizuje zdrowia psychicznego. Pokazuje, że można być „tym miłym", „tym wspierającym", „tym, który ogarnia" – i jednocześnie rozpadać się w środku. Ataki paniki Teda nie są twistem fabularnym. Są konsekwencją. Cena, jaką płaci się za to, że przez lata byłeś emocjonalnym opiekunem dla wszystkich wokół, zapominając o sobie.

Relacje w *Ted Lasso* rozwijają się powoli, bez tanich fajerwerków. Zaufanie nie rodzi się w jednym przemówieniu w szatni. Ono kiełkuje w drobiazgach: w wysłuchaniu, w przyznaniu się do błędu, w daniu komuś drugiej szansy – czasem trzeciej. Ten serial wierzy w ludzi, ale nie wierzy w cudowne przemiany. I właśnie dlatego działa.

Finał nie krzyczy „wszystko będzie dobrze". Raczej szepcze: „możesz wybrać siebie i nadal być dobrym człowiekiem". To bardzo dojrzała myśl, rzadko spotykana w popkulturze. Bo *Ted Lasso* rozumie, że empatia bez granic prowadzi do wypalenia, a lojalność bez autorefleksji – do samozniszczenia.

To serial, który nie uczy, jak wygrywać mecze. Uczy, jak nie zgubić się w relacjach. Jak być liderem bez dominacji. Jak przegrywać bez pogardy dla siebie. Jak odejść, kiedy trzeba, i zostać – kiedy to ma sens.

Ted Lasso nie jest bajką o optymizmie. Jest opowieścią o odwadze bycia miękkim w świecie, który nagradza twardość. I o tym, że czasem największym zwycięstwem nie jest puchar – tylko umiejętność powiedzenia na głos: „nie daję rady".

eprasa.pl 0a51c839d1



13



MY MISTER

Ten o tym, że bliskość nie zawsze potrzebuje słów

DATA EMISJI 2018
LICZBA ODCINKÓW 16
GDZIE OBEJRZEĆ
NIEDOSTĘPNY OBECNIE W SERWISACH VOD
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

My Mister jest serialem, który mówi szeptem. Nie dlatego, że boi się emocji, ale dlatego, że wie, jak bardzo potrafią one ogłuszyć, gdy ktoś wreszcie nazwie je na głos. To opowieść o ludziach, którzy już dawno przestali wierzyć w nagłe zwroty akcji – i właśnie dlatego każda drobna zmiana waży tu więcej niż wielkie deklaracje.

To serial o zmęczeniu. O tym szczególnym rodzaju zmęczenia, który nie mija po weekendzie ani urlopie. Zmęczenia byciem sobą w świecie, który nie daje żadnej ulgi. Park Dong-hoon nie jest bohaterem w klasycznym sensie. Jest człowiekiem, który trwa. Przychodzi do pracy, wraca do domu, wykonuje gesty, które podtrzymują strukturę życia, ale nie dają radości. Jego uczciwość nie jest cnotą – jest nawykiem. A nawyki bywają ciężkie.

Lee Ji-an żyje po drugiej stronie tego samego muru. Młoda, a już zużyta. Cicha, bo nauczyła się, że cisza chroni. Każde jej spojrzenie jest kalkulacją ryzyka. Każde zbliżenie – potencjalnym zagrożeniem. *My Mister* nie romantyzuje jej historii. Pokazuje ją jako konsekwencję świata, który nie ma czasu na słabszych. I właśnie dlatego relacja między Ji-an a Dong-hoonem jest tak poruszająca: nie opiera się na pragnieniu, tylko na rozpoznaniu.

To nie jest serial o miłości. To serial o godności. O tym, jak bardzo potrzebujemy, żeby ktoś zobaczył nas bez potrzeby naprawiania. Bez rad. Bez planu. Dong-hoon nie ratuje Ji-an. On po prostu jest. A to, w świecie permanentnej presji na efektywność i sukces, okazuje się aktem niemal rewolucyjnym.

Koreańska codzienność w *My Mister* jest surowa, klaustrofobiczna, pełna niewypowiedzianych hierarchii. Biuro nie jest miejscem pracy – jest polem cichej wojny. Rodzina nie jest schronieniem – jest zobowiązaniem. Przyjaźń pojawia się późno, często po fakcie, jakby bohaterowie musieli najpierw zapłacić pełną cenę za samotność, zanim dostaną prawo do wspólnoty.

Ten serial ufa ciszy. Długim ujęciom. Momentom, w których nic się nie dzieje – a dzieje się wszystko. *My Mister* rozumie, że prawdziwa zmiana rzadko wygląda jak przełom. Częściej przypomina minimalne przesunięcie: ktoś mówi twoje imię inaczej niż zwykle. Ktoś zostaje, zamiast odejść. Ktoś przestaje cię traktować jak problem do rozwiązania.

Finał nie przynosi euforii. Przynosi ulgę. Tę najcichszą, najbardziej intymną formę nadziei – że można żyć dalej, nie będąc już całkiem samemu. Że świat się nie poprawi, ale relacja z nim może się zmienić.

My Mister to serial o tym, że czasem największym darem nie jest miłość, tylko uznanie cudzego ciężaru. O tym, że wystarczy jedna osoba, która powie – nawet bez słów – „widzę, jak bardzo jest ci trudno”. I że od tego momentu wszystko, choć nadal trudne, staje się odrobinę lżejsze.

eprasa.pl 0a51c839d1



12



NOTATNIK ŚMIERCI

Ten o moralności, która dostaje władzę

DATA EMISJI 2006-2007
LICZBA ODCINKÓW 37
GDZIE OBEJRZEĆ
NETFLIX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI, NAWET JEŚLI ODCINKI 26-35 TRACĄ IMPET

Death Note zaczyna się jak fantazja. Nie mroczna, nie filozoficzna – raczej dziecinna w swojej prostocie. Co by było, gdybyś mógł decydować, kto zasługuje na życie? Gdyby świat naprawdę potrzebował porządku, a ty miałbyś narzędzie, by go zaprowadzić? Jedno imię. Jedna decyzja. Cisza po drugiej stronie.

Na początku to nawet brzmi rozsądnie. Light Yagami nie jest potworem. Jest prymusem. Produktem systemu, który nauczył go, że świat dzieli się na lepszych i gorszych, użytecznych i zbędnych. *Death Note* nie pyta więc od razu o zło. Pyta o ambicję. O to, co dzieje się z człowiekiem, który całe życie słyszał, że jest wyjątkowy – i nagle dostaje narzędzie, które może to potwierdzić.

Ten serial jest przerażający nie dlatego, że pokazuje śmierć. Przerażający jest proces. Powolne przesuwanie granic. Pierwsze racjonalizacje. Pierwsze „musiałem". Pierwsze „to dla dobra ogółu". *Death Note* pokazuje, jak łatwo moralność staje się językiem władzy. Jak szybko sprawiedliwość zamienia się w narrację, którą opowiadasz sam sobie, żeby móc spać.

Relacja Lighta z L-em to jedno z najczystszych starć idei, jakie widziałem w serialowej popkulturze. Nie dobra ze złem – tylko kontroli z nieufnością. Jeden wierzy, że świat można naprawić, jeśli ktoś wystarczająco inteligentny przejmie stery. Drugi wie, że każdy, kto chce mieć absolutną władzę, jest już podejrzany. Ich pojedynek nie rozgrywa się na pięści ani na supermoce, tylko na spojrzenia, pauzy, półuśmiechy. To szachy rozgrywane na ludzkich życiach.

Death Note nie jest ekstremalne ani groteskowe – tylko niewygodnie bliskie. Bo kto z nas nie miał momentu, w którym pomyślał: „gdyby tylko świat był prostszy", „gdyby ktoś wreszcie zrobił porządek", „gdyby dało się wyeliminować problem zamiast się z nim mierzyć". Ten serial mówi brutalnie: właśnie tam zaczyna się katastrofa.

Najbardziej tragiczne jest to, że Light nie zauważa momentu, w którym przestaje być człowiekiem. On nie przechodzi na „ciemną stronę". On po prostu coraz lepiej uzasadnia swoje decyzje. Każda kolejna śmierć jest logiczna, konieczna, nieunikniona. A im bardziej świat zaczyna wierzyć w Kirę, tym mniej miejsca zostaje na wątpliwość. Na pytanie. Na sumienie.

Death Note nie jest opowieścią o notatniku. Jest opowieścią o tym, co dzieje się z etyką, gdy przestaje być prywatna. Gdy staje się systemem. Gdy ktoś uznaje, że ma prawo decydować w imieniu innych – nawet jeśli robi to z „dobrych intencji". Bo intencje bardzo szybko przestają mieć znaczenie. Liczy się tylko to, kto trzyma długopis.

To serial, który zostaje w głowie długo po ostatnim odcinku, bo nie daje komfortowej odpowiedzi. Nie mówi: „zło zostało ukarane". Mówi raczej: „zobacz, jak łatwo było w to wejść". Jak cienka jest granica między sprawiedliwością a pychą. Jak szybko świat oddaje wolność w zamian za iluzję porządku.

I chyba dlatego *Death Note* wciąż działa. Bo nie straszy demonami ani bogami śmierci. Straszy człowiekiem, który uwierzył, że wie lepiej.

eprasa.pl 0a51c839d1



11



LEKOMANIA

Ten o bólu, który został zamieniony w model biznesowy

DATA EMISJI 2021
LICZBA ODCINKÓW 8
GDZIE OBEJRZEĆ
DISNEY+
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Dopesick nie jest serialem, który pozwala się oglądać „ciągiem". Każdy odcinek zostawia osad – nie emocjonalny, tylko moralny. To opowieść o kryzysie opioidowym, jasne. Ale jeszcze bardziej o tym, jak łatwo cierpienie da się opisać w tabelkach, zamknąć w prezentacjach i sprzedać jako „rozwiązanie problemu". Ból w tym serialu nie jest metaforą. Jest surowcem.

To, co uderza najmocniej, to brak klasycznego antagonisty. Nie ma tu jednego potwora, którego można wskazać palcem i spokojnie nienawidzić. Zamiast tego jest system – rozproszony, elegancki, ubrany w język empatii i innowacji. Lekarze, którzy chcą pomagać. Przedstawiciele handlowi, którzy wierzą w produkt. Prawnicy, którzy mówią, że „takie są procedury". *Dopesick* pokazuje, jak zło działa najlepiej wtedy, gdy nikt nie musi czuć się złoczyńcą.

Postać lekarza granego przez Michaela Keatona jest tu kluczowa nie dlatego, że jest heroiczna, ale dlatego, że jest zwyczajna. Dobry człowiek wplątany w coś, czego skali nie potrafi ogarnąć. Jego bezradność boli bardziej niż jawna przemoc, bo przypomina, jak często systemy niszczą ludzi, nie prosząc ich nawet o zgodę – wystarczy, że będą robić swoją pracę najlepiej, jak potrafią.

Ten serial jest też o języku. O tym, jak słowa potrafią znieczulać. „Niskie ryzyko uzależnienia". „Nowa generacja leków". „Poprawa komfortu życia". *Dopesick* obnaża, jak marketing potrafi przejąć narrację o zdrowiu, a troskę zamienić w slogan. I jak trudno później odkręcić skutki, gdy te słowa zdążą zapuścić korzenie.

Ale to nie jest tylko historia korporacyjna. Najbardziej przejmujące sceny dzieją się daleko od sal sądowych i gabinetów zarządów – w domach, w małych miasteczkach, w relacjach, które powoli się rozpadają. Uzależnienie w *Dopesick* nie jest sensacją ani moralnym upadkiem. Jest procesem. Cichym, stopniowym przesuwaniem granic, aż nagle okazuje się, że nie ma już do czego wracać.

Ten serial nie daje łatwej ulgi w postaci sprawiedliwości. Wyroki, ugody, kary finansowe – wszystko to brzmi niewspółmiernie mało wobec skali strat. *Dopesick* nie kończy się triumfem. Kończy się świadomością, że system potrafi przetrwać własne skandale. Że rachunek za czyjeś zyski bardzo często płacą ci, którzy nie mają nawet języka, by się bronić.

A jednak to nie jest serial pozbawiony sensu. Jego siła polega na nazwaniu rzeczy po imieniu. Na odebraniu złudzenia, że tragedia była „nie do przewidzenia". *Dopesick* przypomina, że kryzysy społeczne rzadko spadają z nieba. Zazwyczaj są efektem decyzji podejmowanych z pełną świadomością konsekwencji – tylko wystarczająco daleko od tych, którzy będą je odczuwać.

To serial, który nie krzyczy. On dokumentuje. Zostawia widza z poczuciem dyskomfortu, które nie chce minąć, bo nie powinno. I może właśnie dlatego jest tak ważny – nie jako opowieść o bólu, ale jako zapis świata, w którym ból dało się zaplanować, wycenić i sprzedać. A my przez długi czas udawaliśmy, że to tylko skutki uboczne.

eprasa.pl 0a51c839d1



10



MOST NAD SUNDEM

Ten o granicach, których nie widać

DATA EMISJI 2011-2018
LICZBA ODCINKÓW 38
GDZIE OBEJRZEĆ
TVP VOD, PLAYER, CDA
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI
(LUB PIERWSZE DWA SEZONY I POTRAKTOWAĆ JE JAKO CAŁOŚĆ JEDNEJ HISTORII)

Szwedzki *The Bridge (Bron/Broen)* zaczyna się od gestu niemal symbolicznego: światło gaśnie na środku mostu łączącego dwa kraje. Granica zostaje zaznaczona dokładnie tam, gdzie zwykle udajemy, że jej nie ma. I to jest klucz do całego serialu. Bo *The Bridge* nie jest kryminałem o tym, kto zabił. Jest opowieścią o tym, co się dzieje, gdy próbujemy żyć, udając, że różnice – między ludźmi, systemami, emocjami – da się po prostu zignorować.

Saga Norén jest jedną z najbardziej bezlitosnych postaci, jakie stworzyła telewizja – i jedną z najbardziej uczciwych. Nie dlatego, że jest „dziwna" czy „nieludzka", jak często próbują ją opisać inni bohaterowie. Ale dlatego, że odmawia udziału w społecznych rytuałach, które mają maskować prawdę. Ona nie łagodzi komunikatów. Nie dopasowuje się do oczekiwań. Mówi rzeczy takimi, jakie są. I właśnie to sprawia, że świat reaguje na nią agresją, irytacją, odrzuceniem.

Ten serial bardzo precyzyjnie pokazuje, jak bardzo komfort społeczny opiera się na kłamstwach. Na niedopowiedzeniach. Na umowach, że nie wszystko trzeba nazywać. Saga te umowy łamie – nie z buntu, tylko z braku potrzeby udawania. I nagle okazuje się, że to nie ona jest problemem. Problemem jest świat, który nie potrafi funkcjonować bez emocjonalnej hipokryzji.

Kryminał w *The Bridge* zawsze jest tylko ramą. Sprawy, które prowadzą bohaterowie, dotykają wykluczenia, nierówności, przemocy systemowej, ale nigdy nie dają poczucia rozwiązania. Zło nie zostaje zamknięte w jednej postaci. Ono jest rozproszone. Zakorzenione w strukturach, w języku, w sposobie, w jaki jedni są słyszani, a inni nie. Serial nie oferuje ulgi w postaci jasnej moralności. Oferuje dyskomfort.

Relacje w *The Bridge* są trudne, często bolesne, zawsze niepewne. Bliskość nie przychodzi tu naturalnie. Jest negocjowana, testowana, czasem brutalnie przerywana. Saga nie „uczy się uczuć" w sposób, który dawałby satysfakcję widzowi. Ona raczej uczy się, ile kosztuje ich brak – i jaką cenę trzeba zapłacić za bycie konsekwentnym wobec siebie.

Most, który łączy Malmö i Kopenhagę, jest tu czymś więcej niż miejscem akcji. Jest metaforą relacji, które wymagają ciągłego balansowania. Przejścia między tym, co prywatne i zawodowe. Między empatią a procedurą. Między potrzebą bliskości a potrzebą kontroli. *The Bridge* mówi jasno: każde przejście ma swój koszt, a neutralność jest iluzją.

Ten serial nie próbuje sprawić, byśmy polubili jego bohaterów. Próbuje sprawić, byśmy ich zrozumieli – nawet jeśli to zrozumienie nie przynosi ulgi. Bo *The Bridge* wie, że prawdziwe napięcie nie rodzi się z pościgów ani twistów, tylko z niemożności porozumienia. Z momentów, w których mówimy tym samym językiem, a i tak się nie słyszymy.

To opowieść o świecie, który oczekuje dostosowania, a karze za autentyczność. O granicach, które istnieją nie tylko między państwami, ale przede wszystkim między ludźmi. I o tym, że czasem największym aktem odwagi nie jest przejść na drugą stronę – tylko zostać tam, gdzie jesteś, i nie udawać kogoś innego, żeby było łatwiej.

The Bridge nie zamyka swoich historii w satysfakcjonujące ramy. Zostawia je otwarte, jak pytanie bez dobrej odpowiedzi. I może właśnie dlatego zostaje w głowie na długo – bo pokazuje, że mosty nie zawsze służą do łączenia. Czasem tylko uświadamiają, jak głęboka jest przepaść.

eprasa.pl 0a51c839d1



09



PRAWO ULICY

Ten o systemie, który zawsze wygrywa

DATA EMISJI 2002-2008
LICZBA ODCINKÓW 60
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

The Wire nie jest serialem o policjantach. Ani o dilerach. Ani nawet o Baltimore. To serial o mechanizmie, który mieli ludzi niezależnie od tego, po której stronie stoją. O świecie, w którym intencje są drugorzędne, a najważniejsze jest to, czy pasujesz do układanki. Jeśli nie – zostaniesz zmielony. Cicho, bez ceremonii.

The Wire zaczyna się jak klasyczny kryminał, ale bardzo szybko odbiera widzowi tę wygodną perspektywę. Tu nie chodzi o złapanie winnego. Chodzi o pokazanie, że winny jest wpisany w system. Że każda instytucja – policja, polityka, szkoła, media, port – działa według własnej logiki przetrwania, a ludzie są tylko wymiennymi elementami. Jeśli się zużyjesz, przyjdzie następny.

Najbardziej uderza w *The Wire* to, że nikt tu nie jest naprawdę zły. Są ludzie, którzy walczą. I ludzie, którzy już przestali. McNulty nie jest bohaterem – jest objawem. Produktem miejsca, w którym bunt wobec reguł bywa jedyną formą uczciwości, a jednocześnie drogą do autodestrukcji. Chcesz coś zmienić? Świetnie. System zadba o to, żebyś zapłacił za to prywatnie.

Ten serial rozumie coś, czego większość telewizji bała się wcześniej dotknąć: że moralność bez struktury nie ma siły rażenia. Możesz być najlepszym gliną, nauczycielem, pracownikiem portu – ale jeśli reguły gry są chore, twoja uczciwość stanie się tylko kolejnym problemem do rozwiązania. *The Wire* nie romantyzuje walki. Pokazuje jej bezsensowną powtarzalność. Kolejne reformy, kolejne programy, kolejne slogany. I ten sam efekt.

Szczególnie przejmujące są momenty, w których serial pokazuje młodych. Dzieciaki wciągane w grę, zanim zdążą zrozumieć jej zasady. Uczą się szybciej niż w szkole, bo stawka jest realna: pieniądze, szacunek, przeżycie. *The Wire* mówi bez litości: nie każdy ma luksus wyboru. Nie każdy może „zdecydować, kim chce być". Czasem jedyną decyzją jest to, jak długo uda się nie utonąć.

To serial o porażkach, które nie wyglądają jak porażki. O awansach, które są degradacją. O sukcesach mierzonych statystyką, a nie rzeczywistością. O tym, jak liczby zaczynają zastępować ludzi, bo łatwiej nimi zarządzać. Jak raport staje się ważniejszy niż ciało. Jak narracja wygrywa z prawdą.

Najbardziej niszczące w *The Wire* jest jego spokojne tempo. Brak emocjonalnego szantażu. Brak muzyki mówiącej, co masz czuć. Serial patrzy i pozwala, byś sam zrozumiał, że to wszystko nie prowadzi do żadnego finału. Jest ciągłość. Jeden sezon kończy się dokładnie tam, gdzie zaczyna następny – w tym samym błędnym kole.

The Wire zostaje pod skórą, bo odbiera złudzenie, że wystarczy „lepszy człowiek", „lepszy lider", „lepsza decyzja". Mówi coś znacznie trudniejszego do przełknięcia: że jeśli nie zmienisz struktury, zmienisz tylko nazwiska. A świat będzie wyglądał tak samo.

To serial, który nie daje nadziei wprost. Ale daje świadomość. A ta bywa jedyną uczciwą formą buntu. Bo kiedy już zobaczysz, jak działa system, nie możesz udawać, że to tylko kwestia jednostek. I może właśnie dlatego *The Wire* jest tak niewygodny – i tak potrzebny, dając lekcję na przyszłość takim równie udanym tytułom jak *Line of Duty*.

eprasa.pl 0a51c839d1



08



ZADZWOŃ DO SAULA

Ten o powolnym znikaniu człowieka

DATA EMISJI 2015-2022
LICZBA ODCINKÓW 63
GDZIE OBEJRZEĆ
NETFLIX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Better Call Saul to serial o tym, że nikt nie staje się potworem w jednej chwili. O tym, że upadek rzadko bywa spektakularny. Najczęściej jest cichy, logiczny, wręcz uprzejmy. Składa się z drobnych ustępstw, małych kłamstw i decyzji, które w danym momencie wydają się rozsądne. A potem już tylko idziesz dalej, bo cofanie się boli bardziej, niż brnięcie w to, co znane.

Jimmy McGill nie jest antybohaterem. Jest człowiekiem, który bardzo chce być dobry – i jeszcze bardziej chce być kochany. Jego największym grzechem nie jest chciwość ani cynizm, tylko potrzeba uznania. *Better Call Saul* pokazuje, jak niebezpieczna potrafi być ta potrzeba, kiedy trafia na świat pełen zamkniętych drzwi, pogardliwych spojrzeń i systemów, które mówią: „nie dla ciebie”.

Ten serial jest boleśnie cierpliwy. Nie pcha fabuły, nie przyspiesza przemian. Pozwala, byśmy widzieli każdy moment, w którym Jimmy mógł jeszcze skręcić w inną stronę. Każdą sytuację, w której mógł powiedzieć „stop”. I właśnie dlatego ogląda się to z takim ciężarem. Bo wiemy, że on wie. A mimo to idzie dalej.

Relacja Jimmy’ego i Kim Wexler to jedno z najbardziej dojrzałych i najokrutniejszych studiów miłości, jakie widziałem w telewizji. To nie jest historia toksyczności wprost. To opowieść o dwojgu ludzi, którzy widzą w sobie nawzajem to, kim mogliby być – i jednocześnie pomagają sobie stać się kimś gorszym. Miłość w *Better Call Saul* nie ratuje. Ona usprawiedliwia. Daje alibi. Mówi: „skoro robimy to razem, to chyba nie może być aż tak źle”.

Ten serial rozumie coś bardzo niewygodnego: że moralność nie pęka pod ciężarem wielkich zbrodni, tylko pod presją codzienności. Pod potrzebą przetrwania. Pod chęcią wygrania choć jednego dnia. Saul Goodman nie rodzi się znikąd. Jest odpowiedzią na świat, który konsekwentnie uczy Jimmy’ego, że uczciwość się nie opłaca, a skrupuły są luksusem.

Najbardziej poruszające w *Better Call Saul* jest to, jak precyzyjnie pokazuje momenty samozdrady. Te chwile, w których bohater jeszcze potrafi nazwać to, co robi, złym – ale robi to i tak. Bo alternatywa oznaczałaby przyznanie się do porażki. Do tego, że całe to staranie, wszystkie próby bycia „lepszym”, mogły nie mieć sensu.

To serial o tożsamości jako ucieczce. Saul Goodman nie jest maską zakładaną dla zabawy. Jest schronieniem. Bezpiecznym miejscem, w którym nie trzeba już niczego udowadniać, nie trzeba być wystarczającym, nie trzeba się tłumaczyć. Cena za ten komfort jest wysoka, ale rozłożona na raty. I dlatego tak łatwo ją zaakceptować.

Better Call Saul nie moralizuje. Patrzy. Pozwala, byśmy zobaczyli, jak człowiek znika kawałek po kawałku, aż w końcu zostaje tylko funkcja, rola, pseudonim. I zostawia nas z pytaniem, które dobija najbardziej: ilu z nas zrobiłoby dokładnie to samo, tylko wolniej, ciszej, z lepszym uzasadnieniem?

To nie jest serial o prawnikach ani o przestępcach. To serial o granicy, którą każdy z nas ma gdzie indziej. I o tym, jak rzadko orientujemy się, że już ją przekroczyliśmy.

eprasa.pl 0a51c839d1



07



TWIN PEAKS (2017)

Ten o czasie, który nie chce wrócić na swoje miejsce

DATA EMISJI 2017
LICZBA ODCINKÓW 18
GDZIE OBEJRZEĆ
SKYSHOWTIME
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI
(WYMAGA OBEJRZENIA
ORYGINALNEGO SERIALU
Z LAT 1990-1991)

Nowe *Twin Peaks* przyszło po latach nie po to, żeby coś kontynuować, tylko żeby coś unieważnić. Oczekiwania. Nostalgię. Przekonanie, że powrót zawsze oznacza spotkanie z tym samym światem. *The Return* od pierwszych minut mówi jasno: nie wróciliście tam, a pamięć jest zawodna. Jeśli przyszliście po komfort – to zły adres.

To serial, który nie opowiada historii w klasycznym sensie. On ją rozpuszcza. Rozciąga w czasie, deformuje, gubi. Zamiast narracji dostajemy doświadczenie – momentami hipnotyczne, momentami irytujące, chwilami wręcz obrażające widza. I to jest decyzja artystyczna, nie przypadek. Lynch nie chce, żebyśmy rozumieli. Chce zaprosić nas do swojej pokręconej, artystycznej wizji. Chce, żebyśmy byli w tym stanie zagubienia.

Agent Cooper – a właściwie jego brak – staje się symbolem całego projektu. Dougie Jones nie jest żartem ani fanserwisem. Jest figurą pustki. Bohaterem, który funkcjonuje, ale nie uczestniczy. Patrzy, reaguje, wykonuje gesty, ale nie ma dostępu do siebie. I nagle okazuje się, że świat całkiem nieźle sobie z tym radzi. Że system potrafi działać bez naszej świadomości. A my – bez własnej obecności.

Najbardziej poruszające w *The Return* jest to, jak bardzo ten serial jest o czasie. Nie o fabule, nie o zagadce Laury Palmer, ale o tym, że czas nie jest linią. Jest pęknięciem. Czymś, co zostawia ślady, ale nie prowadzi do zamknięcia. Odcinek ósmy – z nuklearną eksplozją, z kosmiczną abstrakcją, z czystym audiowizualnym atakiem – nie jest „odcinkiem". Jest raną w środku telewizji. Przypomnieniem, że trauma nie ma początku ani końca. Ma tylko powracające echo.

To nie jest serial, który chce być lubiany. *The Return* jest w pewnym sensie anty-relacją z widzem. Odbiera to, co znane, spowalnia to, co powinno iść szybciej, wydłuża ciszę tam, gdzie oczekiwalibyśmy odpowiedzi. A jednak – w tym wszystkim jest dziwna czułość. W drobnych momentach dobroci, w spojrzeniach, w banalnych gestach, które nagle urastają do rangi czegoś ważniejszego niż mitologia.

Finał *Twin Peaks: The Return* nie daje domknięcia. Nie daje nawet satysfakcji. Daje pytanie, które nie ma sensu logicznego, ale ma ogromny ciężar emocjonalny.

Ten serial mówi coś bardzo niewygodnego o nostalgii. Że tęsknota za tym, co było, może być formą ucieczki. Że próbując przywrócić dawny porządek, ryzykujemy utratę tego, co jeszcze istnieje. *The Return* nie jest listem miłosnym do starego *Twin Peaks*. Jest ostrzeżeniem przed tym, co robimy z pamięcią, gdy nie chcemy zaakceptować zmiany.

I może dlatego to doświadczenie zostaje na długo. Nie jako historia, którą da się streścić, ale jako uczucie lekkiego przesunięcia – jakby świat po seansie był o pół tonu bardziej fałszywy. *Twin Peaks: The Return* nie pyta, czy jesteś gotowy na odpowiedzi. Pyta, czy potrafisz żyć bez nich.

eprasa.pl 0a51c839d1



06



STEINS;GATE

Ten o czasie, który uczy odpowiedzialności

DATA EMISJI 2011-2015
LICZBA ODCINKÓW 26
GDZIE OBEJRZEĆ
NIEDOSTĘPNY OBECNIE W SERWISACH VOD
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Steins;Gate zaczyna się jak żart, który wymknął się spod kontroli. Ekscentryczny bohater, pseudonaukowe gadanie, mikrofala, która robi rzeczy, których robić nie powinna. Wszystko wygląda jak lekka fantazja dla nerdów, grająca absurdem i autoironią. I właśnie dlatego moment, w którym serial skręca, uderza tak mocno – bo zanim zdążysz się zorientować, śmiech zostaje zastąpiony skupieniem.

To nie jest historia o podróżach w czasie. To opowieść o odpowiedzialności, która przychodzi dopiero wtedy, gdy nie da się już cofnąć skutków własnych decyzji. *Steins;Gate* bardzo powoli odbiera widzowi komfort myślenia, że każdą pomyłkę da się „naprawić". Każdy skok w czasie jest tu nie tyle ratunkiem, co kolejną warstwą ciężaru, który osiada na barkach Okabe.

Okabe Rintarō zaczyna jako maska. Charyzmatyczna poza, teatr szaleństwa, ironia jako tarcza. Ale im dalej wchodzimy w historię, tym wyraźniej widać, że to nie ekscentryczność, tylko mechanizm obronny. Kiedy świat zaczyna się rozpadać w powtarzalnych pętlach, to właśnie on zostaje jedynym świadkiem tego, co było „przed". Pamięć staje się przekleństwem, a wiedza – czymś, co izoluje skuteczniej niż samotność.

Relacja Okabe i Kurisu jest sercem *Steins;Gate*, ale nie dlatego, że jest romantyczna. Jest uczciwa. Zbudowana na sporze, intelekcie, wzajemnym kwestionowaniu własnych pewników. Kurisu nie jest „nagrodą" ani bezpiecznym punktem odniesienia. Jest równorzędnym głosem, który przypomina, że nauka – i życie – nie polegają na kontroli, tylko na rozumieniu konsekwencji.

Ten serial robi coś rzadkiego – pokazuje, że heroizm nie polega na spektakularnym poświęceniu w jednym momencie. Polega na powtarzaniu trudnej decyzji, wiedząc, że za każdym razem będzie boleć tak samo. *Steins;Gate* jest opowieścią o zmęczeniu byciem tym, który pamięta. Tym, który musi jeszcze raz spróbować, choć wie, że cena się nie zmniejszy.

Czas w tym anime nie jest zabawką ani labiryntem logicznym. Jest przestrzenią etyczną. Każda ingerencja coś zabiera, nawet jeśli chwilowo coś ratuje. I im dłużej trwa ta walka, tym bardziej jasne staje się, że prawdziwym celem nie jest idealna linia czasu – tylko taka, w której można żyć dalej, bez ciągłego cofania się do momentu winy.

Finał *Steins;Gate* nie daje euforii. Daje ulgę. Taką, która przychodzi po długim okresie napięcia, gdy wreszcie można przestać sprawdzać, czy wszystko się jeszcze nie rozpadnie. To ulga okupiona dojrzałością – świadomością, że nie wszystko da się uratować bez straty, ale nie każda strata musi odebrać sens.

To serial o tym, że dorastanie czasem polega na porzuceniu iluzji kontroli. Że nie każda inteligencja równa się mądrości, a nie każdy wybór można podeprzeć logiką. *Steins;Gate* zostaje w głowie nie jako opowieść o genialnym pomyśle science fiction, ale jako historia o tym, co dzieje się z człowiekiem, gdy wie za dużo – i mimo to musi dalej żyć.

I może dlatego funkcjonuje tak długo po seansie. Bo nie pyta, czy zmieniłbyś przeszłość, gdybyś mógł. Pyta, ile razy byłbyś w stanie to zrobić, zanim zrozumiesz, że prawdziwa zmiana nie zawsze polega na cofnięciu czasu, tylko na zaakceptowaniu jego biegu.

eprasa.pl 0a51c839d1



05



CZARNOBYL

Ten o cenie kłamstwa

DATA EMISJI 2019
LICZBA ODCINKÓW 5
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Chernobyl nie jest serialem o katastrofie nuklearnej. Katastrofa wydarza się bardzo szybko. Huk, błysk, cisza. Reszta to już tylko konsekwencje. Ten serial jest o czymś znacznie bardziej przerażającym: o systemowym kłamstwie, które stało się codziennością tak głęboką, że nikt nie potrafi już odróżnić prawdy od procedury.

Chernobyl zaczyna się od końca. Od świadomości, że tej historii nie da się naprawić, cofnąć, zneutralizować. Można ją tylko opowiedzieć. I to opowiadanie jest aktem odwagi, bo wszystko w tym świecie działa przeciwko mówieniu prawdy. Prawda jest niewygodna, kosztowna, destabilizująca. Prawda burzy hierarchie. Dlatego system woli udawać, że jej nie ma.

Najbardziej wstrząsające w *Chernobylu* jest to, jak normalne jest zaprzeczanie. Jak naturalnie przychodzi ludziom powtarzanie formułek, nawet wtedy, gdy promieniowanie pali im skórę. Nikt nie mówi: „nie wiem". Wszyscy mówią: „to niemożliwe". Reaktor nie mógł wybuchnąć. Grafit nie może leżeć na ziemi. Dawki są bezpieczne. System nauczył ich jednego – jeśli rzeczywistość nie pasuje do raportu, tym gorzej dla rzeczywistości.

Serial tłumaczy. Z chirurgiczną precyzją pokazuje, jak katastrofa techniczna staje się katastrofą moralną. Jak decyzje podejmowane „dla świętego spokoju", „żeby nie było paniki", „żeby nie eskalować" układają się w łańcuch śmierci. Nikt nie chce być tym, który powie prawdę jako pierwszy. Bo pierwszy zawsze płaci najwyższą cenę.

Chernobyl jest też opowieścią o bohaterstwie pozbawionym patosu. O ludziach, którzy robią swoje, wiedząc, że umrą. Bez przemówień. Bez fanfar. Strażacy, górnicy, naukowcy – nie dlatego, że są odważniejsi od innych, tylko dlatego, że ktoś musiał. Serial pokazuje bohaterstwo jako funkcję odpowiedzialności, nie charakteru. Jako decyzję podjętą w sytuacji bez dobrych opcji.

Ale najważniejsze pytanie *Chernobyla* nie dotyczy energii atomowej. Dotyczy prawdy. Serial mówi brutalnie jasno: każde kłamstwo ma swoją cenę. Możesz ją odroczyć, rozłożyć na raty, przerzucić na innych – ale ona zawsze wraca. I im dłużej ją ignorujesz, tym większy rachunek przyjdzie zapłacić. Tu nie ma metafory. Tu jest fizyka.

Ten serial boli szczególnie dziś, bo jego mechanizmy są uniwersalne. Niezależne od epoki, ustroju, flagi. *Chernobyl* pokazuje, jak łatwo system zaczyna chronić sam siebie zamiast ludzi. Jak język procedur staje się tarczą przed odpowiedzialnością. Jak strach przed przyznaniem się do błędu okazuje się groźniejszy niż sam błąd.

Finał przynosi zdanie, które zostaje w głowie na długo: „Jaka jest cena kłamstw?". Odpowiedź nie pada wprost, bo każdy już ją zna. Cena to życie. Zdrowie. Zaufanie. Sens. Wszystko to, czego nie da się już odbudować, nawet jeśli później ktoś napisze raport zgodny z prawdą.

Chernobyl to serial o świecie, w którym prawda jest aktem odwagi, a milczenie – formą przemocy. O tym, że katastrofy rzadko zaczynają się od eksplozji. Zaczynają się znacznie wcześniej.

eprasa.pl 0a51c839d1



04



PLANETA ZIEMIA

Ten o świecie, który istniał, zanim zaczęliśmy patrzeć

DATA EMISJI 2006, 2016
LICZBA ODCINKÓW 11+6
GDZIE OBEJRZEĆ
NIEDOSTĘPNY OBECNIE W SERWISACH VOD
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI, PRZEDE WSZYSTKIM PIERWSZE DWIE „CZĘŚCI" Z LAT 2006 I 2016

Planet Earth nie jest serialem przyrodniczym. To brzmi jak bluźnierstwo, ale właśnie na tym polega jego siła. Przyroda jest tu oczywiście bohaterką – spektakularną, obojętną, piękną ponad miarę – lecz prawdziwym tematem jest człowiek. A dokładniej jego nieobecność. I to, jak rzadko potrafimy ją zaakceptować.

Planet Earth działa jak cofnięcie kamery do granic sensu. Nagle okazuje się, że świat nie potrzebuje narracji, konfliktu ani bohatera, by istnieć w pełni. Góry nie muszą niczego symbolizować. Oceany nie czekają na odkrycie. Zwierzęta nie „grają ról". One po prostu są. I w tej bezwstydnej samowystarczalności natury kryje się coś, co rusza bardziej niż jakikolwiek dramat.

To serial, który uczy pokory nie przez moralizowanie, ale przez skalę. Pokazuje ci krajobrazy tak ogromne, że twoje problemy nagle kurczą się do rozmiaru hałasu w głowie. Jednocześnie pokazuje mikroświaty tak precyzyjne, tak kruche, że zaczynasz rozumieć, jak niewiele potrzeba, by wszystko się rozsypało. *Planet Earth* nie mówi: „dbaj o planetę". On mówi: „zobacz, co już prawie straciliśmy".

Najbardziej poruszające jest to, jak ten serial opowiada o czasie. O cyklach, które trwają tysiące lat. O rytmach, które nie przyspieszają tylko dlatego, że my się spieszymy. Tu nie ma pośpiechu. Jest cierpliwość. Migracje, które odbywają się od zawsze. Polowania, które są brutalne, ale konieczne. Życie i śmierć splecione w jedną, obojętną całość. Bez dramatu. Bez sentymentu.

I właśnie ta obojętność natury jest najbardziej niewygodna. Bo odbiera nam centralne miejsce w opowieści. *Planet Earth* przypomina, że nie jesteśmy bohaterami tego świata. Jesteśmy jednym z elementów. Przypadkowym. Zastępowalnym. To my potrzebujemy planety – planeta nie potrzebuje nas. I w tej asymetrii kryje się prawda, z którą trudno się pogodzić.

Ten serial działa jak medytacja i ostrzeżenie jednocześnie. Zachwyca do granic estetycznego przeciążenia, a potem zostawia cię z myślą, że wiele z tych obrazów już nigdy nie będzie wyglądać tak samo. Że oglądasz coś, co jest jednocześnie dokumentem i archiwum. Pięknym zapisem świata, który powoli znika, często bez świadków.

Planet Earth nie straszy katastrofą wprost. Nie potrzebuje tego. Wystarczy zestawić majestat lodowców z ich kruchością. Dżungle z ich wycinaniem. Rafy koralowe z ich blaknięciem. Serial ufa inteligencji widza – wierzy, że jeśli pokaże wystarczająco dużo piękna, to reszta dopowie się sama. I to zaufanie jest dziś rzadkie.

Po seansie *Planet Earth* zostaje w człowieku dziwne uczucie: jednocześnie spokój i niepokój. Spokój, bo świat jest większy niż my. Niepokój, bo to my mamy realny wpływ na jego przyszłość. To nie jest serial, który zmienia poglądy jednym odcinkiem. To serial, który cicho przestawia wewnętrzny kompas.

Bo może najważniejsze, co *Planet Earth* mówi między obrazami, brzmi tak: zanim zaczniemy „ratować" planetę, musimy nauczyć się na nią patrzeć. Nie jak na zasób. Nie jak na tło. Tylko jak na coś, co istniało długo przed nami – i co być może kiedyś będzie istniało bez nas.

eprasa.pl 0a51c839d1



03



DARK

Ten o czasie, który nie leczy, tylko zapętla

DATA EMISJI 2017-2020
LICZBA ODCINKÓW 26
GDZIE OBEJRZEĆ
NETFLIX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Dark zaczyna się jak kryminał z elementami science fiction. Zaginione dziecko, małe miasteczko, las, elektrownia atomowa, tajemnice, które wszyscy znają, ale nikt nie chce ich nazwać. Bardzo szybko jednak staje się jasne, że to tylko przynęta. Bo *Dark* nie jest serialem o zagadce. Jest serialem o niemożności ucieczki – od przeszłości, od rodziny, od samego siebie.

To jedna z najbardziej bezlitosnych opowieści o czasie, jakie powstały w telewizji. Nie dlatego, że bawi się paradoksami. Ale dlatego, że odbiera nam ostatnie złudzenie: że czas działa na naszą korzyść. W *Dark* czas nie naprawia. Czas utrwala. Każda próba zmiany przeszłości tylko wzmacnia jej strukturę. Każdy akt buntu okazuje się elementem planu, którego nikt nie pamięta, ale wszyscy realizują.

Winden jest miasteczkiem, które wygląda jak każde inne. I właśnie to jest w nim najbardziej przerażające. Tu nie ma wielkiego zła ani apokaliptycznych krajobrazów. Jest codzienność. Rodziny. Sekrety przekazywane jak dziedziczne choroby. *Dark* mówi bardzo jasno: trauma nie potrzebuje katastrofy, żeby trwać. Wystarczy milczenie. Wystarczy powtarzalność.

Relacje rodzic-dziecko są w tym serialu kluczowe, ale pozbawione sentymentalizmu. Miłość nie chroni przed krzywdą. Intencje nie mają znaczenia wobec skutków. Rodzice ranią dzieci, dzieci stają się rodzicami, role się mieszają, a odpowiedzialność rozmywa się w czasie. *Dark* nie pozwala nikomu być niewinnym. Bo jeśli wszystko jest powiązane, to każdy gest ma swoje echo – nawet jeśli dotrze do nas dopiero za trzydzieści lat.

Jonas nie jest „wybrańcem". Jest ofiarą wiedzy. Im więcej rozumie, tym mniej może zrobić. To jedna z najbardziej gorzkich prawd tego serialu: świadomość nie daje wolności. Daje ciężar. *Dark* demaskuje mit kontroli, który tak bardzo lubimy w narracjach o podróżach w czasie. Tu nie ma bohaterów ratujących świat. Są ludzie, którzy próbują ograniczyć straty – i ponoszą porażkę w bardziej wyrafinowany sposób.

Ten serial jest też głęboko pesymistyczny wobec idei sensu. Jeśli wszystko wydarzyło się już wcześniej i wydarzy się znowu, to czym właściwie jest wybór? *Dark* nie odpowiada na to pytanie wprost. Zamiast tego pokazuje, jak bardzo pragniemy wierzyć, że choć jeden gest był naprawdę nasz. Że choć jedno „nie" mogło coś zmienić.

A jednak – i to jest najciekawsze – *Dark* nie kończy się totalnym nihilizmem. Jego finał nie oferuje szczęścia, ale oferuje wyciszenie. Możliwość przerwania cyklu nie poprzez naprawę świata, ale poprzez rezygnację z jego kontroli. To bardzo dojrzała, bolesna myśl: że czasem jedynym wyjściem z pętli nie jest walka, tylko odejście. Zgoda na to, że coś nie musi trwać wiecznie, nawet jeśli było „przeznaczone".

Dark zostaje w głowie jak echo po źle zadanym pytaniu. Nie daje ulgi. Nie daje jasnych odpowiedzi. Ale zostawia coś ważniejszego: świadomość, że nasze życie jest wypadkową relacji, decyzji i milczenia, które zaczęły się długo przed nami. I że jeśli chcemy przerwać którykolwiek z tych łańcuchów, musimy najpierw przestać wierzyć, że czas sam coś załatwi.

To serial, który nie pyta, co będzie dalej. Pyta, ile razy jesteś gotów przeżyć to samo, zanim nazwiesz to losem.

eprasa.pl 0a51c839d1



02



BREAKING BAD

Ten o chemii upadku

DATA EMISJI 2008-2013
LICZBA ODCINKÓW 62
GDZIE OBEJRZEĆ
NETFLIX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Breaking Bad bardzo długo udaje historię o desperacji – o facecie, któremu życie nie wyszło, o genialnym umyśle zamkniętym w zbyt małym świecie, zbyt niskiej pensji i zbyt wielu kompromisach. To narracja wygodna, niemal kojąca: kibicujesz, bo wydaje się, że chodzi o godność. O ostatnią próbę odzyskania kontroli. O człowieka, który „nie ma już nic do stracenia".

I właśnie w tym miejscu *Breaking Bad* zaczyna być naprawdę niebezpieczne.

Bo to nie jest serial o tym, jak dobry człowiek staje się złym. To serial o tym, jak bardzo chcemy wierzyć, że jesteśmy dobrzy – nawet wtedy, gdy robimy rzeczy niewybaczalne. Walter White nie pęka pod ciężarem okoliczności. On powoli się prostuje. Rosną mu plecy. Głos staje się pewniejszy. Spojrzenie twardsze. Choroba nie odbiera mu życia – daje mu pretekst, by wreszcie być sobą.

Najbardziej przerażające w *Breaking Bad* jest tempo tej przemiany. A właściwie jego brak. Tu nie ma jednego momentu „przejścia na złą stronę". Są małe decyzje. Minimalne przesunięcia granicy. „To tylko raz". „To dla rodziny". „Nie miałem wyboru". Serial rozumie coś bardzo ludzkiego: że moralność najczęściej nie kończy się krzykiem. Że upadek wygląda racjonalnie z perspektywy osoby, która spada.

Relacja Walta i Jessego jest sercem tej historii, choć długo udajemy, że chodzi o coś innego. To nie jest partnerska współpraca. To nie jest mentor i uczeń. To relacja władzy, która przebiera się za opiekę. Walt nie niszczy Jessego jednym ciosem – on go systematycznie odczłowiecza, a jednocześnie potrzebuje go, by móc dalej wierzyć we własną narrację. Jesse jest sumieniem, które trzeba uciszyć, i lustrem, w które coraz trudniej patrzeć.

Breaking Bad bezlitośnie demontuje mit „zrobiłem to dla rodziny". Pokazuje, że to zdanie bardzo szybko przestaje być motywacją, a zaczyna być alibi. Walt nie walczy o przyszłość bliskich – walczy o własne ego, o poczucie sprawczości, o to, by świat wreszcie uznał jego wielkość. Heisenberg nie rodzi się z biedy ani choroby. Rodzi się z urażonej dumy.

Ten serial jest też opowieścią o męskości, która nie potrafi znieść przeciętności. O potrzebie bycia kimś „ważnym", nawet jeśli ceną jest zniszczenie wszystkiego dookoła. Walt nie znosi myśli, że mógłby odejść cicho. On musi zostać zapamiętany. Nawet jeśli pamięć ta będzie oparta na strachu. Nawet jeśli nikt nie będzie go kochał.

Im dalej w *Breaking Bad*, tym wyraźniej widać, że nie oglądamy już historii o wyborach. Oglądamy konsekwencje. Świat kurczy się do pustyni, laboratoriów i spojrzeń pełnych niewypowiedzianego przerażenia. Każda relacja zostaje skażona. Każde słowo waży za dużo. Serial nie oferuje odkupienia, bo wie, że byłoby ono fałszywe. Pewnych rzeczy nie da się „naprawić". Da się je tylko dociągnąć do końca.

Dlatego *Breaking Bad* stało się tak kultowe. Nie jako thriller. Nie jako popkulturowa ikona. Ale jako brutalne studium samooszukiwania się. Serial, który mówi: największym zagrożeniem nie jest zło z zewnątrz. Największym zagrożeniem jest historia, którą opowiadasz sam sobie, żeby nie przyznać, że to wszystko robisz dlatego, że wreszcie możesz.

Bo ostatecznie *Breaking Bad* nie pyta, jak daleko można się posunąć. Pyta o coś znacznie trudniejszego: w którym momencie przestajesz być ofiarą, a zaczynasz być autorem. I czy potrafisz jeszcze rozpoznać chwilę, w której to się stało.

eprasa.pl 0a51c839d1



01



SZEŚĆ STÓP POD ZIEMIĄ

Ten, który naucza, że koniec też jest formą prawdy

DATA EMISJI 2001-2005
LICZBA ODCINKÓW 63
GDZIE OBEJRZEĆ
HBO MAX
JAK OBEJRZEĆ
W CAŁOŚCI

Mój pierwszy seans *Six Feet Under* nie był dla mnie ucieczką ani rozrywką. Był rozmową. Taką, której nie da się przerwać w połowie zdania, bo nagle dotyka czegoś, czego od dawna nie chcesz nazywać po imieniu.

Można rzec, że jest to serial o śmierci. Ale tylko na poziomie fabularnej etykiety. Tak naprawdę to opowieść o życiu w stanie permanentnego rozpadu. O tym, że każdy z nas nosi w sobie mały dom pogrzebowy – miejsce, w którym chowamy niespełnione wersje siebie, relacje, które nie wyszły, decyzje, których się baliśmy, i te, które podjęliśmy za późno.

Rodzina Fisherów nigdy nie była „sympatyczna". Była prawdziwa. Neurotyczna, poraniona, chaotyczna. Kochająca się w sposób niepokojący, często krzywdzący. I może właśnie dlatego tak bardzo działała – bo nie oferowała żadnego komfortu. Tu nie było prostych lekcji, oczyszczających puent na koniec odcinka. Było raczej to uczucie, kiedy wyłączasz telewizor i przez chwilę siedzisz w ciszy, bo coś zostało poruszone zbyt głęboko.

Nate był ucieczką w niedojrzałość, która udaje wolność. Claire – próbą wyrwania się z rodzinnego fatum, ale bez gwarancji, że świat na zewnątrz okaże się łaskawszy. Ruth wielu bolała najbardziej – bo jej samotność cicho sączyła się latami, jak przeciek w suficie, którego nikt nie chce naprawić. A David... David był lekcją, że bycie sobą to czasem najwyższa cena, którą przychodzi nam zapłacić.

Ten serial nie udaje, że wszystko da się poukładać. Wręcz przeciwnie – pokazuje, że życie bardzo rzadko domyka się w logiczne klamry. Relacje nie kończą się wtedy, kiedy powinny. Miłość nie zawsze przychodzi w odpowiednim momencie. A śmierć? Śmierć przychodzi dokładnie wtedy, kiedy ma ochotę – i nigdy nie pyta, czy jesteś gotowy.

I dlatego finał *Six Feet Under* jest czymś więcej niż „najlepszym zakończeniem serialu w historii", jak wielu o nim mówi. To nie jest twist ani ukłon w stronę fanów. To brutalnie czułe przypomnienie, że wszyscy zmierzamy w to samo miejsce – i że jedyne, co naprawdę zostaje, to ślady, jakie zostawiamy w cudzym życiu. Krótkie, często niepozorne, czasem zupełnie niezamierzone.

Ten serial nauczył mnie jeszcze jednej rzeczy – że nie trzeba się spieszyć z odpowiedziami. Że można żyć z pęknięciem. Że nie każda rana musi się zamknąć, żeby przestała boleć mniej. *Six Feet Under* nie obiecuje ulgi. Ale daje coś znacznie cenniejszego – poczucie, że w tym całym bałaganie, w lęku przed przemijaniem, w chaosie relacji i niespełnień, nie jesteśmy sami.

I może właśnie dlatego wracam do niego myślami wtedy, gdy wszystko się sypie. Bo to serial, który nie mówi: „będzie dobrze". Mówi: „to normalne, że boli". A czasem to dokładnie to, czego najbardziej potrzebujemy.

eprasa.pl 0a51c839d1

LAMPY ANTYDEPRESYJNE

Rozjaśnij nastrój w miesiącach, w których brakuje naturalnego światła dzięki specjalnie wyselekcjonowanym lampom, pomagającym zwalczać sezonowe zaburzenie afektywne (SAD).

Tekst | **Marcin Kubicki** Zdjęcia | **Matt Lincoln**



eprasa.pl 0a51c839d1

LUMIE HALO

Podczas gdy większość lamp na SAD wygląda jak sprzęt wyjęty prosto z gabinetu lekarskiego, Halo przyciąga wzrok podświetlanym panelem otoczonym miedzianym reflektorem i czarną ramką, co nadaje mu nowoczesnego charakteru. Oferuje zarówno ciepłe, jak i chłodne białe diody LED, dzięki czemu można używać go do terapii SAD w ciągu dnia, a wieczorem jako delikatniejsze, kojące światło. W trybie dziennym świeci bardzo intensywnie, osiągając 10 000 luksów z odległości 20 cm, natomiast w trybie wieczornym buduje w pomieszczeniu przytulną atmosferę.
1 059 PLN, www.lumie.com



eprasa.pl 0a51c839d1

LUMIE DASH

Lampa o wyjątkowo wysokiej jakości wykonania i jedna z najbardziej stylowych w swojej klasie. Zapewnia natężenie 10 000 luksów z odległości 15 cm, co pomaga poprawić nastrój i poziom energii. Diody LED imitują naturalne światło dzienne i równomiernie je rozpraszają, ograniczając zmęczenie oczu, a jednocześnie zachowując pełnię korzyści. Dostępna jest w dwóch matowych, pastelowych kolorach, a dzięki kompaktowym rozmiarom idealnie sprawdzi się na małym biurku, nie zajmując cennej przestrzeni.

869 PLN, www.lumie.com

BEURER TL30

Najmniejsza lampa Beurer to niedrogi i sympatyczny wstęp do terapii światłem – a do tego wyjątkowo kompaktowy. Podczas gdy większy model TL50 wykorzystuje zaokrąglony panel, TL30 przypomina tablet, a jego niewielki rozmiar sprawia, że łatwo zabrać go na wyjazd lub przenieść do innego pomieszczenia. Oszczędność i mobilność mają jednak swoją cenę: choć TL30 oferuje to samo natężenie 10 000 luksów co większy brat, osiąga je z mniejszej odległości – zaledwie 10 zamiast 15 cm.

269 PLN, www.buerer.com



eprasa.pl 0a51c839d1

BEURER TL50

Usytuowany pośrodku oferty Beurer i oferujący udane połączenie rozmiaru oraz jasności bez ogromnej ceny, TL50 to model, który przypadnie do gustu większości użytkowników – i nie wygląda jak gigantyczny czytnik Kindle. Podświetlany panel ma formę koła o średnicy 24,6 cm i zapewnia natężenie 10 000 luksów z odległości 15 cm. Z jednym trybem pracy – włącz/wyłącz – i bez dodatkowych funkcji, TL50 został zaprojektowany po to, by robić jedną rzecz i robi ją naprawdę dobrze.

389 PLN, www.beurer.com

OSALIS COMPACT 10000 LUX SAD LAMP

Propozycja Osalis jest niedroga, ale na szczęście sprawdzona przez brytyjski odpowiednik NFZ i – co najważniejsze – bardzo skuteczna. Prostokątny panel i niewielkie wymiary czynią ją najbardziej mobilną opcją w zestawieniu, idealną na szybkie podniesienie nastroju w podróży. Oferuje światło o natężeniu 10 000 luksów w zakresie od 10 do 20 cm oraz regulację jasności, by skutecznie walczyć z SAD. Dodatkowo filtruje promieniowanie UV, zapewniając lepszą ochronę oczu.

199 PLN, www.stressnomore.co.uk



eprasa.pl 0a51c839d1

LUMIE TASK

Tak luksusowe, jak tylko potrafią być lampy na SAD – Lumie Task ma wysoką cenę, ale jest w pełni uzasadniona, zwłaszcza jeśli priorytetem jest zdrowie i dobre samopoczucie podczas pracy z domu. Zapewnia jasność 10 000 luksów z odległości 15 cm, by przeciwdziałać objawom SAD, a do tego oferuje regulację kierunku światła, jasności i barwy, co zwiększa jej wszechstronność. Lumie Task pełni również rolę lampki biurkowej, doskonale oświetlając miejsce pracy i wiernie oddając kolory, faktury oraz tekst.

1 359 PLN, www.lumie.com



eprasa.pl 0a51c839d1



eprasa.pl 0a51c839d1

KOMPLETNY PRZEWODNIK

Samochody elektryczne

Samochód, którym dziś jeździsz, prędzej czy później będzie musiał się zmienić. Niekoniecznie jutro, niekoniecznie łatwo – ale kierunek jest już wyznaczony.

Tekst | **Marcin Kubicki**

Benzyna i diesel powoli ustępują miejsca napędom elektrycznym, a przyszłość motoryzacji, także w Polsce, zaczyna nabierać realnych kształtów.

Zmiana nie przyszła jednak z dnia na dzień. W polskich miastach stacje ładowania wciąż nie dominują krajobrazu, ale coraz częściej pojawiają się na parkingach biurowców, centrów handlowych i przy głównych trasach. Coraz łatwiej też dostrzec samochody poruszające się niemal bezszelestnie, często oznaczone zielonymi akcentami na tablicach rejestracyjnych, sygnalizującymi brak emisji spalin. To jeszcze nie rewolucja – raczej zapowiedź nadchodzącej zmiany.

Rynek samochodów elektrycznych w Polsce rośnie dynamicznie, choć startował z wyraźnie niższego poziomu niż w Europie Zachodniej. Pod koniec 2025 roku po polskich drogach jeździło około 115–120 tysięcy samochodów w pełni elektrycznych, a ich udział w nowych rejestracjach oscyluje w granicach 8–9%. To wynik, który pokazuje wyraźny wzrost rok do roku, ale jednocześnie podkreśla, że elektromobilność w Polsce wciąż znajduje się na etapie przyspieszonego rozwoju, a nie masowej adopcji.

Na ulicach pojawiają się nowe marki, w tym producenci z Chin oferujący technologicznie zaawansowane samochody w konkurencyjnych cenach, podczas gdy tradycyjni gracze stopniowo elektryfikują swoje bestsellery. Co istotne, polski rynek w dużej mierze napędzany jest przez floty, leasing i firmy, dla których całkowity koszt użytkowania oraz przewidywalność eksploatacji mają kluczowe znaczenie. Dla klientów indywidualnych barierą nadal pozostaje cena zakupu, niepewność systemowa oraz infrastruktura.

A jednak same samochody elektryczne coraz rzadziej są problemem. To pojazdy prowadzące się płynnie, reagujące natychmiast na pedał przyspieszenia i wypełnione nowoczesnymi systemami wsparcia kierowcy – od adaptacyjnego tempomatu po asystę pasa ruchu. W porównaniu z autami sprzed dekady, kiedy ekrany dotykowe dopiero zaczynały pojawiać się w kabinach, współczesne EV są wyraźnie bardziej dopracowane, mocniejsze i znacznie łatwiejsze w codziennym użytkowaniu.

TECHNOLOGIA, KTÓRA ZMIENIA JAZDĘ

Samochód elektryczny nie jest po prostu spalinowym autem z innym silnikiem. Zmienia się cała architektura pojazdu – od układu napędowego, przez sposób przenoszenia mocy, aż po rozkład przestrzeni. W wielu EV pod maską pojawia się dodatkowy schowek zamiast klasycznych elementów mechanicznych, co w praktyce daje miejsce na przewód do ładowania lub drobny bagaż. To subtelny detal, ale dobrze pokazuje, że konstrukcja tych aut od podstaw projektowana jest pod nowy sposób użytkowania.

Największym wyzwaniem pozostaje jednak infrastruktura. W Polsce

eprasa.pl 0a51c839d1

GADŻETY DO TWOJEGO ELEKTRYKA

Na wypadek, gdyby twoje auto wciąż było za mało nowoczesne.

01



AAWIRELESS TWO+

Ten niewielki adapter sprawi, że połączenie CarPlay lub Android Auto stanie się bezprzewodowe, jeśli twój samochód nie obsługuje go fabrycznie.

269 PLN, www.aawireless.io

02



WOTTZ VEHICLE-TO-LOAD ADAPTER

Funkcja V2L pozwala zamienić port ładowania niektórych samochodów w zwykłe gniazdko elektryczne, czyniąc z EV ogromny powerbank na biwak lub wyjazd pod namiot.

Od 479 PLN, www.wottz.com

03



NEXTBASE IQ

Wideorejestrator pasuje do auta elektrycznego równie dobrze jak do spalinowego, a ten model oferuje szeroki zestaw opcji nagrywania obrazu i dźwięku.

2 169 PLN, www.nextbase.eu/pl



działa obecnie około 11–12 tysięcy ogólnodostępnych punktów ładowania, z czego znaczną część stanowią wolniejsze ładowarki prądu przemiennego. Oznacza to, że ładowanie samochodu elektrycznego nadal wymaga planowania – szczególnie poza dużymi miastami i głównymi korytarzami transportowymi. Lęk przed zasięgiem nie jest tu abstrakcyjną obawą, lecz realnym elementem codziennego doświadczenia kierowców EV, nie posiadających własnej ładowarki.

Statystycznie większość codziennych podróży w Polsce mieści się w dystansach bezpiecznych dla samochodów elektrycznych, nawet tych o umiarkowanym zasięgu. Problemem nie jest więc sama technologia, lecz jej dostępność w odpowiednich miejscach i czasie. Nic dziwnego, że wielu potencjalnych użytkowników wciąż podchodzi do elektromobilności z ostrożnością, traktując ją raczej jako drugi samochód w gospodarstwie domowym niż jedyny środek transportu.

Jednocześnie zasięg aut elektrycznych systematycznie rośnie. Modele, które jeszcze kilka lat temu oferowały około 150 kilometrów realnego dystansu, dziś bez trudu przekraczają 400 kilometrów, a w sprzyjających warunkach potrafią pojechać jeszcze dalej. Trzeba jednak pamiętać, że wraz ze wzrostem masy i rozmiaru samochodu spada efektywność, dlatego deklaracje producentów warto zawsze traktować z rozsądnym marginesem.

Szybkie ładowarki o wysokiej mocy stają się kluczowym elementem tej układanki. Choć ładowanie nadal trwa dłużej niż tankowanie paliwa, coraz częściej wpisuje się w naturalny rytm podróży – przerwę na kawę, posiłek czy krótki odpoczynek. To zmiana przyzwyczajeń, nie tylko technologii.

ŻEGNAJ, DYSTRYBUTORZE

W Polsce wciąż daleko nam do gęstości infrastruktury znanej z Europy Zachodniej, ale sieć ładowania samochodów elektrycznych systematycznie się rozrasta. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy liczba ogólnodostępnych punktów ładowania przekroczyła 11 tysięcy, przy czym znaczna część z nich oferuje relatywnie niską moc, poniżej 22 kW. Takie wolniejsze ładowarki sprawdzają się wtedy, gdy samochód może pozostać podłączony przez kilka godzin – dlatego najczęściej spotyka się je przy biurowcach, hotelach, osiedlach mieszkaniowych i miejscach pracy – i zazwyczaj są tańsze w użytkowaniu niż szybkie stacje prądu stałego. Największym wyzwaniem dla polskiej infrastruktury pozostaje jednak rozbudowa sieci szybkich ładowarek przy trasach szybkiego ruchu i poza największymi miastami. To one w dłuższej perspektywie mogłyby realnie zastąpić klasyczne stacje paliw. Same samochody również muszą być przystosowane do przyjmowania coraz wyższych mocy ładowania, co stopniowo poprawia się wraz z pojawianiem się nowych generacji modeli.

Polska, podobnie jak inne kraje Unii Europejskiej, formalnie zmierza w stronę zakończenia sprzedaży nowych samochodów benzynowych i wysokoprężnych w kolejnej dekadzie, co oznacza, że czas na przygotowanie infrastruktury jest ograniczony. Na dziś podróżowanie samochodem elektrycznym nadal wymaga pewnego stopnia planowania – najczęściej z pomocą aplikacji mobilnych – a dostępność i sprawność ładowarki w miejscu docelowym nie zawsze są gwarantowane. To element

eprasa.pl 0a51c839d1

T3 poleca...

RÓŻNE TWARZE ELEKTRYFIKACJI

Nowe i ekscytujące modele EV pojawiają się bez przerwy. Oto kilka propozycji...

Tempo zmian w świecie samochodów elektrycznych potrafi być trudne do nadążenia. Gdy na drodze mijasz markę, której nie rozpoznajesz, jest spora szansa, że zobaczysz też zielony akcent na tablicy rejestracyjnej. Wiele z tych nowych producentów pochodzi z Chin – ale także uznane marki porządkują swoje elektryczne gamy, od rodzinnych aut codziennego użytku po SUV-y i luksusowe limuzyny. Choć żadnego z nowych EV nie da się dziś nazwać bardzo tanim, często można znaleźć bardzo korzystne opcje, które oferują nieco mniejszy zasięg.

SAMOCHÓD RODZINNY



KIA EV3

Najmniejszy elektryczny SUV Kii nadal oferuje zaskakująco dużo miejsca dla rodziny, a wyglądem przypomina nieco siedmioosobową wersję EV9. Nie imponuje przyspieszeniem, a miękkie zawieszenie sprawia, że nie czuje się szczególnie zwinnie, za to jest płynny, komfortowy i według deklaracji potrafi przejechać do 600 km na jednym ładowaniu w wersji z większym akumulatorem.

Od 166 900 PLN, www.kia.com

HOT HATCH



RENAULT 5 E-TECH ELECTRIC

To już nie dokładnie ten sam samochód, którym woziłeś znajomych w liceum, ale ten niewielki hatchback wygląda świetnie i oferuje zasięg do 310 km w wersji podstawowej oraz do 400 km z większą baterią. Tylne siedzenia mogą być nieco ciasne dla wysokich pasażerów, za to bagażnik jest większy niż w Fiacie 500, a lista dostępnych kolorów i opcji imponująca.

Od 121 500 PLN, www.renault.pl

LUKSUSOWY WYBÓR



BMW I7

Ta elektryczna limuzyna to dokładnie ten typ auta, z którego marzą wysiadać przedsiębiorcy i politycy. Już bazowa wersja z jednym silnikiem oferuje 449 KM, a kolejne warianty są jeszcze szybsze i mocniejsze. Opcjonalny pakiet Executive obejmuje wysuwany 31-calowy ekran dla pasażerów z tyłu oraz fotele z funkcją masażu. Drogo? Owszem. Ale prestiżowo – bez dwóch zdań.

Od 540 000 PLN, www.bmw.pl

TOWARZYSZ PODRÓŻY



VOLKSWAGEN ID. BUZZ

Dostępny z krótkim i długim rozstawem osi, ten retrofuturystyczny następca klasycznego kampera VW jest równie praktyczny na wypad do IKEI, co na noc spędzoną na kempingu. Oferuje wszystkie typowe udogodnienia EV, w tym funkcję V2L do zasilania suszarki po dniu nad wodą oraz hotspot Wi-Fi na przerwy między kolejnymi spacerami po okolicy.

Od 225 820 PLN, volkswagen.pl

eprasa.pl 0a51c839d1



codzienności, który wciąż różni elektromobilność od klasycznego tankowania.

Alternatywą dla tradycyjnego ładowania, choć na razie nieobecną w Polsce, jest system wymiany baterii. W tym modelu kierowca podjeżdża do specjalnej stacji, a zrobotyzowany mechanizm automatycznie wyjmuje rozładowany akumulator i zastępuje go w pełni naładowanym, co trwa kilka minut zamiast kilkudziesięciu. To rozwiązanie szczególnie atrakcyjne dla flot dostawczych i taksówek, które liczą każdą minutę przestoju, i które funkcjonuje już na szeroką skalę w Chinach, a w Europie pozostaje na etapie projektów pilotażowych.

Wdrożenie takiego systemu wiąże się jednak z poważnymi wyzwaniami. Kluczowe problemy to magazynowanie i ładowanie dużej liczby zapasowych baterii – teoretycznie możliwe do realizacji na terenach obecnych stacji paliw – oraz konieczność projektowania samochodów z myślą o wymiennym akumulatorze. Bateria stanowi znaczną część masy i objętości pojazdu elektrycznego, a jej standaryzacja wymagałaby porozumienia między producentami, z czym branża miała dotąd trudności nawet w przypadku portów ładowania.

ZIELONE SAMOCHODY

Kolejnym wyzwaniem stojącym przed elektromobilnością jest zagospodarowanie zużytych akumulatorów. Nissan Leaf, zaprezentowany w 2009 roku jako pierwszy masowy samochód elektryczny, przez lata trafił do tysięcy użytkowników, także w Polsce. To liczby nieporównywalne z popularnością modeli takich jak Ford Focus, ale nie oznacza to, że zużyte baterie znikną bez śladu lub trafią na złom.

Akumulatory stosowane w samochodach elektrycznych zawierają metale takie jak nikiel czy kobalt, które można odzyskiwać i ponownie wykorzystywać. Po rozładowaniu są one demontowane z pojazdu, a następnie poddawane procesom chemicznym lub mechanicznym – rozpuszczaniu w odpowiednich roztworach lub rozdrabnianiu – dzięki czemu wyspecjalizowane firmy mogą odzyskać cenne surowce i wykorzystać je do produkcji kolejnych ogniw.

Globalnie samochody elektryczne odpowiadają już za około jedną piątą sprzedaży nowych aut, a ten udział będzie tylko rosnąć. W połączeniu z coraz dojrzalszą technologią pojazdów oraz stopniowo rozwijającą się infrastrukturą oznacza to, że właśnie teraz jest dobry moment, by poważnie przyjrzeć się elektromobilności – nawet jeśli w Polsce wciąż jesteśmy na wcześniejszym etapie tej drogi.

5 SPOSOBÓW NA ZASILANIE SAMOCHODU

Elektryfikacja aut nie musi oznaczać końca poszukiwań – oto kilka alternatywnych technologii.

BIOPALIWA

Bioetanol powstaje w procesie fermentacji kukurydzy lub trzciny cukrowej, natomiast biodiesel otrzymuje się w reakcji alkoholu z olejami roślinnymi i tłuszczami zwierzęcymi – w obu przypadkach są to procesy pochłaniające CO_2. Samochody zasilane paliwem zawierającym 85% etanolu są już sprzedawane m.in. w Brazylii i Szwecji.

PARA WODNA

Nie chodzi tu o parowe pojazdy z XVIII i XIX wieku, lecz o nowoczesne sposoby wytwarzania pary, np. z wykorzystaniem energii elektrycznej lub niewielkiego reaktora jądrowego. W 2009 roku brytyjski samochód parowy osiągnął prędkość blisko 225 km/h, a jeszcze kilka lat wcześniej australijska firma Pritchard Power eksperymentowała z podobną koncepcją. Silniki parowe pozostają jednak ciężkie, mało wydajne i wymagające w utrzymaniu.

SPRĘŻONE POWIETRZE

Sprężone powietrze może napędzać tłoki podobnie jak w silniku spalinowym. Wystarczy zbiornik wypełniony powietrzem pod bardzo wysokim ciśnieniem oraz jego stopniowe doprowadzanie do silnika. Taki zbiornik mógłby być napełniany w domu za pomocą pompy elektrycznej. Alternatywą jest ciekły azot, który po podgrzaniu zamienia się w gaz o ogromnym ciśnieniu, choć jego produkcja wymaga technologii kriogenicznych.

ENERGIA KINETYCZNA

Gyrobus, opracowany w latach 40. XX wieku przez firmę Oerlikon, wykorzystywał koło zamachowe obracające się z prędkością do 3 000 obr./min zamiast klasycznego zasilania z sieci. Koło było rozpędzane na przystankach, a pojazdy kursowały do połowy lat 50. Pomysł powracał później, m.in. w projektach Volvo, jednak duża masa układu oraz ryzyko związane z wirującym elementem o prędkości sięgającej 900 km na godzinę, skutecznie zahamowały dalszy rozwój.

WODOROWE OGNIWA PALIWOWE

Na rynku dostępne są obecnie dwa samochody zasilane wodorem: Hyundai Nexo oraz Toyota Mirai. BMW, Alpine, Ineos i inni producenci pracują nad prototypami, lecz infrastruktura tankowania wodoru pozostaje ograniczona. Auta z ogniwami paliwowymi są w istocie elektryczne – wodór łączy się z tlenem, wytwarzając prąd, a jedynym produktem ubocznym całego procesu jest woda.

eprasa.pl 0a51c839d1

T3

ANTRAKT

TECHNOLOGIA WARTA UWAGI

Retro



PANASONIC TH-65PX500

Dziś jesteśmy już przyzwyczajeni do telewizorów o rozdzielczości sięgającej 8K, a nawet wyższej, jednak na początku lat 2000. prawdziwym przełomem było 1080p. Uznawane za oszałamiająco precyzyjne i realistyczne, zrewolucjonizowało sposób oglądania telewizji, obiecując krystalicznie czysty obraz i doświadczenie określane mianem „Full HD". Zapowiedziany w sierpniu 2005 roku, a wprowadzony na rynek w listopadzie, pierwszy telewizor plazmowy, który osiągnął kamień milowy 1080p, nosił nazwę Panasonic TH-65PX500. Przy przekątnej 65 cali takie połączenie rozmiaru i rozdzielczości może dziś nie robić wielkiego wrażenia, lecz w 2005 roku zachwycało ponad dwoma milionami pikseli i 29 miliardami kolorów – oraz przyprawiającą o zawrót głowy ceną 9 000 USD. Wiele telewizorów przed modelem TH-65PX500 oferowało co prawda obraz w rozdzielczości 1920x1080 px, lecz nie było to natywne 1080p. Albo stosowały 1080i (czyli obraz z przeplotem), który nie jest tak wyraźny jak 1080p, albo korzystały z niższej rozdzielczości i skalowały sygnał. Propozycja Panasonica była jednak prawdziwym Full HD, a jej pojawienie się w salonach stało się ważnym punktem zwrotnym w historii telewizji.

Listopad 2005

eprasa.pl 0a51c839d1

T3

ANTRAKT

TECHNOLOGIA WARTA UWAGI



NATIVE UNION (RE)CLASSIC CASE FOR AIRPODS PRO 3

Propozycja dla tych, którzy od akcesoriów oczekują czegoś więcej niż tylko ochrony. To etui, które łączy elegancki, ponadczasowy design z odpowiedzialnym podejściem do środowiska. Zamiast klasycznej skóry zastosowano tu trwały, pochodzący z recyklingu materiał o „skórzanym" charakterze – odporny na zarysowania, plamy i odbarwienia, a przy tym bardziej przyjazny dla planety. Projekt bazuje na subtelnym kontraście gładkiej i delikatnie ziarnistej faktury, dzięki czemu etui wygląda szlachetnie i nowocześnie zarazem. Piękna forma skutecznie chroni AirPodsy przed skutkami codziennego użytkowania i drobnymi upadkami. Przemyślane detale – swobodny dostęp do portu ładowania, otwór na smycz czy kompatybilność z MagSafe i ładowaniem Qi – sprawiają, że to etui nie przeszkadza w codziennym rytmie, tylko naturalnie się w niego wpisuje. (Re)Classic Case to przykład, że styl, funkcjonalność i ekologia mogą iść w parze, tworząc akcesorium z charakterem – dyskretne, ale wyraźnie dopracowane.

169 PLN, www.nativeunion.com

eprasa.pl 0a51c839d1

CRÈME DE LA CRÈME

JEDYNA LISTA ZAKUPÓW JAKIEJ POTRZEBUJESZ

Prowadzący | **Marcin Kubicki i Michał Lis**



NOWOŚCI, KLASYKI I PRZEŁOMOWE TECHNOLOGIE NA TWOJĄ KIESZEŃ

Jeśli szukasz najlepszych rozwiązań technologicznych dostępnych obecnie na rynku, dobrze trafiłeś. W rubryce Crème de la Crème znajdziesz praktyczny przewodnik, z którym warto zapoznać się przed następnymi technologicznymi zakupami. Bazą do jego powstania były setki testów, jakie przeprowadzaliśmy na łamach „Magazynu T3" przez ponad 10 lat istnienia magazynu.

Przewodnik podzieliliśmy na różne kategorie, obejmujące gadżety do naszego inteligentnego (i nie tylko) domu i codziennego użytku. Każdy dział to niezwykle starannie wybrane produkty, które dają ci możliwość kupienia najlepszego sprzętu niezależnie od twojego budżetu czy aktualnych potrzeb. Jak zwykle polecamy tylko urządzenia, które wybralibyśmy dla siebie lub z których korzystamy na co dzień w naszym życiu - trudno o lepszą rekomendację. Sprawdź zatem, jakie technologiczne dobrodziejstwa czekają na ciebie w naszym przewodniku.

eprasa.pl 0a51c839d1

SMARTFONY



ONEPLUS 15

OnePlus 15 to nowy flagowiec łączący moc, styl i nowoczesne technologie. Wyposażony w 6,78-calowy ekran OLED 165 Hz i procesor Snapdragon 8 Elite Gen 5, oferuje płynność i szybkość, jakiej oczekują najbardziej wymagający użytkownicy. Potrójny aparat 50 Mp z OIS i 32 Mp selfie zapewniają zdjęcia w najwyższej jakości, a bateria 7 300 mAh z ładowaniem 120 W (bezprzewodowo 50 W) gwarantuje długą pracę bez przerw. Odporność IP69K, Wi-Fi 7, NFC i pamięć do 1 TB czynią z OnePlus 15 kompletny smartfon nowej generacji – mocny, elegancki i gotowy na wszystko.

4 399 PLN, www.oneplus.com



OPPO A6 PRO 5G

Solidny, dobrze wyceniony, codzienny smartfon zaprojektowany z myślą o trwałości. 6,57-calowy ekran AMOLED 120 Hz z ultracienkimi ramkami zapewnia świetne wrażenia wizualne, a ogromna bateria o pojemności 6 500 mAh z szybkim ładowaniem SUPERVOOC 80 W gwarantuje bardzo długą pracę. Certyfikaty IP68/IP69 i MIL-STD-810H czynią go odpornym na wodę, pył i upadki. Całość napędza procesor MediaTek Dimensity 6300, a zdjęcia wykonamy aparatami 50 Mp. Ponadto, tryb fotografii podwodnej dopełnia obraz uniwersalnego telefonu od OPPO.

1 099 PLN, www.oppo.com



GOOGLE PIXEL 10 PRO

Najnowszy flagowiec Google stawia na sztuczną inteligencję w każdym aspekcie – od zdjęć po obsługę głosową. Wyposażony w ekran OLED 6,3” z adaptacyjnym odświeżaniem 1-120 Hz i układ Tensor G5, oferuje płynność oraz bezpieczeństwo wsparte siedmioma latami aktualizacji. Pixel 10 Pro zachwyca aparatem z trybem Night Sight i AI Editor, pozwalającym usuwać obiekty czy zmieniać kadr po zrobieniu zdjęcia. Superjasny wyświetlacz, mocna bateria i wprowadzenie standardu Qi2 czynią go jednym z ciekawszych smartfonów sezonu.

Od 4 299 PLN, www.store.google.com



APPLE iPHONE 17 PRO

Najpotężniejszy iPhone w historii – z nową konstrukcją unibody z aluminium lotniczego, czipem A19 Pro i rekordowo długim czasem pracy baterii. Trzy aparaty Fusion 48 Mp i nowy teleobiektyw 8x zapewniają jakość porównywalną z zestawem profesjonalnych obiektywów, a przedni aparat Center Stage 18 Mp wnosi selfie na wyższy poziom. Wyświetlacz Super Retina XDR z Ceramic Shield 2 jest jaśniejszy i trwalszy niż kiedykolwiek. Do tego zaawansowane funkcje wideo, iOS 26 z Apple Intelligence oraz nowe akcesoria MagSafe to propozycja Apple na ten rok.

Od 5 799 PLN, www.apple.com/pl

eprasa.pl 0a51c839d1

AKCESORIA



INSTA360 FLOW 2 PRO

Insta360 Flow 2 Pro to gimbal, który zamienia smartfon w profesjonalną kamerę filmową. Dzięki 3-osiowej stabilizacji, inteligentnemu śledzeniu Deep Track 4.0 i pełnej integracji z ekosystemem Apple DockKit, każde ujęcie staje się płynne, dynamiczne i perfekcyjnie wyważone. Obsługa Dolby Vision i Apple ProRes gwarantują kinową jakość obrazu, a funkcje AI FlashCut i Active Zoom Tracking pomagają tworzyć efektowne klipy w kilka chwil. Flow 2 Pro to także selfie stick, statyw i powerbank w jednym, oferujący do 10 godzin pracy na baterii – idealny towarzysz vlogerów, podróżników i kreatywnych twórców.

599 PLN, www.insta360.com



ONEPLUS WATCH LITE

Lekki i smukły smartwatch od OnePlus zaprojektowany z myślą o codziennym ruchu, dużej aktywności i długiej pracy bez ładowarki. Oferuje jasny ekran AMOLED 1,46", do 10 dni działania baterii oraz szybkie doładowanie na cały dzień w zaledwie 10 minut. Dwuzakresowy GPS, ponad 100 trybów sportowych i zaawansowane analizy biegania wspierają ambitne treningi, a rozbudowane monitorowanie snu, tętna i SpO_2 dba o zdrowie. Całość zamknięto w stalowej kopercie z odpornością 5ATM/IP68 – solidny, sportowy zegarek od OnePlus.

799 PLN, www.oneplus.com



TWELVE SOUTH HIRISE PRO

Regulowana podstawka pod MacBooka pozwala zaprowadzić porządek na blacie biurka. Wygodnie umieścimy na niej komputer o wielkości od 11 do 16" i możemy dowolnie go podwyższyć, nawet o 15 cm. Akcesorium to jest idealne, kiedy piszemy na klawiaturze, czy prowadzimy konferencje online, jak również wtedy, gdy korzystamy z zewnętrznego monitora. Dodatkowym atutem podstawki jest stopa wyposażona w ładowarkę MagSafe, na której można uzupełnić energię iPhone'a lub słuchawek AirPods Pro. Całość jest estetyczna, wykonana z lekkich i przyjaznych środowisku materiałów.

489 PLN, www.twelvesouth.com



TP-LINK DECO X10

Wyposażony w technologię Wi-Fi 6, domowy system Wi-Fi, stworzony, by zapewniać bardziej kompleksowe pokrycie domu, wyższe prędkości i większą pojemność sieci. Niezależnie od tego ile ekranów i urządzeń połączy się jednocześnie (do 120!), każdy będzie mógł korzystać z wydajnej sieci, która pozwala na szybsze ładowanie treści i bez spadków wydajności. Deco X10 eliminuje martwe strefy za pomocą czystego i silnego sygnału Wi-Fi, generowanego w oparciu o technologie Kolorowania BSS i Beamforming. Potrzebujesz jeszcze większego zasięgu? Po prostu dodaj kolejne Deco.

245 PLN (1 szt.), www.tp-link.com

eprasa.pl 0a51c839d1

TELEWIZORY I MONITORY



SAMSUNG QEF1

Jeden z tych telewizorów Samsunga, które mają po prostu „robić robotę" – i robią ją bardzo konsekwentnie. Matryca QLED z kropkami kwantowymi oferuje 100% natężenia kolorów, a procesor AI Q4 inteligentnie skaluje treści do jakości zbliżonej do 4K. Do tego dochodzi Quantum HDR, płynne działanie One UI Tizen z aż siedmioletnim wsparciem aktualizacji oraz solidny pakiet funkcji dla graczy i kina domowego. Uniwersalny, nowoczesny telewizor do codziennego oglądania – bez zadęcia, za to z wyraźnym naciskiem na jakość obrazu i wygodę.

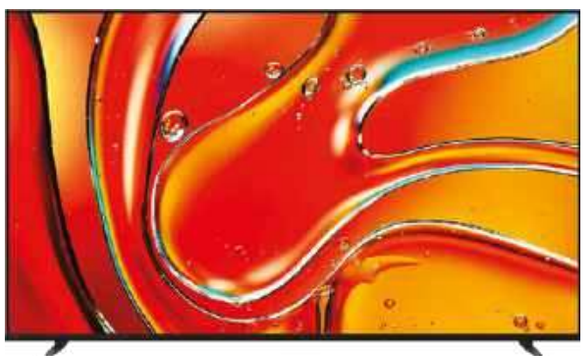
Od 2 299 PLN, www.samsung.pl



SAMSUNG S90F

Flagowy OLED Samsunga stawia na AI. Procesor NQ4 AI Gen3 ze Skalowaniem AI 4K Pro wyostrza obraz i podnosi detale, a OLED HDR+ dostarcza wysokiej jakości głęboki kontrast. Funkcje dla graczy to Upłynniacz Ruchu 144 Hz, Game Bar, ALLM i FreeSync Premium Pro. Tryb AI oraz Adaptacja Dźwięku Pro dopasowują obraz i brzmienie do treści i otoczenia. Jest Dolby Atmos i Q-Symphony. Na pokładzie Bixby, Monitorowanie Zwierzaka, minimalistyczny LaserSlim Design, a w zestawie ekologiczny Pilot SolarCell i funkcje dostępności, m.in. Napisy Audio.

Od 5 299 PLN, www.samsung.pl



SONY BRAVIA 7

Telewizor, który został stworzony po to, aby w domowym zaciszu zbudować kino z doskonałym obrazem i perfekcyjnym dźwiękiem. Imponujący kontrast osiągnięto dzięki technologii XR Backlight Master Drive ze specjalnym algorytmem lokalnego wygaszania, który precyzyjnie steruje tysiącami diod LED. Z kolei wyświetlacz XR Triluminos Pro reprodukuje ponad miliard kolorów. Dźwięk idealnie dopasowany do obrazu to zasługa technologii Acoustic Multi-Audio, która uwydatnia lub minimalizuje brzmienie dobiegające z każdej sceny. Krystaliczną czystość dialogów gwarantuje Voice Zoom 3 wspomagany sztuczną inteligencją.

Od 6 999 PLN, www.sony.pl



BENQ SW272U

27-calowy monitor PhotoVue dla profesjonalnych fotografów i twórców treści multimedialnych. Matryca 4K z szeroką gamą barw (99% AdobeRGB i 99% P3) oraz fabryczną dokładnością (Delta E ≤2), potwierdzoną m.in. Pantone Validated i Calman Verified. Panel Fine-Coated ogranicza odblaski i daje „papierową" fakturę, a Paper Color Sync oraz GamutDuo pomagają ocenić materiał przed wydrukiem. Na pokładzie 16-bitowa 3D LUT, sprzętowa kalibracja (Palette Master Ultimate) i USB-C z 90 W. Dodatkowo: BenQ Uniformity, kaptur i czytnik kart.

5 599 PLN, www.benq.pl

eprasa.pl 0a51c839d1

SOUNDBARY



SONY BRAVIA THEATRE BAR 6

Smukły, elegancki soundbar zaprojektowany z myślą o pełnej integracji z telewizorami BRAVIA. Dzięki wirtualnym technologiom dźwięku przestrzennego S-Force PRO i Vertical Surround Engine zapewnia kinowe wrażenia podczas oglądania filmów i seriali bez dodatkowych głośników. Model od Sony obsługuje standard Dolby Atmos, HDMI eARC i bezproblemowo łączy się bezprzewodowo z subwooferem (znajdziemy go w zestawie) oraz tylnymi głośnikami (opcjonalnie). Theatre Bar 6 odnajdzie się idealnie w minimalistycznych wnętrzach, gdzie zapewni immersyjny dźwięk.

2 199 PLN, www.sony.pl



JBL BAR 1300

11.1.4-kanałowy soundbar z Dolby Atmos i DTS:X. Technologia MultiBeam i sześć głośników skierowanych w górę — cztery w listwie i dwa w zasilanych akumulatorowo odłączanych głośnikach przestrzennych — zapewniają mocny dźwięk przestrzenny. Całkowita moc wyjściowa 1 170 W i bas z 10-calowego subwoofera to więcej niż wystarczy, aby wstrząsnąć pomieszczeniem. Dzięki technologii PureVoice rozmowy są wyraźne nawet, gdy inne dźwięki są odtwarzane z pełną głośnością. Dostępnych jest także ponad 300 opcji strumieniowania ulubionej muzyki.

5 399 PLN, www.jbl.com



YAMAHA SR-X40A

Model z serii True X, oferujący przestrzenny dźwięk 3D z Dolby Atmos i legendarnym brzmieniem True Sound. Starannie zaprojektowana konstrukcja i selekcjonowane przetworniki zapewniają wyjątkową głębię dźwięku. Wbudowany subwoofer o średnicy 75 mm i dwie membrany pasywne, funkcja Bass Extension oraz tryby Film, Gra, Stereo, Standard, które pozwalają dostosować brzmienie do potrzeb. Złącze HDMI obsługuje HDMI CEC i eARC. Z kolei aplikacja Sound Bar Controller i funkcja Clear Voice zwiększają wygodę i jakość odbioru dialogów.

2 799 PLN, www.tophifi.pl



DENON HOME SOUND BAR 550

Soundbar z serii Denon Home uwodzi minimalizmem i wysoką jakością materiałów wykończeniowych. To niewielki sprzęt, ale udało się w nim zmieścić aż sześć przetworników i trzy radiatory pasywne, dzięki czemu możemy cieszyć się głębokim, precyzyjnym i barwnym brzmieniem nawet bez subwoofera. Urządzenie otrzymało wsparcie dla systemu multiroom HEOS by Denon i towarzyszącej mu apki mobilnej, więc soundbar posłuży nam także do słuchania muzyki. Możemy nim sterować również przez Alexę lub Asystenta Google.

2 299 PLN, www.salonydenon.pl

eprasa.pl 0a51c839d1

SPRZĘT AUDIO



YAMAHA RX-V4A

Amplitunery 8K to urządzenia przyszłości, które już dziś możesz zaprosić w swoje skromne progi. Nie wszystkie z nich kosztują fortunę - RX-V4A został rozsądnie wyceniony, a pod względem funkcjonalności oferuje tyle co niejeden droższy sprzęt. Pracuje on w konfiguracji 5.2, może być automatycznie kalibrowany za pośrednictwem systemu YPAO i otrzymał wsparcie dla najpopularniejszych systemów dźwięku przestrzennego, w tym Dolby Digital Plus. Na uwagę zasługuje także łączność Wi-Fi/Bluetooth oraz kompatybilność z Apple AirPlay 2 i systemem multiroom MusicCast.

1 749 PLN, www.tophifi.pl



BOWERS & WILKINS 600 S3

8. generacja kolumn głośnikowych z serii 600. Składają się na nią cztery nowe kolumny – podłogowe, dwa modele podstawkowe oraz głośnik centralny – które zawierają jedne z najbardziej wszechstronnych ulepszeń, jakie kiedykolwiek otrzymała seria. Wszystkie modele poradzą sobie nie tylko tylko w zestawach stereo, ale także jako część kina domowego, doskonale integrując się z głośnikiem centralnym HTM6 S3 i jednym z aktywnych subwooferów ASW608 lub ASW610. Najważniejszą nowością w serii 600 S3 jest całkowicie nowa technologia kopułki wysokotonowej, Titanium Dome.

1 999 PLN, www.tophifi.pl



SONY TA-AN1000

Wzmacniacz AN1000 jest wyposażony w technologię 360 Spatial Sound Mapping, która zapewnia wrażenie intensywnego efektu przestrzennego z wielu głośników fizycznych i wirtualnych. Automatyczna kalibracja D.C.A.C. IX dostosowuje ustawienia dźwięku do specyfiki pomieszczenia, dzięki czemu uzyskujesz fantastyczny kinowy dźwięk we własnym domu. Dzięki obsłudze formatów DTS:X i Dolby Atmos wzmacniacz AN1000 zapewnia nie tylko wspaniały dźwięk o wysokiej rozdzielczości, streaming i inteligentną integrację, lecz także potężny, kinowy dźwięk przestrzenny.

3 989 PLN, www.sony.pl



SAMSUNG MUSIC FRAME

Stereofoniczny głośnik, który możemy postawić np. na półce lub powiesić na ścianie. Jego front może zostać ozdobiony wybranym przez nas zdjęciem czy obrazem, a dzięki temu doskonale wpasuje się w nasze wnętrze. Za muzykalność urządzenia odpowiada zestaw dwóch przetworników wysokotonowych i dwóch szerokopasmowych oraz para subwooferów, które automatycznie dostrajają się do akustyki pomieszczenia. Głośnik ma także wsparcie Dolby Atmos, a to oznacza, że jest w stanie odtwarzać przestrzenne ścieżki dźwiękowe. Music Frame współpracuje również z aplikacją *SmartThings*. Samsung Music Frame jest zasilany przewodowo i ma moduł Wi-Fi oraz Bluetooth.

1 028 PLN, www.samsung.pl

eprasa.pl 0a51c839d1



MARANTZ HORIZON

Bezprzewodowy głośnik, który zachwyca nie tylko brzmieniem, ale i designem. Za muzykalność odpowiada 6,5" subwoofer, który uzupełniają dwa 1" głośniki wysokotonowe z jedwabną kopułką i trzy 2" pełnozakresowe przetworniki. Dźwięczność wspiera opatentowana technologia Marantz Rise, oparta na wysoce czułej i termicznie wydajnej technologii GaN FET, która oferuje moc wyjściową 310 W. Obudowa została zaś pokryta bezszwową tkaniną, wykonaną z ekologicznych tworzyw sztucznych, pochodzących z recyklingu materiałów wyłowionych z oceanów.

16 999 PLN, www.salonydenon.pl



NAIM UNITI ATOM HEADPHONE EDITION

Odtwarzacz all-in-one zaprojektowany specjalnie z myślą o słuchawkach - jeśli preferujesz właśnie ten sposób obcowania z muzyką, pokochasz tę specjalną edycję popularnego Uniti Atom. Urządzenie ma dedykowany wzmacniacz, który napędzi nawet najbardziej wymagające słuchawki, wsparcie dla wszechstronnej platformy Naim oraz komplet połączeń bezprzewodowych i przewodowych. Odtworzymy na nim muzykę z serwisów streamingowych, smartfonów, Chromecasta, gramofonów i nośników USB. Sprzęt potrafi działać także jako przedwzmacniacz strumieniowy dla aktywnych głośników.

11 999 PLN, www.fnce.pl



EVERSOLO DMP-A6 MASTER EDITION GEN 2

Eversolo DMP-A6 Gen 2 to zaawansowany odtwarzacz audio z podwójnymi DAC ES9038Q2M i interfejsem XMOS XU316, obsługujący dźwięk Hi-Res do DSD512 i PCM 768 kHz. W pełni zbalansowana architektura, HDMI ARC, Trigger i liniowy zasilacz o ultra-niskim poziomie szumów zapewniają najwyższą jakość brzmienia. Urządzenie wspiera Roon Ready, Tidal Connect i wiele serwisów streamingowych, oferując rozbudowaną łączność, ekran dotykowy, WOL, EQ i opcję rozszerzenia pamięci do 4 TB. Urządzenie wykonano ze zintegrowanego aluminium klasy lotniczej, obrabianego precyzyjnymi technikami CNC.

5 599 PLN, hifipro.audio



JBL AUTHENTICS

Najnowsza seria głośników firmy JBL łączy w sobie kultowy design retro z pierwszą w branży jednoczesną integracją asystentów głosowych (Amazon Alexa i Asystent Google). Bogaty w funkcje JBL Authentics 500 to prawdziwe centrum domu – wszechstronny inteligentny głośnik. Wi-Fi i Bluetooth zapewnia dźwięk Dolby Atmos, aby otoczyć słuchaczy wciągającym brzmieniem. Stacjonarny mały głośnik JBL Authentics 200 i przenośny głośnik domowy JBL Authentics 300 uzupełniają serię. JBL Authentics można rozmieścić w całym domu, tworząc inny nastrój w każdym pomieszczeniu, lub łączyć ze sobą.

Od 1 499 PLN, www.jbl.com

eprasa.pl 0a51c839d1

SŁUCHAWKI



BOWERS & WILKINS PI8

Prawdziwie bezprzewodowe słuchawki dokanałowe, które cechuje typowe dla Bowers & Wilkins stylowe wzornictwo, komfort użytkowania, świetne brzmienie i aktywna redukcja hałasu. W Pi8 zastosowano 12-milimetrowe przetworniki elektroakustyczne Carbon Cone, które skutecznie redukują zniekształcenia i poprawiają szczegółowość odtwarzanych dźwięków, szczególnie w zakresie wysokich częstotliwości. Słuchawki obsługują popularne kodeki AAC czy SBC, ale także te zaawansowane np. aptX Lossless. PI8 grają do 6,5 godziny na jednym naładowaniu, a dodatkowy czas pracy – 13,5 h – zapewnia kompaktowe etui ładujące.

1 499 PLN, www.tophifi.pl



JBL SENSE PRO

Otwarte słuchawki od firmy JBL, które łączą przestrzenny dźwięk z pełną świadomością otoczenia. Technologia OpenSound z przewodzeniem powietrznym i certyfikat Hi-Res Audio Wireless zapewniają słuchaczowi naturalne, bogate brzmienie bez izolowania od świata i jego dźwięków. Regulowany pałąk zauszny gwarantuje naprawdę wysoki komfort przez cały dzień, a cztery mikrofony z algorytmem AI dbają o czystość wszystkich rozmów, które chcemy odbyć. Odporność IP54, do 38 godzin pracy i ładowanie bezprzewodowe czynią z nich wszechstronny model od JBL.

739 PLN, www.jbl.com.pl



OPPO ENCO AIR4 PRO

Słuchawki OPPO Enco Air4 Pro są wyposażone w sprawdzone, dynamiczne przetworniki 12,4 mm z tytanową cewką. Dobrą jakość dźwięku i stabilność połączenia ma zagwarantować Bluetooth 5.4. Premierowe słuchawki są certyfikowane do strumieniowego przesyłania dźwięku Hi-Res Audio i oferują dźwięk przestrzenny. Listę obsługiwanych kodeków otwiera LHDC 5.0, a znalazły się na niej także SBC i AAC. Najbardziej imponująca jest wytrzymałość baterii, gdyż OPPO Enco Air4 Pro mogą pracować aż przez 12 godzin z wyłączonym ANC (5,5 godziny, kiedy ANC jest aktywne). Etui ładujące wydłuża ten czas do rekordowych 44 godzin.

249 PLN, www.oppo.com



DENON PERL PRO

Jedyne spersonalizowane wkładki douszne, które dostosowują się do sposobu słyszenia i obsługują bezstratny dźwięk za pośrednictwem Bluetooth. Adaptacyjna technologia akustyczna Masimo tworzy unikalny profil słuchu dopasowany do ciebie. Odkryj nieskompresowany dźwięk dzięki bezstratnym i przestrzennym technologiom audio. Wybierz ciszę z adaptacyjną aktywną redukcją szumów lub usłysz otoczenie w trybie społecznościowym. Do ośmiu godzin na jednym ładowaniu, trzy dodatkowe ładowania w etui i bezprzewodowe ładowanie sprawiają, że słuchawki są zawsze gotowe do pracy.

649 PLN, www.salonydenon.pl

eprasa.pl 0a51c839d1



DALI IO-12

DALI iO-12 to bezprzewodowe słuchawki Hi-Fi z opatentowaną technologią przetworników SMC, zapewniającą krystalicznie czysty dźwięk. Oferują aktywną redukcję szumów, dwa tryby dźwięku (Hi-Fi i Bass) oraz 35-godzinną żywotność baterii. Możesz używać ich przewodowo lub bezprzewodowo dzięki Bluetooth aptX Adaptive. Wykonane z luksusowych materiałów, gwarantują komfort nawet podczas długiego słuchania. Bez aplikacji – pełna kontrola dzięki intuicyjnym przyciskom. Idealne dla audiofilów, którzy oczekują najwyższej jakości dźwięku w każdej sytuacji.

4 499 PLN, www.salonydenon.pl



AUDIO-TECHNICA ATH-M50XBT2

Słuchawki o studyjnej jakości dźwięku bardzo często okazują się niepraktyczne poza studiem nagraniowym. ATH-M50xBT2 to zupełne przeciwieństwo tego trendu: lekkie, wygodne i wyposażone w potężny akumulator, gwarantujący nawet 50 godzin pracy na jednym ładowaniu. W pracy z materiałem muzycznym przydadzą się natomiast 45-milimetrowe przetworniki i wbudowane wzmacniacze, dzięki którym możemy liczyć na zbalansowane brzmienie z mocnymi basami, kolorową średnicą i klarownymi, wyrazistymi sopranami.

699 PLN, www.tophifi.pl



SONY WH-1000XM6

Sony WH-1000XM6 to najnowsze bezprzewodowe słuchawki z flagowej serii, oferujące jeszcze lepszą redukcję hałasu dzięki udoskonalonemu procesorowi i nowym mikrofonom. Zapewniają wyjątkową jakość dźwięku, długi czas pracy do 30 godzin i wygodną konstrukcję idealną do długiego noszenia. Sony przywróciło składaną konstrukcję pałąka, która ułatwia transportowanie w dedykowanym etui. Nowością są ulepszone funkcje Smart AI, szybsze parowanie i jeszcze bardziej naturalne brzmienie ambient sound. To topowy wybór dla wymagających użytkowników marki.

1 999 PLN, www.sony.pl



FINAL AUDIO UX3000

UX3000 to pierwsze bezprzewodowe słuchawki nauszne marki Final, wyposażone w aktywną redukcję szumów z hybrydową metodologią ich redukcji. Zostały one zaprojektowane tak, aby w pełni zoptymalizować charakterystykę akustyczną samego przetwornika. Oprócz obsługi kodeków SBC i AAC, UX3000 obsługuje aptX LL — kodek o niskim opóźnieniu, który zapewnia dźwięk wysokiej jakości z minimalnymi przerwami i opóźnieniem. Możesz cieszyć się do 35 godzin odtwarzania muzyki na jednym ładowaniu.

659 PLN, hifipro.audio

eprasa.pl 0a51c839d1

LAPTOPY I TABLETY



LENOVO THINKPAD T14S GEN 6

Ultralekki, wydajny laptop z innowacyjnym procesorem Snapdragon X Elite i grafiką Qualcomm Adreno, zapewniający doskonałą wydajność przy niskim poborze energii. Dzięki Wi-Fi 7 masz szybkie i stabilne połączenia, a Copilot ułatwia organizację pracy. Ponadto wbudowany Communication Bar, wysokiej jakości mikrofony z redukcją szumów i technologia Dolby Audio gwarantują najwyższą jakość współpracy. Ekran WUXGA Eyesafe chroni wzrok, a przeprojektowana klawiatura zwiększa komfort. To laptop stworzony z myślą o wydajności, mobilności i ekologii.

Od 8 499 PLN, www.lenovo.pl



LENOVO LEGION PRO 7 16IAX10H

Lenovo Legion Pro 7 16IAX10H to potężny laptop gamingowy klasy premium, stworzony z myślą o graczach i twórcach. Wyposażony w procesor Intel Core Ultra 9, kartę graficzną NVIDIA GeForce RTX 5080 i ekran 16" OLED 240 Hz, oferuje płynną rozgrywkę i wysoką jakość obrazu. Zaawansowany system chłodzenia Legion ColdFront 5.0 zapewnia stabilność i wspiera cichą pracę nawet pod dużym obciążeniem. Długi czas pracy na baterii (99,99 Whr z obsługą technologii Super Rapid Charge), stylowa, metalowa obudowa i podświetlana klawiatura RGB dopełniają całości.

15 499 PLN, www.lenovo.pl



OPPO PAD NEO

Smukły tablet o 6,89 mm grubości i 538 g wagi. Producent zastosował ekran o przekątnej 11,4 cala i proporcjach 7:5. Wybór tego rozwiązania znacznie ułatwia korzystanie z aplikacji biurowych, przeglądanie stron internetowych, czy oglądanie filmów i granie. Ekran przy rozdzielczości 2408x1720 px, gęstości pikseli 260 ppi, odświeżaniu 90 Hz i typowej jasności 400 nitów jest wyraźny, przyjazny dla użytkowników, także tych najmłodszych, i komfortowy podczas pracy oraz rozrywki. Doskonałemu obrazowi towarzyszy równie istotny dźwięk wysokiej jakości z czterech głośników stereo.

1 299 PLN (wersja Wi-Fi), 1 499 PLN (wersja LTE), www.oppo.com



APPLE MACBOOK AIR 13-CALOWY (M4)

Nowy MacBook Air z czipem M4 to ultraprzenośny laptop o wyjątkowej wydajności, dostępny w dwóch rozmiarach (13 i 15 cali) oraz czterech stylowych kolorach, w tym zupełnie nowym błękitnym. Działa do 18 godzin na baterii. Wyposażony jest w ekran Liquid Retina, kamerę 12 Mp, system bezkonkurencyjnych głośników z dźwiękiem przestrzennym i niezawodną klawiaturę Magic Keyboard z Touch ID. Model z układem M4 obsługuje dwa monitory zewnętrzne i oferuje płynną współpracę z iPhonem. To idealne narzędzie dla każdego, kto ceni moc, mobilność i elegancki design.

Od 4 999 PLN, www.apple.com/pl

eprasa.pl 0a51c839d1

GAMING



SANDISK MICROSD DO ROG XBOX ALLY (X)

Szybki i wygodny sposób na rozbudowę mobilnej biblioteki gier. Oferuje odczyt do 200 MB/s i zapis do 140 MB/s, co przekłada się na krótsze czasy ładowania oraz sprawne instalacje i aktualizacje. Dostępna w wariantach do 2 TB, mieści dziesiątki tytułów, a dzięki oficjalnej licencji Xbox zapewnia pełną kompatybilność. Wytrzymała konstrukcja odporna na upadki, wstrząsy, działanie promieniowania rentgenowskiego oraz wysokich temperatur, a także dożywotnia gwarancja czynią ją idealnym towarzyszem dla graczy w podróży.

Od 330 PLN, www.shop.sandisk.com/pl-pl



LENOVO LEGION GO S

Nowy handheld od Lenovo łączący wydajność z wysoką mobilnością. Procesor AMD Ryzen Z2 Go i grafika RDNA 2 zapewniają płynną rozgrywkę, a 8-calowy ekran PureSight 120 Hz gwarantuje doskonały obraz. Ergonomiczne kontrolery Legion TrueStrike oferują świetną precyzję, a aplikacja *Legion Space* umożliwia personalizację ustawień. Dzięki długiej pracy na baterii i kompatybilności z platformami jak Xbox Game Pass czy Steam, to idealne rozwiązanie dla graczy ceniących jakość i swobodę grania w dowolnym miejscu na systemie Windows 11.

2 399 PLN, www.lenovo.pl



TP-LINK ARCHER GX90

Bez stabilnego, pozbawionego lagów połączenia z internetem nie ma co nawet rozpoczynać potyczek online - tylko zirytujemy siebie i członków naszej drużyny. W takiej sytuacji warto wybrać router gamingowy, na przykład Archer GX90 od TP-Link. Jedno z jego trzech pasm dedykowane jest tylko i wyłącznie grom, a dzięki funkcji Game Accelerator sprzęt rozpoznaje, który ruch pochodzi z gry sieciowej, automatycznie przyznając mu priorytet. Za sprawą kompleksowej ochrony antywirusowej Game Protector możemy być pewni, że wszystkie urządzenia podłączone do sieci są bezpieczne.

979 PLN, www.tp-link.com.pl



CORSAIR M75 AIR WIRELESS

Ultralekka mysz M75 Air ma symetryczny, profesjonalnie opracowany kształt. Pozbawiona zbędnych dodatków waży zaledwie 60 g, dzięki czemu pozwala na wykonywanie z łatwością szybkich i precyzyjnych ruchów. Ultradokładny czujnik optyczny Corsair Marksman śledzi każde dotknięcie z aptekarską precyzją. Technologia Corsair QuickStrike o zerowych opóźnieniach charakteryzuje się brakiem odstępu między głównymi przyciskami i ich optycznymi przełącznikami. Technologia Slipstream Wireless zapewnia połączenie o opóźnieniach poniżej 1 ms. M75 Air działa do 34 godzin na jednym ładowaniu.

469 PLN, www.corsair.com

eprasa.pl 0a51c839d1

APARATY FOTOGRAFICZNE



SONY ZV-E10 II

Bezlusterkowy aparat, którego walory docenią twórcy videoblogów. Został on wyposażony w 26-megapikselowy przetwornik obrazu Exmor R i procesor BIONZ XR, które pozwolą uchwycić obraz także w słabym oświetleniu. Zdjęcia można robić w trybie seryjnym z szybkością do 11 kl./s. Filmowcy docenią możliwość nagrywania w 4K z prędkością do 60 kl./s. Najnowszy aparat współpracuje z pond 70 obiektywami Sony – od szerokokątnych po teleobiektywy, co znacznie rozszerza możliwości tej kompaktowej kamery. ZV-E10 II pozwala transmitować na żywo obraz Full HD z szybkością do 60 klatek na sekundę – to także idealny aparat do streamingu.

4 999 PLN, www.sony.com



SONY A7 IV

Sony kontynuuje tradycje swojej cenionej serii Alpha. A7 IV to sprzęt nie tylko dla fotografów, ale także filmowców: bezlusterkowiec Sony potrafi nagrywać w jakości 4K i 60 kl./s, i to przez ponad godzinę bez przerwy. Aparat został wyposażony w pełnoklatkową matrycę 33 Mp oraz zaawansowany procesor obrazu Bionz XR. Dzięki nim praca autofokusa jest błyskawicznie szybka, zaś zdjęcia seryjne wykonamy z szybkością nawet 10 kl./s. W tej odsłonie Sony poprawiło również ergonomię pracy, wyposażając korpus w pewniejszy uchwyt i wygodniejszy układ przycisków.

10 299 PLN (body), www.sony.pl



SONY A7R V

Aparat z niezawodnym autofokusem wspomagany przez sztuczną inteligencję. Z najnowszym, szybkim procesorem BIONZ XR oraz pełnoklatkowym przetwornikiem obrazu rejestrującym 61-megapikselowe fotografie i filmy 8K o niespotykanym dotąd bogactwie szczegółów i faktur. Korpus A7R V ma również wbudowany system stabilizacji obrazu, którego efektywność jest odpowiednikiem 8 stopni przysłony, a także unikatowy ekran z 4-osiową regulacją i wizjer elektroniczny o wysokiej rozdzielczości. Dzięki szybkiej łączności użytkownicy profesjonalni i pasjonaci mogą z łatwością utrwalać wszystkie detale na ujęciach krajobrazowych, przyrodniczych i portretowych.

17 599 PLN (body), www.sony.pl



CANON EOS R5

Sercem aparatu jest 45-megapikselowa matryca pełnoklatkowa, zapewniająca wysoką czystość obrazu i szeroki zakres dynamiki. EOS R5 działa w zakresie czułości ISO 50 do 51 200, a system autofokusowania potrafi rozpoznawać oczy fotografowanego człowieka lub zwierzęcia nawet wtedy, gdy fotografujemy go z profilu. W takiej sytuacji przyda się także autorska technologia Dual Pixel RAW, która umożliwia wprowadzanie korekty już po zrobieniu zdjęć, na przykład w zakresie intensywności efektu bokeh. Fotki możemy następnie przesłać na smartfona za pomocą Bluetootha lub łączności Wi-fi.

12 999 PLN (body), www.canon.pl

eprasa.pl 0a51c839d1

PAMIĘCI PRZENOŚNE I DOMOWE



LEXAR PROFESSIONAL SL400 GO PORTABLE

Zewnętrzny dysk SSD dedykowany twórcom i filmowcom, którzy swoje materiały nagrywają iPhonem. Jego konstrukcja, a także odpowiednio szybkie transfery pozwalają na wygodne podpięcie do telefonu Apple i nagrywanie wideo 4K w formacie Apple ProRes bezpośrednio na zewnętrzny nośnik. Dysk jest wyjątkowo kompaktowy, waży zaledwie 13 g, a oferuje pojemność 1 lub 2 TB. Dodatkowo w zestawie otrzymujemy hub z czterema złączami USB-C, do których można podpiąć akcesoria, np. mikrofon czy lampę, i poręczny pokrowiec, który pozwoli ochronić wszystkie elementy zestawu.

Od 649 PLN, www.lexar.com



SYNOLOGY DS224+

Serwer NAS Synology DS224+ pozwala użytkownikowi na przechowywanie, synchronizację, zarządzanie czy udostępnianie danych z dowolnego miejsca na Ziemi – bez względu na to czy są to ważne firmowe dokumenty czy drogocenne rodzinne pamiątki. Co więcej, pakiet Active Backup Suite umożliwia automatyzację tworzenia kopii zapasowych na naszym urządzeniu. Z kolei Synology Surveillance Station daje możliwość podłączenia do serwera kamery IP, rejestrację materiału z niej, a co za tym idzie stworzenie wysoce zarządzalnego systemu domowego lub firmowego monitoringu.

1 499 PLN, www.synology.com/pl-pl



SANDISK EXTREME PORTABLE SSD

Kompaktowy, przenośny dysk zewnętrzny SSD pracujący z prędkością odczytu na poziomie 1 050 MB/s i zapisu 1 000 MB/s. Pojemność od 500 GB do 8 TB oznacza pojemny magazyn danych na codzienne dokumenty, multimedia, jak również w wyższych pojemnościach nośnik do wykonywania backupu domowych urządzeń lub do przechowywania całych kolekcji filmów, muzyki, zdjęć czy projektów graficznych. Jest kompatybilny z Windows i Mac, a także Android i iOS. Można z powodzeniem nagrywać bezpośrednio na nim materiały wideo w jakości Apple ProRes.

Od 430 PLN, www.shop.sandisk.com/pl-pl/



SANDISK DUAL DRIVE GO

Jeśli na ekranie telefonu widzisz komunikat o braku wolnego miejsca, nie czas na zwiększanie pojemności chmury online, a zakup niewielkiego pendrive'a ze złączami USB-A i USB-C. Kombinacja ta pozwala podłączyć urządzenie do wszystkich telefonów, ale i tabletów czy komputerów. Robienie kopii zapasowej, zgrywanie zdjęć czy materiałów wideo, a także przenoszenie ich między poszczególnymi urządzeniami, nie będzie wymagało podłączenia do internetu. Dodatkowo Dual Drive oferuje aplikację *SanDisk Memory Zone*, która automatycznie będzie wykonywać kopię zapasową. I co ważne jednokrotny koszt jest o wiele niższy niż subskrypcja miejsca w chmurze.

Od 70 PLN, www.shop.sandisk.com/pl-pl/

eprasa.pl 0a51c839d1

DOM



NANOLEAF SMART MULTICOLOR ROPE LIGHT

Elastyczna taśma LED, którą można dowolnie wyginać i układać w różne kształty. Jej plastyczność to zasługa silikonowego oplotu. Taśmę można zamontować na ścianie, wokół mebli, a nawet uformować w artystyczne wzory. Jedna taśma ma długość 5 m, 420 diod LED, moc 300 lumenów i oferuje delikatne, nastrojowe oświetlenie zbliżone do ambientowego niż typowego źródła światła. Użytkownicy mogą wybierać spośród ponad 16 milionów kolorów, konfigurować wzory świetlne lub synchronizować taśmę z muzyką. W zestawie znajdują się montażowe klipsy, które pozwalają na samodzielną aranżację.

400 PLN, www.nanoleaf.me



ROBOROCK SAROS 10

Nowoczesny robot sprzątający, który łączy moc ssania 22 000 Pa z precyzyjną nawigacją RetractSense i LDS. Smukła obudowa (7,98 cm) pozwala mu dotrzeć pod meble, a szczotka DuoDivide eliminuje problem splątanych włosów. Mopowanie VibraRise 4.0 usuwa nawet zaschnięte zabrudzenia, a podwozie AdaptiLift pokonuje progi do 4 cm. Stacja RockDock Ultra 2.0 automatycznie opróżnia pojemnik, myje i suszy mop gorącym powietrzem. Dzięki integracji z Matter, sterowaniu głosowemu i obsłudze Apple Home, Saros 10 zapewnia wygodę i inteligentne sprzątanie na lata.

5 199 PLN, pl.roborock.com



SAGE BARISTA EXPRESS IMPRESS

Przygotuj prawdziwą kawę jak z kawiarni w domu — od ziaren po gotowe espresso w mniej niż minutę. System ubijania kawy Impress Puck System pomaga w odmierzeniu idealnej porcji i precyzyjnym ubiciu przy jednoczesnym zmniejszeniu ilości fusów na ekspresie i blacie. Przygotowanie aromatycznego, kremowego espresso w kolorze karmelu rozpoczyna się od preinfuzji przy niskim ciśnieniu, po której następuje ekstrakcja pod wysokim ciśnieniem (9 barów), uzyskanym dzięki włoskiej pompie o mocy 15 barów. Para o temperaturze 130°C pozwala szybko ubić aksamitną mikropiankę.

2 948 PLN, www.sageappliances.com



AARKE CARBONATOR 3

Jeśli lubisz gazowaną wodę, a nie chcesz kupować tej w plastikowych butelkach, to rozwiązanie będzie idealne. Saturator Aarke pozwala na uzyskanie napoju z bąbelkami tuż po naciśnięciu dźwigni uruchamiającej proces gazowania wody. Urządzenie wykonane jest z odpornej na uszkodzenia i zarysowania stali nierdzewnej, a sam projekt jest niezwykle atrakcyjny wizualnie. Carbonator ma prostą konstrukcję i dostępny jest w wielu stylowych kolorach, dodatkowo zajmuje bardzo mało miejsca na kuchennym blacie. W zestawie znajduje się butelka wykonana z tworzywa wolnego od BPA, którą możemy zabrać do pracy czy na trening.

799 PLN, www.aarke.com

eprasa.pl 0a51c839d1



AQARA DOORBELL G4

Aqara Doorbell G4 to inteligentny dzwonek do drzwi wyposażony w kamerę, mikrofon i głośnik. Możesz zasilać go przewodowo lub bateryjnie. Akcesorium współpracuje z Apple HomeKit i obsługuje strumieniowanie do inteligentnych wyświetlaczy Google Home i Alexa Echo. Kamera w wideodzwonku została wyposażona w lokalną sztuczną inteligencję (AI), która jest wykorzystywana do alertów rozpoznawania twarzy, automatyzacji i wielu innych funkcji. Co więcej, dzwonek jest dostarczany z wewnętrznym gongiem (95 dB) z wbudowanym wzmacniaczem Wi-Fi.

350 PLN, www.aqara.com



DYSON V16 PISTON ANIMAL SUBMARINE

Najmocniejszy odkurzacz bezprzewodowy marki, łączący suchą i mokrą pielęgnację podłóg w jednym urządzeniu. Napędzany silnikiem Hyperdymium o mocy 900 W, generuje imponujące 315 AW siły ssania, zapewniając perfekcyjną czystość nawet w trudno dostępnych zakamarkach. Nowa elektroszczotka Submarine 2.0 skutecznie usuwa rozlane płyny i uporczywe plamy, a stożkowe wałki All Floors Cones Sense zapobiegają plątaniu włosów i automatycznie dopasowują się do rodzaju podłogi. Pojemnik z mechanizmem kompresyjnym pozwala na ugniatanie kurzu, zwiększając pojemność i ułatwiając higieniczne opróżnianie. Czas pracy sięga 70 minut.

4 399 PLN, www.dyson.pl



YALE LINUS SMART LOCK L2

Nowy, inteligentny zamek Yale jest świetnym potwierdzeniem zasady: „jeśli coś działa, to tego nie zmieniaj". Linus L2 bazuje na tych samych, solidnych fundamentach, na których stał jego poprzednik. Oprócz łatwego, bezdotykowego otwierania i zamykania drzwi za pomocą smartfona lub smartwatcha, urządzenie umożliwia przydzielanie wirtualnych kluczy, zdalne blokowanie i odblokowywanie drzwi oraz otrzymywanie powiadomień za każdym razem, gdy ktoś wejdzie do domu. Nowy zamek otrzymał również wbudowany akumulator zamiast wymiennych baterii i odświeżony design. Współpracuje z większością europejskich wkładek do drzwi.

1029 PLN, www.yalelock.pl



TP-LINK TAPO C420S2

Kamery TP-Link Tapo C420S2 (w zestawie otrzymujemy dwie kamery i mostek Tapo H200) przeznaczone są do monitoringu zewnętrznego, ale równie dobrze sprawdzą się wewnątrz budynku. Produkt ten rejestruje kolorowy obraz 2K QHD, jest odporny na warunki atmosferyczne (certyfikat IP65) i działa na zasilaniu bateryjnym – aż do 180 dni. Kamera gwarantuje wysoką jakość monitoringu przez całą dobę – niezależnie od pory dnia czy pogody. Nagrania można zapisywać na karcie microSD o pojemności do 256 GB, zamontowanej w dołączonym do zestawu hubie, lub korzystając z usługi przechowywania w chmurze Tapo Care.

689 PLN, www.tp-link.com.pl

eprasa.pl 0a51c839d1

Redakcja

Redaktor naczelny
MARCIN KUBICKI | marcin.kubicki@magazynt3.pl

Sekretarz redakcji
MICHAŁ LIS | michal.lis@magazynt3.pl

Skład i redakcja techniczna
MICHAŁ LIS

Kontakt do redakcji
t3@magazynt3.pl

Strona internetowa
www.magazynt3.pl

Prenumerata
prenumerata@avt.pl | (22) 257-84-22
(godz. 10:00 – 14:00)

Reklama
reklama@magazynt3.pl

Miesięcznik **Magazyn T3** wydawany jest przez Wydawnictwo AVT-Korporacja Sp. z o.o.,
ul. Leszczynowa 11, 03-197 Warszawa.
Tytuły prawne do magazynu należą do Future Publishing Limited, grupy Future plc, UK 2009.
Wykorzystano na licencji. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Jest znakiem towarowym Future Publishing Limited, należącym do grupy Future plc. Wykorzystano na licencji.
Więcej informacji dotyczących tego i innych tytułów wydawanych przez grupę Future plc,
zamieszczono na stronie internetowej *www.futureplc.com*.

Wszystkie ceny podane w **Magazynie T3**, o ile nie zostały uzyskane od polskiego dystrybutora, są cenami uśrednionymi, zebranymi z ofert uznanych sklepów, w tym internetowych, na terenie Polski (w przypadku braku ofert polskich, są to ceny przeliczone z cen europejskich).

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń zamieszczonych w numerze.

eprasa.pl 0a51c839d1

PRENUMERATA



Zyskaj 15% rabatu

Czytaj więcej, płać mniej!

W prenumeracie tylko ~~152,90 zł~~

130,00 zł

/roczna prenumerata drukowana

DLACZEGO WARTO?

- Dostawa **gratis** prosto do Twojego domu
- Tylko dla prenumeratorów: **niższe ceny** przy zakupie czasopism na UlubionyKiosk.pl
- Pakiet 2w1 (papier + e-wydania): **-80%** na równoległą e-prenumeratę PDF

Szczegóły na UlubionyKiosk.pl/promocje

Zamów prenumeratę na **www.UlubionyKiosk.pl**
lub zeskanuj kod QR i zaprenumeruj w 1 minutę

AVT-Korporacja sp. z o.o., ul. Leszczynowa 11, 03-197 Warszawa
prenumerata@avt.pl | 22 257 84 22 (godz. 10:00–14:00)
rachunek bankowy: ING Bank Śląski 18 1050 1012 1000 0024 3173 1013





Px8 S2. Usłysz prawdę.

Doświadcz porywającego brzmienia
i niezrównanego komfortu dzięki
najbardziej luksusowej konstrukcji,
jaką kiedykolwiek zaprojektowaliśmy.

Bowers & Wilkins

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl

eprasa.pl 0a51c839d1